ROZMOWA „DO RZECZY”

Prezydent Węgier Tamás Sulyok o planie usunięcia go z urzędu



Warzecha ocenia szanse odwołania Trzaskowskiego



UPIÓR MA WIELKIE OCZY, CZYLI STRZYGONIE W AKCJI – CZEGO SIĘ BANO W DAWNEJ POLSCE

Mer Lwowa Andrij Sadowy – czciciel Bandery i Szuchewycza

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 28/688 6–12 LIPCA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Pogromca głupoty

FENOMEN KRZYSZTOFA STANOWSKIEGO

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 28>

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 46b98675ff



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Przełożona wajcha

Nagła i dramatyczna wręcz zmiana, która nastąpiła wśród wielu prawicowych liderów opinii (przepraszam za ten dość pokraczny zwrot, ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy, bo mam na myśli nie tylko komentatorów i publicystów, lecz także polityków) w stosunku do Ukrainy – od bezbrzeżnej miłości do wrogości, strachu i poczucia zagrożenia – jest czymś niespotykanym. Rzeczywiście, każdy, kto czyta wcześniejsze wpisy różnych ekspertów i znawców z okresu luty 2022–październik 2023 r. (w przypadku niektórych okres ten należałoby wydłużyć), ma wrażenie czegoś surrealistycznego. Tu nie chodzi o zmianę akcentów, ale wręcz o przewrót. Używając nieco bardziej publicystycznego języka, można by powiedzieć, że ktoś przełożył wajchę. W ten sposób broniący Europy i Polski Ukraińcy, bohaterowie bez skazy, którzy mają prawo sami sobie wybierać bohaterów, bo bez nich Polski by nie było, przedzierzgnęli się z dnia na dzień w niebezpiecznych nacjonalistów.

Warto sobie w związku z tym zadać kilka pytań. Pierwsze dotyczy szczerości i wiarygodności. Co takiego sprawiło, że wszyscy ci, którzy przez lata uważali jakiekolwiek podważanie wysiłku walczącej Ukrainy za sprzeczne z polską racją stanu, teraz przeszli na pozycje, które zwalczali? Czy pojawiły się nowe i całkiem nieznane fakty? Wątpię. O tym, że na Ukrainie odradza się banderyzm, że to właśnie kierujące się tą zbrodniczą ideologią partie i grupy, choćby osławiony Azow, mają decydujący wpływ na politykę Kijowa, było wiadomo dla każdego, kto chciał widzieć. Wystarczyło choćby czytać kilku publicystów „Do Rzeczy” lub innych autorów niepisowskiej prawicy. Czy nadanie jednostce armii ukraińskiej nazwy „Bohaterów UPA” to było przekroczenie Rubikonu? W żadnej mierze. Był to jeden z licznych dowodów prawdy, którą politycy PiS i związani z nimi publicyści wypierali.

Co jest zatem źródłem cudownego przejrzenia na oczy? Cóż, być może faktycznie dla niektórych decyzja Zełenskiego była kroplą, która przelała czarę goryczy. A być może ów nagły zwrot ma całkiem banalne wytłumaczenie, a jest nim walka o władzę. Odpływ wyborców od PiS do Konfederacji i Korony Brauna – być może to był ten cudowny środek na odzyskanie wzroku? Prezes Kaczyński zadeklarował, że z Braunem rządzić nie będzie. Czy zrobił to sam czy po prostu podyktowali mu to amerykańscy sojusznicy, nie wiem. Pewne jest jednak, że opcja ta – rządy bez Brauna, tylko z Konfederacją Mentzena i Bosaka – może się spełnić jedynie wówczas, gdy PiS odbierze Koronie wyborców. A drogą do tego jest nowa retoryka i polityka wobec Kijowa. Oznaczałoby to, że z samej natury rzeczy zmiana polityki PiS wobec Ukrainy ma charakter koniunkturalny.

Drugie pytanie jest ważniejsze, a dotyczy konsekwencji wcześniejszych decyzji. Te, moim zdaniem, są bardzo poważne. Sądzę, że to właśnie bezwarunkowe popieranie Kijowa przyczyniło się do rozzuchwalenia tamtejszych elit i wzmocniło jeszcze postępującą banderyzację Ukrainy. Co więcej, Ukraina uwierzyła, że jest głównym rozgrywającym, i postanowiła sama w coraz większym stopniu wpływać na innych. Osłona medialna, którą zapewnił Zachód, w tym także Polska, sprawiła, że do opinii publicznej nie mogła się przebić prawda o tym, że obecne władze w Kijowie to wojskowy reżim autorytarny, którego racją istnienia jest dążenie do osłabienia Rosji. Zamiast tego Polakom serwowano i (co się tyczy mediów lewicowo-liberalnych) dalej serwuje się opowieść o szlachetnych obrońcach demokracji i wolności zmagających się z irracjonalnym, agresywnym, rosyjskim imperializmem Putina. Polska, a ściślej rządząca Polską poprzednia ekipa, po prostu utożsamiała się z tym, co głosili mędrcy z Zachodu, w pierwszej fazie przede wszystkim znawcy z USA za czasów Joe Bidena. Ślepa miłość do Ameryki sprawiła, że Polacy nie zauważyli, iż Amerykanie wykreowali niejeden reżim, który później wymknął się im spod kontroli. Problem polega na tym, że akurat ten kierowany przez Zełenskiego leży nie w Azji czy Afryce i łatwo może stać się zagrożeniem dla Polski.

Po trzecie wreszcie, konsekwencją dotychczasowej polityki było pogłębienie (jeśli to w ogóle możliwe) wrogości ze strony Rosji. Polska polityka wschodnia stała się do bólu przewidywalna – po prostu definiuje ją antyrosyjskość. Jednak państwo, którego polityka jest tak całkowicie przewidywalna, faktycznie polityki nie uprawia, jest pionkiem w grze innych. De facto nie korzysta z własnej suwerenności. Nikt niczego od takiego państwa nie musi uzyskiwać, bo i tak to ma.

Wszystkie te błędne elementy polityki zagranicznej PiS obecny rząd nie tylko przejął, lecz także trzyma się ich jak pijany płotu. To kolejna zagadka: Dlaczego PO i PiS tak łatwo przejmują od siebie to, co najgorsze? ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POGROMCA GŁUPOTY
Fenomen Krzysztofa Stanowskiego

19 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
DLACZEGO SZEF KANAŁU ZERO DRAŻNI SALONY

KRAJ

22 ROZMOWA Z BARTŁOMIEJEM WRÓBLEWSKIM
NIE MA WROGÓW NA PRAWICY
Co mogą zrobić konserwatyści w PiS?

24 ŁUKASZ WARZECHA
SOR-Y RAFAŁ, TAKI MAMY KLIMAT. PRZYSZŁOŚĆ PREZYDENTA TRZASKOWSKIEGO

27 ROZMOWA Z ANDRZEJEM SOŚNIERZEM
PRZYWRÓĆMY KASY CHORYCH

KULTURA

30 ROZMOWA Z HOLLY ORDWAY
TREŚĆ ŻYCIA TOLKIENA
Duchowość autora „Władcy Pierścieni"

34 PIOTR GOCIEK
DWA OBLICZA ZEMSTY

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

40 PIOTR SEMKA
GDZIE WIELOMSKI, GDZIE DMOWSKI?
Rosja musi uznać cywilizowane reguły gry

42 MICHAŁ KRUPA
A WIĘC ESKALACJA

45 KRYSTIAN KRATIUK
POŻEGNANIE REPORTERA METAFIZYCZNEGO

48 WOJCIECH GOLONKA
CO ZOBACZYŁEM W ÉCÔNE

HISTORIA

50 ŁUKASZ CZARNECKI
UPIÓR MA WIELKIE OCZY, CZYLI STRZYGONIE W AKCJI
Czego się bano w dawnej Polsce

ŚWIAT

56 ROZMOWA Z TAMÁSEM SULYOKIEM
RZĄD MAGYARA NIE DBA JUŻ NAWET O POZORY
Polityczne łupiestwo na Węgrzech

60 MACIEJ PIECZYŃSKI
MER LWOWA ANDRIJ SADOWY – CZCICIEL BANDERY I SZUCHEWYCZA

63 ROZMOWA Z MARIĄ FILINĄ
POLACY DO ODKRYCIA

66 FILIP MEMCHES
FUTBOL JAKO OPOWIEŚĆ O INKLUZYWNOŚCI

EKONOMIA

68 MARIA KĄDZIELSKA-KOPER
LUDZIE KONTRA MASZYNY
Czy sztuczna inteligencja zniszczy branżę call center?

STYL

72 JOANNA BOJAŃCZYK
SZPADA PANA SAVOYA
Uhonorowane rzemiosło

LATO Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
WŚRÓD DAJAKÓW, OSTATNICH ŁOWCÓW GŁÓW
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Kalimantan na Borneo



FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (54), PRZYBYLSKI (55), GABRYEL, WARZECHA (71), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 46b98675ff

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Anita Walczewska/East News**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Papuga narodów

Szanowni Państwo, w 1989 r. zapanował w kraju okrągłostołowy entuzjazm. Oto Polska dołączyła do zachodniego świata. Wdzięczni i jednocześnie dumni – bo przecież nie „wypadliśmy sroce spod ogona" – byliśmy przekonani, że my też możemy coś wnieść do Europy. Między innymi zacytowano hasło Waltera Blocka: „Wstręt do homoseksualizmu i szacunek dla zmarłych". Minęło ponad 30 lat i rezultat widać gołym okiem. Po polskich ulicach paradują homoseksualiści, rejestrowane są nielegalnie neomałżeństwa ni to kobiet, ni to mężczyzn, jeszcze chwila, a zaczną się z nich „rodzić" dzieci. Podobnie wygląda sprawa z szacunkiem dla zmarłych. Nie dość, że nie potrafimy doprowadzić do ekshumacji ofiar ukraińskiego ludobójstwa, by je godnie pochować, to na dodatek nawet żyjących traktujemy jak pogrzebanych za życia. Na przykład żaden polski rząd nie zainteresował się nadaniem obywatelstwa czy wręcz sprowadzeniem do ojczyzny potomków zesłańców do Kazachstanu, oprócz premier Kopacz, która zaproponowała wysłanie po nich autobusu, ale z zastrzeżeniem, że mogą zabrać ze sobą tylko bodaj 30 kg dobytku [...]. Pani Gizela Jagielska została człowiekiem roku „Gazety Wyborczej" za zabicie dziewięciomiesięcznego chłopczyka zastrzykiem w serce z preparatem niedopuszczonym nawet przez weterynarzy. W Warszawskim Szpitalu Południowym bezcześci się zwłoki. Że też wieszcz zawsze musi mieć rację!

Z poważaniem
Ewa Kowynia

O co chodzi?

Zimą, gdy przez trzy bite tygodnie rąbałem lód na podjeździe, a termometr z uporem maniaka wskazywał kilkanaście kresek poniżej zera, odważyłem się zapytać w Internecie, gdzie właściwie podziało się to zapowiadane z taką emfazą piekło. Pouczono mnie z wyższością, że jestem klimatycznym troglodytą, bo przecież pogoda to nie klimat. Przyjąłem tę naukową reprymendę z pokorą, posypałem głowę śniegiem i poszedłem po więcej drewna do kominka.

Ale oto nadszedł lipiec. Przez całe cztery dni w Polsce mocniej poświeciło słońce, a słupki rtęci przekroczyły szokujące w środku lata 30 stopni. I zewsząd dowiaduję się, że ludzkość właśnie gotuje się żywcem, wkrótce wszyscy spłoniemy, a winny jest temu bezpośrednio fakt, że na obiad zjadłem wołowinę.

Ktoś to rozumie?

Jan Karasiński

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Hanny Wąsik

Patriotki, Sybiraczki, wiernej Polsce do końca swoich dni.

Panu Posłowi Maciejowi Wąsikowi oraz Rodzinie składamy wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu.

Adam Bielan

w imieniu Delegacji Prawa i Sprawiedliwości

w Parlamencie Europejskim

eprasa.pl 46b98675ff



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zygzaki w Kijowie

Dlaczego Wołodymyr Zełenski eskaluje konflikt z Polską? Niektórzy twierdzą, że prezydent Ukrainy nadając jednej z jednostek imię „Bohaterów UPA", chciał podlizać się tym oddziałom frontowym, które uznały Banderę za patrona walki z Moskwą. Inni twierdzą, że to jest scenariusz niemiecki po to, aby zrobić z Warszawy kozła ofiarnego za to, że Unia nie przyjmie Ukrainy. I wreszcie wersja trzecia, którą słyszę od niektórych moich ukraińskich rozmówców, że Wołodymyr Zełenski po czterech latach prowadzi politykę nieprzewidywalną. Że uwielbia niespodziewane polityczne zygzaki.

Niewykluczone, że taktyka Zełenskiego to suma tych wszystkich trzech elementów. Ukraiński prezydent złożył w Kijowie deklarację o budowie narodowego panteonu. Ogłosił, że nikt nie będzie Ukrainie wybierał bohaterów. Ten slogan stał się już swego rodzaju lejtmotywem godnościowego wzmożenia sporej części opinii publicznej nad Dnieprem.

Bardzo wielu Ukraińców dało sobie wmówić, że „polscy panowie" znów coś każą traktowanym z góry Ukraińcom. Takie stawianie sprawy pozwala odsuwać pytania o bilans oceny działań UPA.

Kto wejdzie w skład przyszłego panteonu? O tym Zełenski na razie milczy. Deklaracje prezydenta z Kijowa o budowie narodowego panteonu połączone były z intronizowaniem hetmana Iwana Mazepy na ojca niepodległości Ukrainy. Odsłonięcie popiersia Mazepy na terenie kijowskiej Ławry Peczerskiej było swoistym zepchnięciem na dalszy plan Bohdana Chmielnickiego. Postaci, która jak na warunki wojny z Putinem obciążona jest winą zhołdowania Ukrainy Moskwie.

Mazepa akurat dla Polski nie jest postacią specjalnie kontrowersyjną. Wywodzi się z rodziny obdarzanej przywilejami przez Jagiellonów. Sam był paziem króla Jana Kazimierza, potem przeszedł do obozu carycy, by wreszcie wykonać rozpaczliwą próbę wywalczenia niepodległości Ukrainy u boku króla Szwecji Karola XII.

Polacy z tych hołdów dla Iwana Mazepy niewiele zrozumieli. Jeśli już, to deklaracje stworzenia panteonu potraktowali jako zapowiedź sprowadzenia do Kijowa szczątków Stepana Bandery, czyli eskalacje historycznego konfliktu. Ale na razie nie wiadomo, czy i kiedy do tego dojdzie.

Ostra reakcja prezydenta Karola Nawrockiego zrobiła jednak pewne wrażenie na Ukrainie. Oto jeden z posłów opozycji, Mykoła Kniażycki z Frontu Ludowego, wskazuje: „Nie ma na razie listy osób, których nazwiska powinny zostać uwiecznione w Panteonie. Propozycje z takimi kandydatami muszą zostać ujęte w odrębnych ustawach, zatwierdzone w głosowaniu w Radzie Najwyższej i podpisane przez prezydenta. Oczywiste jest, że nikt, kto w XX w. dopuścił się przestępstw przeciwko ludności cywilnej, nie powinien znaleźć się na takich listach".

Czy to pierwszy sygnał refleksji? Decyzje podejmować będzie oczywiście Zełenski. Ale z awantury z Polską nie wychodzi bez strat. W wielu stolicach zauważono symboliczny problem Kijowa z UPA. Za wszystko płaci się swoją cenę. ©℗

BARGIEL PIERWSZY NA ŚWIECIE

Andrzej Bargiel został pierwszym człowiekiem w historii, który zjechał na nartach ze szczytu Nanga Parbat (8126 m n.p.m.). Polak zdobył tę niezwykle trudną i niebezpieczną górę bez użycia dodatkowego tlenu. Po krótkim pobycie na wierzchołku poprowadził ciągły zjazd do końca pokrywy śnieżnej. Tym historycznym wyczynem Bargiel zamknął swój wielki projekt, kompletując zjazdy na nartach ze wszystkich ośmiotysięczników leżących w Pakistanie. ***(raw)*** ©℗



FOT. XCOM/JEDREKBARGIEL

INFLACJA NA WAKACJACH

Ceny większości towarów wciąż w Polsce rosną, ale nie tak szybko, jak spodziewają się tego ekonomiści. W ubiegłym tygodniu GUS podał, że inflacja konsumencka w Polsce w czerwcu 2026 r. wyniosła 2,5 proc. rok do roku. To poniżej prognoz, bo spodziewano się inflacji na poziomie 2,7 proc. Tym samym czerwiec jest kolejnym miesiącem, kiedy dane o inflacji są pozytywnym zaskoczeniem. Podobnie było w maju, kiedy to spodziewano się inflacji na poziomie 3,7 proc., a wyniosła ona 3,1 proc. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 46b98675ff



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Roman się wściekł

Sąd ostatecznie odrzucił wniosek o ściganie „afery dwóch wież", stwierdzając, że w dostarczonym przez prokuraturę akcie oskarżenia nie opisano niczego, co stanowiłoby czyn zabroniony prawem. Dla każdego, kto śledził sprawę, było to oczywiste od samego początku. Ale nie dla Romana Giertycha, głównego promotora rzekomej afery, a podejrzewam, że w ogóle pomysłodawcy wysłania pana Birgfellnera do Jarosława Kaczyńskiego z niezamówionym przez tego drugiego projektem, żądaniem zapłaty (która byłaby przestępstwem i deliktem do objęcia Fundacji Lecha Kaczyńskiego zarządem komisarycznym) oraz ukrytym mikrofonem, który miał ów delikt uwiecznić. Jak pamiętamy, Kaczyński zachował się w sposób, którego człowiek pokroju mecenasa Giertycha nie mógł przewidzieć – uczciwie. Powiedział, że skoro projektu nie zamawiał, to płacąc, popełniłby przestępstwo. Ale jest rada: niech Birgfellner poda go do sądu, wtedy będzie tytuł prawny do wypłaty.

Upór, z którym mimo wszystko usiłowano z tego jakąś aferę ukręcić, a to twierdząc, że PiS „wyłudził" projekt, a to że Birgfellner dał komuś łapówkę, choć sam nie umie powiedzieć komu, a to próbując brutalnym przesłuchaniem wymóc na śp. Barbarze Skrzypek obciążające Prezesa zeznanie, co doprowadziło starszą panią do śmierci, był doprawdy szaleństwem. Ale ostateczne zakończenie sprawy obudziło w Giertychu szaleństwo jeszcze dalej idące. Zaatakował z imienia i nazwiska… Nie, bynajmniej nie sędziego, który umorzył sprawę, ale prokurator, która ją prowadziła. Zdemaskował ją jako PiS, więcej – całą prokuraturę Korneluka i Żurka zdemaskował jako PiS. Prawie trzy lata „rozliczeń", okazało się, jak krew w piach – prokuraturą wciąż rządzi Ziobro! Całą Polską wciąż rządzi PiS. Ukrył się, zakonspirował w strukturach KO, jest wszędzie i wkłada kij w szprychy. Pozostał ostatni sprawiedliwy – Giertych.

Ponawiam swój apel: Panie mecenasie, niech broń Boże nie ogranicza Pan swej aktywności. Więcej takich demaskacji! Jak najwięcej! ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Izby lekarskie do likwidacji

Mijają kolejne dni od ujawnienia skandali w Szpitalu Południowym, obciążających lekarza milionera Dawida Kacprzyka i jego mocodawców, a on nie tylko nadal ma uprawnienia lekarskie, lecz także figuruje na stronach Okręgowej Rady Lekarskiej w Warszawie. Rada, organ samorządu lekarskiego, jak rozumiem, powinna być złożona z najlepszych specjalistów, by zajmować się szczególnie trudnymi sprawami.

W tej samej radzie zasiada Łukasz Jankowski, prezes Naczelnej Izby Lekarskiej, który od wybuchu afery wielokrotnie dawał do zrozumienia, że o niczym nie wiedział. Pytany o sprawę Kacprzyka wyznał, że jest zdruzgotany; potwierdził, że trwa postępowanie dotyczące zawieszenia jego uprawnień. Zaznaczył jednak, że to radykalny środek, bo dla lekarza to śmierć zawodowa. Postawa prezesa Jankowskiego – z jednej strony oburzenie i wmawianie: przecież nic nie wiedzieliśmy, z drugiej ostrożność w kwestii zawieszenia uprawnień lekarzowi oszustowi (potwierdził to on sam, odsyłając wyłudzone kwoty do szpitali) – pokazuje nam kolejny raz patologie samorządu lekarskiego. Szef struktury, której sądy nie miały oporu, by orzekać wobec uczciwych lekarzy zawieszenie uprawnień wykonywania zawodu, tylko za to, że zakwestionowali oni absurdalną politykę walki z pandemią, domagając się odblokowania systemu ochrony zdrowia, teraz zachowuje zdumiewającą powściągliwość. Podobnie tłumaczenie prezesa: Nic nie wiedzieliśmy.

To po co jest ten samorząd? Czy delegowanie do Rady Lekarskiej Kacprzyka bez specjalizacji nie kompromituje wystarczająco izby? Dlaczego nikt z 200 lekarzy pracujących w Szpitalu Południowym nie poinformował izby o patologiach? A może wiedzieli, jak działa ta klika? To tylko kilka z licznych argumentów za tym, by rozpędzić to towarzystwo, które – jak widać – potrzebne jest tylko wąskiej grupie funkcyjnych, a nie służy lekarzom, a tym bardziej pacjentom. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Sędziowie nie teges



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Najgorsza to jest ta pamięć, proszę państwa. Stop. Na przykład kiedy okazało się, że w Szpitalu Południowym w Warszawie (nie nosi jeszcze imienia Koalicji Obywatelskiej, a może już powinien?) kolejnym odkrytym skandalem po bajońskich zarobkach chłopczyka z KO, po dziwnych śmierciach na SOR wyjaśnianych przez prokuraturę był handel zwłokami i bezczeszczenie zwłok, i kiedy sprawę zaczęto porównywać z łódzkimi „łowcami skór", to mnie się coś przypomniało. Stop. Otóż córka przedsiębiorcy pogrzebowego Witolda Skrzydlewskiego, który płacił za „skóry" w Łodzi, jest w tej chwili marszałkiem województwa łódzkiego z ramienia Koalicji Obywatelskiej. Stop. Tak, tak, z ramienia Koalicji Tuska. Stop. Tata ma się dobrze, prowadzi biznes. Nigdy nie poniósł żadnej odpowiedzialności w aferze „łowców skór". Nie postawiono mu żadnego zarzutu. Stop. Córka Joanna Skrzydlewska też ma się świetnie, podobnie jak cała rodzina. Stop. Nie wiem, czemu mi się to przypomniało, bez sensu. Stop.

Obrońca Dawida Panamery Kacprzyka, Jacek Dubois, powiedział, że nie wie, dlaczego jego klient do tej pory nie został przesłuchany przez prokuraturę, i że oni poprosili, żeby Milion Sześćset Tysięcy W Rok został jednak przesłuchany. Stop. W wywiadzie u Roberta Mazurka mecenas Dubois powiedział, że każdy kłamie, a niektórzy to po kilka razy dziennie. Stop.

Posłanka Koalicji Obywatelskiej Małgorzata Pępek, znana z tego, że wepchnęła się bez kolejki na badania do szpitala w Żywcu, nie poniesie żadnej odpowiedzialności – tak zdecydowała Koalicja Obywatelska. Stop. Cała Koalicja odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że Pępek nikogo w szpitalu nie intubowała.

Wyniknęła sytuacja przykra również finansowo. Stop. Był sobie taki Ślebzak, który chciał być bardzo sędzią Trybunału Konstytucyjnego, bo go wybrał Sejm PO-PSL, ale nie złożył ślubowania wobec prezydenta Dudy, bo prezydent nie chciał. Stop. No i ten Ślebzak poszedł do sądu i chciał pieniądze za to, że był przecież sędzią, a sąd mu powiedział teraz, parę dni temu, że żadnym sędzią nie był, bo nie złożył ślubowania wobec prezydenta, i nic nie dostanie. Stop. Okazuje się, że komunista Czarzasty zrobił tym biednym czterem sędziom szopkę ze ślubowaniem w Sejmie, robiąc z nich chyba sędziów nie teges… ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

SKOLIM NA CENZUROWANYM

Kariera discopolowego wokalisty Konrada Skolimowskiego rozwija się w najlepsze. Skolim nie tylko gromadzi na koncertach tłumy (jego letnia trasa to występy niemal codziennie), lecz także ma smykałkę do biznesu – po tym, jak z powodzeniem otworzył stację benzynową w podlaskiej Czeremsze, jego najnowszy produkt, czyli kiełbaski Skolimki, cieszy się ogromną popularnością. Dodatkowo piosenkarz może się pochwalić hitowymi duetami muzycznymi z Justyną Steczkowską, Blanką i Cleo. Nie wszystkim jednak jego postać pasuje. Na Skolima wylała się fala krytyki po tym, jak w mocnych słowach oburzył się na rządowy pomysł dopłat do składek dla artystów. Piosenkarka Margaret zadeklarowała, że nie ma mowy o współpracy ze Skolimowskim. Dlaczego? – Z wielu względów. To zabawne, bo ostatnio jechałam busem z moim zespołem i rozmawialiśmy na temat Skolima. To było jeszcze przed aferą z artystami. Pamiętam, że powiedziałam wtedy, że co prawda, robi on muzykę, której nie słucham, ale fajnie, że jest taki kulturalny i szarmancki. Wydawało mi się, że to spoko koleś, taki słodziak. No ale po tym, co powiedział o artystach, zmieniłam zdanie. Już wiele osób z artystycznego świata wypowiadało się na ten temat. Padło wiele słusznych słów, pod którymi się podpisuję – powiedziała Plejadzie. Dodała, że słowa Skolima dotyczące finansowania artystów mocno ją dotknęły i zrobiło jej się przykro. – W tym, co on powiedział i co potem podchwycili ludzie, jest mnóstwo manipulacji. Przecież w tej ustawie chodziło o coś zupełnie innego. Mam wrażenie, że dziś już nawet nie jesteśmy w stanie dojść do sedna tej sprawy. Ktoś się na to w....ł i teraz wszystko śmierdzi. Szkoda – ocenia. – Uważam, że warto byłoby pochylić się nad tą kwestią. Kultura jest naprawdę ważna. Musimy o nią dbać. Dyskusja na jej temat jest potrzebna, ale prowadzona w merytoryczny sposób, bez tych emocji, które ostatnio się pojawiły – stwierdziła Margaret. Ile hitów miał w ostatnich miesiącach Skolim, a ile Margaret? Tak tylko pytam.



FOT. FOTON/PAP

KRAKOWIE, JESTEŚ GOTOWY?

Marianna Schreiber ogłosiła, że zamierza zawalczyć o fotel prezydenta Krakowa. Trudno ocenić, czy to na poważnie czy po prostu spadają zasięgi na Instagramie, ale aktualnie była żona posła PiS prowadzi medialne tournée. Pojawiła się w Radiu Kraków, gdzie przedstawiła swój program dla miasta. Jednym z głównych postulatów Marianny Schreiber jest likwidacja ograniczeń dotyczących ruchu samochodów. Skrytykowała Strefę Czystego Transportu. – Wielu mieszkańców nie stać na nowe samochody, na elektryki, a być może nawet nie stać ich na rower – wskazała. Jednocześnie opowiedziała się za tym, by kierowcy mogli poruszać się po Krakowie, „czym chcą". Pytana, czy oznacza to również zgodę na jazdę samochodami bez ważnych badań technicznych, odpowiedziała: „Jest wolność i powinni jeździć, czym chcą". Kolejnym z postulatów Marianny jest wprowadzenie bezpłatnej komunikacji miejskiej dla wszystkich mieszkańców. Schreiber dodała, że gdyby wygrała wybory, na budynkach administracji publicznej nie zawisną flagi Ukrainy, LGBT ani Unii Europejskiej. Prowadzący postanowił sprawdzić też wiedzę wanna-be kandydatki na temat dawnej stolicy Polski. – Jak sądzę, to z Krakowem ma pani tyle wspólnego, że pewnie w podstawówce przyjechała pani na wycieczkę, Wawel, Kościół Mariacki zobaczyć, a może coś więcej ma pani wspólnego z Krakowem? No właśnie, skoro już wspomniałem o tym Kościele Mariackim, to w tym Kościele Mariackim jest taki bardzo słynny ołtarz. Pani pamięta autora, kto go zrobił? – dopytywał dziennikarz. Urodzona w Warszawie celebrytka (która miłość do stolicy deklarowała nie raz) przyznała, że nie zna odpowiedzi. – Nie, ale zapewne pan mi o tym powie – odparła. I opowiedział. Niektóre „newsy" nie wymagają komentarza.

WOLNY WYBÓR

Kącik religijny. Aktor Sebastian Fabijański, który deklaruje się jako osoba wierząca, został zapytany o chrzest swojego syna Bastka. Chłopiec jest owocem związku z influencerką Maffashion. W rozmowie z portalem Party 38-latek stwierdził, że każdy ma prawo do wyboru, dlatego nie chciałby nikogo zmuszać do sakramentu – także własnego syna. Sebastian Fabijański podkreślił też, że w przyszłości sam Bastek powinien zadecydować o ewentualnym przyjęciu sakramentu. – Taka okoliczność. Nie chciałem zmuszać nikogo do niczego – mówił. – Tak się okazało i tak się zadziało. Natomiast jeżeli mój syn wybierze taką drogę, jaką ja staram się podążać, czyli chrześcijańską, ze zdrowym podejściem, nie radykalnym, to się ochrzci, a jak nie, to uszanuję to oczywiście – wskazuje. – To, co mogę, to robię, np. nauczył się „Aniele boży" i zawsze przed snem odmawia paciorek. I tyle mogę. Nic na siłę – podkreśla Fabijański. Skoro nic, to pewnie rąk też myć nie trzeba. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, z racji naszych socjologicznych zainteresowań uważnie śledzimy mundial – głównie w celu analizy zachowań polskiego Janusza, ale także, iżby empirycznie przekonać się, czy to jęczenie, iż Europa ma za mało miejsc i to zabija futbol, rzeczywiście jest prawdą.

No i okazja do pierwszych refleksji nad kondycją współczesnego Polaka cebulaka nadeszła bardzo szybko, a papierkiem lakmusowym społecznych nastrojów okazało się odpadnięcie reprezentacji Niemiec z drużyną z Paragwaju. Przy okazji: mówi się w końcu Paragwaj czy Urugwaj?

Jak można było się oczywiście spodziewać, odpadnięcie „somsiada" spowodowało wysyp memów, szyderstw, radości podszytej zawiścią, iż oni na mundialu byli, a my jednak nie. Nic się więc w tym kraju nie zmieniło: Niemcy odpadają, a Polacy się cieszą. To takie typowo tenkrajowe, prawda? A powinniśmy raczej żałować, iż Niemcy przywieźli do Ameryki interesującą, wielokulturową drużynę, podczas gdy polska reprezentacja jest monoetniczna, nudna i blada jak jej występy.

Zastanawiamy się, ile pokoleń jeszcze musi przeminąć, iżby Polacy przestali odczuwać te absurdalne resentymenty w kierunku swoich zachodnich sąsiadów, mówiąc metaforycznie, iżby podkarpacie zrozumiało: żeby zaprosiło sąsiada na grillowanego bakłażana, a nie ciągle podrzucało mu śmieci na posesje i przebijało opony w Passacie.

A co do reszty Europy: widzimy, iż mundialowa inkluzywność wyszła na dobre, ponieważ przeciętny Janusz



z Polski mógł się po pierwsze dowiedzieć, iż istnieją takie kraje jak Ghana, Cabo Verde, Uzbekistan czy Curaçao (śmiesznie tak nazwać kraj od drinka, ale w sumie spoko, wesoło – w Polsce to by nie przeszło), a po drugie, iż wszyscy oni grają w piłkę lepiej niż reprezentacja tego kraju. Oczywiście na pewno wzbudziło to dysonans poznawczy i teraz biedny Janusz, który ogląda tylko polską Ekstraklasę, nie wie, co ma tak do końca o tym myśleć xD.

Pamiętacie, jak kilka tygodni temu pisaliśmy wam, iż pensje Polaków idą w górę dzięki polityce rządu pana premiera Tuska? Otósh nie wszystkich Polaków. Widzieliśmy nowe dane GUS, według których połowa Polaków zarabia mniej niż jakieś 5500 na rękę, co oznacza, iż drugie pół zarabia więcej, a z tego, co rozumiemy, to chyba nikt nie zarabia dokładnie 5500 do kieszeni. Dziwne, ale wiecie – taka jest ta ekonomia, potrafi zaskakiwać.

Ech, no co my możemy powiedzieć – znów ten sam polski minimalizm, który sprawia, iż gospodarka nie może wystartować w pełni swojego potencjału. No ale przecież rząd za wszystkich wszystkiego nie zrobi, prawda? Zawsze można byłoby wziąć kredyt, zmienić pracę, przeprowadzić się do większego miasta czy zrobić jakiś kurs na LinkedInie.

To by też tłumaczyło tę ostatnią nagonkę na lekarzy, iż – jak wiadomo – jeśli ktoś w tym kraju ma lepiej, wyróżnia się, do czegoś doszedł swoją ciężką pracą 20 h dziennie 365 dni w roku (albo i 366), to trzeba go dojechać, zniszczyć i ośmieszyć, prawda?

A jeden z drugim, którzy tak krytykują, może też by spróbowali popracować w takim wymiarze i zobaczyć, czy będą w stanie dalej klepać kod, przepisywać Excela czy filtrować CV. I nagle się okaże, iż to nie takie proste, i perspektywa się zmienia. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Agent Ukrainy to dziś gorzej, niż jakbym był od Putina

Co jest, Rafał? Blady jakiś jesteś...
Sławek, mam przecieki z otoczenia Donka. I Kierwy. Nie jest dobrze.

Ale że co?
Powstaje narracja, zgodnie z którą Donald spotkał się ze mną tylko pięć razy w życiu, z tego dwa razy przypadkiem minęliśmy się na schodach.

Faktycznie słabo.
Mało tego. Kierwa tworzy opowieść, zgodnie z którą jestem agentem Ukrainy.

To chyba nie tak źle?
Żartujesz?!
To dzisiaj gorzej, niż jakbym był od Putina. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„ W głowach ludzi oglądających TV Republikę i kanał zero [pisownia oryg.] budzą się potwory".

PROF. MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na Facebooku*

eprasa.pl 46b98675ff

dwaj panowie g

Ciekawe wieści z wnętrza Koterii Obywatelskiej. Otóż w związku z aferą Szpitala Południowego i pochodnymi zapadła decyzja: ani kroku w tył! W związku z tym nie będzie ani zrzucenia z sań Rafcia Trzaskowskiego, ani żadnego ministra czy wiceministra. Afera? Jak afera, to nie my, to jacyś obcy ludzie. W każdym razie taki jest stan na początek lipca. My w sumie rozumiemy tę decyzję. Mleko już się rozlało, a rozliczenia winnych mogą uruchomić niebezpieczny proces prucia się partii.

Tymczasem jak Polska długa i szeroka, najpiękniejsza jest Nike, kiedy się waha. Oraz lekarze. Którzy też się wahają. Oczywiście nie wszyscy, bo większość to porządne chłopy (i baby). Nawet wśród naszych najlepszych przyjaciół są lekarze. Chodzi natomiast o wahanie lekarzy kacprzykowców. To ci, którzy, podobnie jak mistrz z warszawskiego Szpitala Południowego, przemienili zwykłe dojenie w sztukę arcydojenia.

Już wyjaśniamy, na czym polega wahanie. Otóż kacprzykowcy zwykle doskonale wiedzą, co nagrabili, a nawet ile zagrabili. W związku z narastającą furią zwykłych ludzi i wścibskością dziennikarzy mają teraz przed sobą wybór: albo sami z siebie złożą korektę faktur, albo schowają głowę w piasek, ryzykując, że pismaki wszystko wywęszą i wszystko ujawnią. Tak źle i tak niedobrze, bo korekta faktur szpitalnych też może przyciągnąć uwagę postronnych. To się nazywa „diabelska alternatywa". Czekamy, czekamy.

Tymczasem w PiS. Tu też ważne decyzje: sposobem na powrót do władzy ma być rozbicie Konfederacji Mentzena oraz atakowanie Konfederacji Brauna tak długo i mocno, aż spadnie poniżej 5 proc. Elementem rozbijania jest publiczne chwalenie Bosaka w kontrze do złego Mentzena. Niestety, plan ten nie przewidział efektu: chwalony publicznie przez PiS Bosak tym bardziej musi PiS atakować, żeby się uwiarygodnić w Konfederacji.

Z kolei nasze wiewiórki węgierskie donoszą, co następuje: radość Radka Sikorskiego, że Węgry odbierają status uchodźcy Ziobrze i Romanowskiemu, oparta jest na fałszywych przesłankach,



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

a news na ten temat pochodzi z okolicy tylnej części ciała. Otóż o azylu na Węgrzech – jak to zwykle w UE – decydują sądy. Węgierski minister spraw wewnętrznych może sobie na portalu X wrzucić cokolwiek i nie ma to mocy prawnej.

Wakacje. Ludziska podróżują. Nasz wiewiórka bawił niedawno w Janowie Podlaskim, w którym – jak wiadomo – kiedyś wszystko było źle przez PiS. Jak usłyszał wiewiórka: „Takiego syfu i złodziejstwa, jak jest teraz, nie pamiętają najstarsi masztalerze". Dość powiedzieć, że przegląd hodowlany, z którego słynęła stadnina, został utajniony. Choć nie dla wszystkich. Wtajemniczeni nadal mogą w nim uczestniczyć, ale byle cham z ulicy nie wejdzie.

Jeszcze bardziej groteskowe są podobno przygotowania do najsłynniejszej imprezy w Janowie, którą jest Pride of Poland. Nie będziemy robić obecnemu kierownictwu wyrzutów, że w tym roku nie dotrze do Janowa Charlie Watts, perkusista Rolling Stones, gdyż od pięciu lat nie żyje. W tej sytuacji gwiazdą ma być Małgorzata Kidawa-Błońska. Podczas imprezy ma ogłosić, że rozpoczęte zostaną starania o wpisanie janowskiej stadniny na listę dziedzictwa ludzkości UNESCO. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że obecne władze stadniny nie są tym zachwycone. Inicjatorami byli natomiast miejscowy burmistrz i aktywiści, miłośnicy koni arabskich. Prawdopodobnie nowej władzy nie pasuje, że wpis na listę UNESCO oznacza transparentność. Sami powiedzcie: No, na co to komu?

Tymczasem w Instytucie Pileckiego trzęsienie ziemi. Nowojorski oddział tej szacownej instytucji przestał być kierowany przez niejakiego Piotra Franaszka. Dodajmy, że nie chodzi o profesora z Krakowa, ale człowieka o tym nazwisku z Lublina, poukładanego z tamtejszą Koterią Obywatelską i przyległościami. Krążą nawet jakieś plotki o dużej jego zażyłości z jedną z parlamentarzystek. Nie będziemy mu za to robić wyrzutów. Jednak pojawiły się również zarzuty, że facet ma dość nonszalancki stosunek do grosza publicznego. W związku z czym powędrowało zawiadomienie do prokuratury. Miejsce Franaszka zajęła tymczasowo postać znacznie bardziej znana, czyli Jack Fairweather, autor bestsellerowej anglojęzycznej biografii Witolda Pileckiego „Ochotnik". Trudno nam sobie wyobrazić bardziej odpowiednią osobę na tym miejscu.

Sam szef centrali Instytutu Pileckiego nie jest jednak pewien swoich dalszych losów. Karol Madaj jest jedynie „pełniącym obowiązki". Czy zostanie pełnoprawnym szefem – okaże się w sierpniu. Jedno jest pewne – facet ma poparcie załogi, która niemal w całości podpisała list do minister Marty Cienkowskiej o uczynienie go szefem tej instytucji na stałe.

To, co najważniejsze: mundial. Do najważniejszego już doszło: odpadli Niemcy. Odpadli zresztą w nędznym stylu po żenującym konkursie rzutów karnych, których się bardzo podobno bali. W dodatku z Paragwajem. Następnie odpadła Austria, czyli takie mniejsze, gorsze Niemcy (wiemy to z książek Handkego i Bernharda). Dla nas więc w sumie mundial już się skończył, bo to, kto zostanie mistrzem świata, uważamy za drugorzędne. Dajcie ten puchar jakimś tam Argentyńczykom czy innym Brazylijczykom i wyślijcie resztę do domu. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~725 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 418 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 46b98675ff



eprasa.pl 46b98675ff



ŚWIĘCENIA BISKUPIE
W BRACTWIE ŚW. PIUSA X

W środę 1 lipca w seminarium w szwajcarskim Écône odbyły się konsekracje biskupie Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X (FSSPX). Biskupi Bernard Fellay oraz Alfonso de Galarreta, działając bez mandatu papieskiego i wbrew wyraźnemu sprzeciwowi papieża Leona XIV, udzielili sakry czterem kapłanom. Nowymi hierarchami Bractwa zostali: ks. Pascal Schreiber, ks. Michael Goldade, ks. Michel Poinsinet de Sivry oraz ks. Marc Hanappier. Przed rozpoczęciem obrzędu sekretarz generalny FSSPX poinformował, że konsekracje stanowią dla nich „święty obowiązek" względem Kościoła i wiernych. W konsekwencji tych wydarzeń papież Leon XIV objął wszystkich sześciu biskupów biorących udział w konsekracji karą automatycznej ekskomuniki. ***(raw)*** ©℗

CZYTAJ WIĘCEJ NA STR. 48.

FOT. FSSPX.NEWS/FR

eprasa.pl 46b98675ff

Młot na „lepszych”



Rafał A. Ziemkiewicz

Krzysztof Stanowski wydaje się Polakom uosobieniem tego, co tak naprawdę zawsze cenili sobie i cenią najbardziej – zdrowego rozsądku. Twórca i lider Kanału Zero wszedł skutecznie w rolę wyszydzanego przez salonowe autorytety „chłopka-roztropka” i pokazuje na każdym kroku, że „chłopek-roztropek” ze swym zdrowym, chłopskim rozumem góruje nad grzęznącymi we frazesach i bełkoczącymi „elitami”

Niedziela w mediach informacyjno-publicystycznych. Głównym tematem wciąż pozostaje skandal Warszawskiego Szpitala Południowego, a właściwie cała seria skandali, które zdążyły już wokół sprawy narosnąć. Przez telewizje, wyjąwszy stacje otwarcie „prawicowe”, sunie korowód polityków, komentatorów i „ekspertów” związanych z władzą, prezentując szeroki wachlarz strategii relatywizowania, wypierania i „zamiatania” problemu, na czele z nieśmiertelną „kto za tym stoi, komu to służy”. Tym razem nie pojawia się jednak w tych demaskacjach Jarosław Kaczyński ani Władimir Putin. Oczywiście można się domyślić, że zapewne gdzieś w tle i za tą sprawą, jak za każdym niekorzystnym dla władzy zdarzeniem, stoi Kaczyński i że jak zwykle „Putin się cieszy” z osłabiania „sił proeuropejskich”. Ale na ten moment uwaga demaskatorów skupia się na Krzysztofie Stanowskim.

Publicystka „Gazety Wyborczej”, Dominika Wielowieyska: „Nie dajcie się manipulować… Kanał Zero jest stroną sporu, podkręca emocje w celach zarobkowych i dlatego Stanowski wraz z dr. Jędrzejewskim rzucają oskarżenia wobec Dawida Kacprzyka, które nie są poparte faktami ani dowodami… Na samym początku to Kanał Zero ujawnił istotne informacje na temat Szpitala Południowego, i tej zasługi nie można temu medium odmówić… jednak potem panowie wsiedli na konia i pogalopowali, by promować swoje fantazje. Efektem jest histeria, PiS i Republika nazywa tę placówkę »szpitalem śmierci«, a Kacprzyka dr. Mengele. Zatrzymajcie się, krzywdzicie wielu dobrych lekarzy, którzy z poświęceniem pracują na tym SOR w Południowym”.

Na tej jednej wypowiedzi można by uczyć adeptów sztuki PR-owskiego odwracania kota ogonem. Owszem, były na początku jakieś istotne informacje, ale już nie są one istotne. Istotne jest, że Krzysztof Stanowski ujawnia je w złej intencji: podkręca emocje, krzywdzi dobrych lekarzy, żeby na tym zarobić!

Roman Giertych ogłasza: „Nożownik z Jastrzębia Zdrój [pisownia oryginalna; chodzi o człowieka, który w stanie narkotycznego odurzenia wdarł się do tamtejszego szpitala, raniąc lekarza, pielęgniarkę i dwie pacjentki – przyp. R.A.Z.] to fanatyczny widz Kanału Zero. Mam na to dowody, ale ich nie pokażę”. Bartłomiej Arłukowicz, najbardziej aktywny w zamiataniu sprawy polityk KO, oskarża z kolei Kanał Zero o „polityczny zamach na rząd”, który „miał oskarżyć Trzaskowskiego”. „Ja tu czytam politykę,

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. ANITA WALCZEWSKA/EAST NEWS

ja słyszałem wypowiedzi dziennikarzy tej stacji, że właściwie jedynym sposobem jest dymisja Trzaskowskiego i Tuska”.

W ten dyskurs włącza się bliska władzy „ekspertka”, przejęta grozą Alicja Defratyka: „Strona demokratyczna nie była w stanie stworzyć swoich mediów, a prawicowe media rosną w siłę. Nie tylko TV Republika nie została zlikwidowana za szerzenie kłamstw, ruskiej propagandy i sianie nienawiści, ale Kanał Zero można już oglądać nie tylko w internecie, ale też w telewizji!”.

ŚMIECH PRZEZ ŁZY

No to skorzystajmy z tego i przełączmy się z wypełnionych demaskowaniem podżegacza Stanowskiego „Czterech Stron Prasy” i „Loży Prasowej” na Kanał Zero właśnie. Tam trwa właśnie relacja na żywo z Kongresu Zero. Warszawski Torwar zapełniony jest po brzegi – mimo że wstęp na Kongres jest płatny. Co istotne, średnia wieku na sali jest ok. 25–30 lat niższa niż podczas spotkań politycznych, także tych z udziałem samego Tuska.

Po kilku „saportujących” występach na scenę wchodzą Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek. Oni też oczywiście będą mówić o Szpitalu Południowym, ale zupełnie inaczej niż goście wspomnianych telewizji. Po profesjonalnej, estradowej czołówce zaczyna się coś pośredniego pomiędzy klasycznym komentarzem politycznym a podwójnym „stand-upem”. W trakcie rozmowy Stanowski zapowiada występ Jasia Kapeli. Współpracownik „Krytyki Politycznej”, rozsławiony – aczkolwiek i bezlitośnie ośmieszony – głośnym występem właśnie u Stanowskiego, pojawia się wprawdzie tylko na telebimach, rapując o „VIP-SOR Kacprzyka”, poprzedzony kpiarskimi przeprosinami gospodarza, że dotąd poezji Jasia nie doceniał. Ale to wystarczy. Z wolna zapominany klaun lewicy zyskuje nową „popularkę” (wcześniej rap Kapeli miał w necie kilkanaście razy mniej odtworzeń, niż będzie miał widzów ten cytat), a Stanowski z Mazurkiem zapewniają sobie ochronę przed próbami politycznego przyszeregowania.

Mazurek ze Stanowskim przez godzinę przerzucają się pointami i bon motami. Kpią bezlitośnie z polityków KO zapewniających, że nigdy nie byli na SOR w Szpitalu Południowym („No pewnie, że nie byłaś, przecież po to ci właśnie Kacprzyk zrobił fast-track, żebyś mogła SOR ominąć!”), z samego Tuska, dla którego wiarygodnym sygnalistą był Jacek Murański powołujący się na „Wielkiego Bu”, a budzi jego „poważne wątpliwości” wiarygodność dr. Jędrzejewskiego… Najbardziej chyba z rządowych mediów i ich rozpaczliwych prób odwrócenia uwagi od tego, co oczywiste („Pracował 27 godzin na dobę w trzech miejscach naraz i jeszcze widziano go w TVN, i na zebraniu partyjnym, ale niech Jędrzejewski najpierw pokaże, czy ma dowody, że coś było nie tak”). Ale ton kpiny co chwila jest wygaszany, ustępując miejsca pytaniom śmiertelnie poważnym: W jakim państwie my żyjemy? Jak możemy się na to godzić? Gdzie jest prawo? Gdzie się podziała polska demokracja? Kto nam ją ukradł i w jaki sposób?

Nie śledziłem internetowych liczników na żywo, ale po kilku dniach stand-up „anchorów” Kanału Zero obejrzało na YouTube już pół miliona widzów. To mniej więcej tyle samo, znając statystyki Nielsena, ile w tym czasie antenowym miały widzów TVN24, TVP Info i Polsat News razem wzięte. A przecież doliczyć trzeba jeszcze niezliczone krążące po sieci „rolki” z co celniejszymi fragmentami.

Po kilku dniach stand-up „anchorów” Kanału Zero obejrzało na YouTube już pół miliona widzów. To mniej więcej tyle samo, znając statystyki Nielsena, ile w tym czasie antenowym miały widzów TVN24, TVP Info i Polsat News razem wzięte

Przeskakując z kanału na kanał – tu mając ów polityczny stand-up, tam telewizje gromiące Stanowskiego i Jędrzejewskiego wedle tych samych wzorców, według których deprecjonowano kiedyś „listę Macierewicza” i „nienawiść” Jana Olszewskiego – nie mogłem opędzić się od wspomnienia z późnego PRL, kiedy to „Major” Fydrych wyprowadził przeciwko władzy demonstrację krasnoludków. Przypomniała mi się ówczesna bezradność ZOMO, które jeszcze kilka lat wcześniej brutalnie miażdżyło i rozganiało „rozwydrzonych wyrostków” z pokolenia niżej podpisanego, a teraz, ganiając krasnoludki z pałami, budziło chóralny śmiech przechodniów. Było to niemal równie groteskowe jak opowieści Arłukowicza o „politycznym spisku” i „skoordynowanej akcji zamachu na rząd”.

Że sprawdzone metody wobec Stanowskiego nie działają, ostatecznym dowodem są próby wyparcia ze świadomości klasy rządzącej, że ktoś taki w ogóle istnieje. „Nie komentujemy, nie powtarzamy i nie nagłaśniamy treści z tego kanału. Pomijamy treści z tego kanału milczeniem, bo tylko na to zasługują” – wydaje nakaz uczestnikom swojej internetowej sieci Roman Giertych. W rządowej TVP Info zaś prowadząca dyskusję w studiu Aleksandra Pawlicka

eprasa.pl 46b98675ff

używa frazy „pewne medium, które to [wywiad z dr. Jędrzejewskim] zamieściło… nie będziemy tutaj wymieniać na antenie jego nazwy".

Długo by ciągnąć podobne cytaty. Ważne, że sam Stanowski nie tylko się nimi nie przejmuje, lecz także używa jako kolejnych cegiełek do budowania jeszcze większych zasięgów. Gdy Giertych usiłuje pokrętnie przykleić go do skandalu „lewej" uczelni: „Podobno Stanowski też chciał studiować na Collegium Humanum" („podobno", „chciał" – piętrowa insynuacja, typowa dla wyćwiczonego w procesowych ściemach „papugi"), odpisuje: „To prawda, chciałem. Ale wszystkie miejsca były zajęte przez polityków KO i musiałem się obejść smakiem". Jeszcze gorzej wyszedł na próbie zdyskredytowania Stanowskiego jako „PiS-owca" mniej od Giertycha inteligentny Wojciech Czuchnowski. Po kilku złożeniach puściły mu nerwy i zaczął w mediach społecznościowych ubliżać Stanowskiemu od „łajz" i „gówna", a dziennikarzom portalu Zero.pl od „piesków". Ci ostatni bynajmniej nie próbowali unieść się godnością i „nie wymieniać" jego nazwiska, bynajmniej – cytowali wpisy czołowego przedstawiciela „jakościowego dziennikarstwa" z Czerskiej szeroko, i to okazało się strategią dużo skuteczniejszą.

KTO NASTĘPNY?

Trudno się dziwić, że Stanowski i jego media doprowadzają Czuchnowskich i Giertychów do szału, w którym ci tracą panowanie nad sobą. Największą bowiem siłą Stanowskiego, wbrew wrażeniu, które mógłby odnieść czytelnik z powyższego sprawozdania, nie jest sama w sobie kpina. Ta kpina jest tak skuteczna, ponieważ Stanowski wydaje się Polakom uosobieniem tego, co tak naprawdę zawsze cenili sobie i cenią najbardziej – zdrowego rozsądku. Twórca i lider Kanału Zero wszedł skutecznie w rolę wyszydzanego przez salonowe autorytety „chłopka-roztropka" i pokazuje na każdym kroku, że „chłopek-roztropek" ze swym zdrowym, chłopskim rozumem góruje nad grzęznącymi we frazesach i bełkoczącymi „elitami".

Trzeba by przytargać naukowy językoznawczy warsztat oraz poświęcić sporo czasu i wysiłku, by rzecz udowodnić niezbicie (uwaga chętni – jest temat na pracę doktorską!), ale intuicja podpowiada mi, że szczegółowa analiza pokaże, iż Stanowski mówi zupełnie innym językiem niż ten, który dominuje w tzw. debacie publicznej. Językiem oczyszczonym z ideologicznych zaklęć, frazesów, z typowych dla michnikowszczyzny „wszyscy ludzie na pewnym poziomie wiedzą", „przecież", „jak wiadomo", z „argumentowania z autorytetu" i przede wszystkim – z tej typowej dla mediów III RP cechy, którą przed laty nazwałem „dyskursem wykluczania", a która później doczekała się na Zachodzie określenia „cancel culture". Stanowski nie wynosi się, nie unika starć, nie sugeruje, że pójście np. do Kuby Wojewódzkiego byłoby „poniżej jego poziomu". Idzie i „rozjeżdża" go, nie przez „demaskowanie", kto za nim stoi i komu on służy, tylko zdroworozsądkowo, logicznie, punkt po punkcie rozkładając jego argumenty. Na aluzje, budowanie negatywnych skojarzeń, którymi usiłują go zdyskredytować ludzie władzy („nazwał urzędniczkę babsztylem!", „pochwala przemoc wobec kobiet!"), odpowiada prosto, konkretnie, bez ściemniania i jeszcze z wdziękiem, jak klasyfikują to Amerykanie, „chłopaka z sąsiedztwa".

Od „jak do tego doszedł" ciekawsze jest pytanie „co dalej". Kogo Stanowski „rozjedzie" po Kubie Wojewódzkim? Może samego Tuska, razem ze wszystkimi wspierającymi go „elitami"?

Czy nikt przed nim tego nie próbował? Wielu, ale wcześniej nikomu się nie udało w taki sposób ośmieszyć i zdezawuować dyskursu nadętych elit i trafić do masowej widowni z przesłaniem: „Zobacz, posłuchaj, pomyśl – ci wszyscy mędrkowie są tak naprawdę głupsi od ciebie!". Dlaczego udało się wreszcie akurat Stanowskiemu? Trafił we właściwy moment? Jest medialnie sprawniejszy? Okazał się niezwykle utalentowanym i zarazem profesjonalnym menedżerem, budującym świadomie swą popularność przez docieranie, być może wedle przemyślanego planu, do kolejnych grup docelowych i obalanie ku uciesze publiczności kolejnych fałszywych wielkości, najpierw w światku celebryckim – Natalia Janoszek, Caroline Derpienski – a potem, gdy już wyrósł ponad ten światek, w polityce?

Wszystko naraz. Ale od „jak do tego doszedł" ciekawsze jest pytanie „co dalej". Kogo Stanowski „rozjedzie" po Kubie Wojewódzkim? Może samego Tuska, razem ze wszystkimi wspierającymi go „elitami"?

A dlaczego nie? Trzeba stawiać sobie coraz większe wyzwania.

NIE JEST PIERWSZY

Jeśli ktoś mówi, że Stanowski to fenomen niemający precedensu, poprawiam: na polskim gruncie. Przychodzi mi do głowy kariera w dużym stopniu podobna – amerykański mistrz „talk radio", nieżyjący już Rush Limbaugh, który w latach 90., praktycznie w pojedynkę, wywrócił do góry nogami liberalno-lewicową rewolucję wedle wzorców „długiego marszu" Gramsciego. Lekceważony lokalny prezenter radiowy z prowincji, wykorzystując medium zlekceważone przez elity – fale średnie, nienadające się do nadawania muzyki, a więc „odpuszczone" przez medialne koncerny – uzbrojony w zdrowy rozsądek i w imię tego zdrowego rozsądku bezlitośnie obnażający głupotę liberalnych elit, wyrósł do roli najbardziej wpływowego lidera opinii, którego codziennej audycji, w czasach szczytowej popularności transmitowanej przez ponad 800 lokalnych rozgłośni, słuchało kilkadziesiąt milionów ludzi. Wielu twierdzi – i osobiście się z nimi zgadzam – że bez Rusha nie byłoby ani konserwatywnej kontrrewolucji Newta Gingricha, ani późniejszego triumfu ruchu MAGA.

Krzysztof Stanowski wydaje mi się postacią podobną i dysponującą podobnym potencjałem. I bez wątpienia, podobnie, trafia w szczególny historyczny moment. Ludzie mają już dość starej elity i jej opowieści, choć jeszcze nie widzą żadnej nowej, która dla tej starej, sklerotycznej i przegniłej stworzyłaby atrakcyjną alternatywę. Na razie mogą tylko bić brawo „chłopakowi z sąsiedztwa", który niczym chłopczyk z bajki Andersena pokazał im, że król jest zupełnie nagi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff

Najgorszy, bo inteligentny



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Ma kanał na YouTube, portal i telewizję. Jego wpisy na X generują tysiące polubień i wyświetleń. Dla rządzących i sprzyjających im mediów Krzysztof Stanowski jest poważnym zagrożeniem

Jeśli miałbym wyobrazić sobie idealny scenariusz, idealny rynek mediów w Polsce, to wyglądałby on tak: portal Zero.pl codziennie publikuje nowe odcinki serialu o Szpitalu Południowym, a „Wyborcza" w tym czasie donosi, że Krzysztof Stanowski prawie zes..ł się na scenie. Dokładnie o tym marzyłem. My walczymy o ważne rzeczy, donosimy o trudnych tematach, a „Wyborcza" walczy z sygnalistami, walczy z naszymi źródłami i zastanawia się, czy się sfajdałem w gacie. To dokładnie pokazuje, w jakich kierunkach podąża jedno i drugie medium – mówi Krzysztof Stanowski w jednym z komentarzy na Kanale Zero.

Odniósł się w ten sposób do trwającej od kilku tygodni burzy medialnej – odsłanianie przez jego portal kolejnych fragmentów afery w stołecznym szpitalu (o którym w kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski mówił, że sam go wybudował) wywołuje coraz większą histerię mediów sprzyjających obecnej władzy. Według Stanowskiego podjęto próbę zniwelowania politycznych skutków skandalu i w tym celu „Gazeta Wyborcza" próbuje przekierować uwagę opinii publicznej na niego. Rzecz jasna, przodują w tym politycy Koalicji Obywatelskiej. Po ubiegłotygodniowym, wielogodzinnym przesłuchaniu w prokuraturze sygnalisty ze Szpitala Południowego, dr. Emila Jędrzejewskiego, Stanowski zwrócił się w serwisie X do premiera Donalda Tuska: „Dzień dobry. Czy jeśli w piątek doktor Jędrzejewski był niewiarygodny, ponieważ nie odpowiedział na pytania, to czy dzisiaj jest już wiarygodny, skoro odpowiada od ośmiu godzin? Bardzo dziękuję za odpowiedź". Niedługo po nim w podobnym stylu wypowiedział się Mateusz Morawiecki. „Mam nadzieję, że skoro jeszcze w piątek dr Jędrzejewski był dla Donalda Tuska »niewiarygodny«, bo nie odpowiedział na pytania, to dziś – gdy odpowiada na nie od ośmiu godzin – jest już dla niego jak najbardziej wiarygodny. Choć mam takie przeczucie, że problemem nigdy nie było milczenie doktora, tylko to, co ma do ujawnienia o aferze w Szpitalu Południowym…" – napisał były premier.

Przypomnijmy: po pierwszej próbie przesłuchania, gdy były ordynator chirurgii nie chciał zeznawać bez pełnomocnika, szef rządu publicznie podważył jego wiarygodność. Według przedstawicieli KO, m.in. szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego, narzucające się wręcz pytania o drugie, jak przekazała prokuratura, bardzo rzeczowe przesłuchanie sygnalisty to koronny dowód na współpracę Stanowskiego z PiS.

„Morawiecki i Stanowski wrzucają na X niemal jednobrzmiące teksty. Wzorowa współpraca w PiS. Zuchy!" – próbował kpić minister. Wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk porównał z kolei wpisy Stanowskiego i Morawieckiego: „Nowogrodzka znowu nadaje…". – Udało się zafałszować przekaz i oświadczyć swoim fanatykom, że Zero to partyjna przybudówka – powiedział Stanowski na Kanale Zero.

Dalej dziennikarz skomentował teksty „Wyborczej" na temat Kongresu Zero 2026, który odbył się w Warszawie w ostatni weekend czerwca. – Moje zdanie o „Gazecie Wyborczej" znacie. To medium póki co upadłe moralnie, na szczęście wkrótce także upadłe finansowo. Na razie jeszcze jakoś ciągną, wprawdzie co jakiś czas trzeba robić zwolnienia grupowe, no ale ciągną – podsumował.

NAJGORSZY Z NAJGORSZYCH

„Tacy są najgroźniejsi, bo inteligentni" – to zdanie, wypowiedziane przez informatora „Newsweeka", dobrze obrazuje, kim jest dziś dla koalicji rządowej i sprzyjających jej mediów Krzysztof Stanowski – zagrożeniem. Postrzegany nie tylko jako osoba inteligenta, lecz także taka, która nie przeprasza za swoje poglądy, wywołuje wściekłość. Przyzwyczajone do hegemonii w mediach „elity" wywodzące się z III RP nie mogą znieść ludzi nieuginających karku pod presją. Tygodnik poświęcił szefowi KZ okładkę. Próbował nakłonić go do pokajania się po słowach na temat urzędniczki skarbówki, która ukarała gdańską pizzerię mandatem za stosowanie niższej stawki VAT na pizzę z krewetkami. Stanowski w programie na Kanale Zero ostro określił ją jako „głupią, wredną babę" i stwierdził, że powinna zostać rozebrana do naga i przypięta do słupa na rynku ku przestrodze. „Nie żałuje tego, co powiedział o urzędniczce" – czytamy w tekście Renaty Kim. „Ta kobieta jest symbolem patologii urzędniczej. Gdyby była znana z imienia i nazwiska, możliwa do zidentyfikowania, to pewnie bym tego nie powiedział. Ale moje słowa odnosiły się do całej instytucji, która niestety bywa oprawcą dla przedsiębiorców. Bardzo mnie śmieszy, że teraz wiele osób mówi, jak to potężny Stanowski zaatakował

eprasa.pl 46b98675ff

biedną urzędniczką. Ale kiedy zaatakowałem KAS, nagle okazuje się, że to ja jestem tym małym w starciu z wielkim aparatem państwowym" – powiedział „Newsweekowi" Stanowski. „Żałuje swoich słów tylko z jednego powodu: bo nie lubi, gdy ludzie z jego otoczenia muszą się za niego tłumaczyć. Kiedy są nagabywani, jak mogą pracować z tym okropnym Stanowskim" – wskazano dalej.

Kluczem do sukcesu w przypadku Kanału Zero i portalu Zero.pl nie jest sam pomysł na internetowe medium, choć jak pokazują liczby, działa bardzo dobrze; przewagą KZ nad konkurencją jest postać lidera – wyrazistego, niezwykle popularnego, chętnie wchodzącego w internetowe dyskusje, często „orającego" swoich interlokutorów. Ma ogromną grupę przeciwników, których razi przede wszystkim to, że za rządów Zjednoczonej Prawicy tak chętnie nie zajmował się aferami władzy. Stanowski budzi ogromne, skrajne emocje. Wraz ze swoimi dziennikarzami, którzy – jak zapewnia szef KZ – mają pełną wolność, narzuca tematy, czego najlepszym przykładem jest ujawniona przez portal Zero.pl afera Szpitala Południowego w Warszawie. Sprawa zdominowała dyskurs w Polsce i choć dotychczas nie było żadnych politycznych dymisji, to niewykluczone, że w lipcu dojdzie jednak do rekonstrukcji rządu, w której stanowisko straci minister zdrowia Jolanta Sobierańska-Grenda (donosiło o tym Radio Zet).

Europoseł Bartosz Arłukowicz, który w obozie władzy wziął na siebie medialną odpowiedzialność za rozmasowanie skutków afery szpitalnej, wprost stwierdza, że zamiast afery jest próba osłabienia rządu. – Dla mnie była to w pełni przygotowana, ale nieprofesjonalnie przeprowadzona próba ataku na rząd. Nie wiem, czy wywrotki rządu – to może za daleko idące stwierdzenie – ale z pewnością politycznego ataku na rząd – mówił w Radiu Zet. – Kiedy zestawiam zablokowanie [zarezerwowanie – przyp. red.] domeny dotyczącej odwołania Rafała Trzaskowskiego i referendum z korelacją czasową występów kolegów pana redaktora Stanowskiego, którzy stoją na czele Komitetu Referendalnego [Macieja Wilka – przyp. red.], i słyszę samego Stanowskiego, który mówi, że właściwie jedynym sposobem rozwiązania tego problemu jest odwołanie Trzaskowskiego, a najlepiej także Tuska, to świadczy o tym, że chłopaki przystąpili do grubej polityki – ocenił były minister zdrowia.



Rekord dała Kanałowi Zero rozmowa z dr. Emilem Jędrzejewskim FOT. KANAŁ ZERO/YOUTUBE

– Jeśli przez moment ktoś mógł sądzić, że Koalicja Obywatelska po prostu zajmie się wyjaśnieniem afer w Szpitalu Południowym... nie no, żartowałem, nikt tak w ogóle nie sądził. Ale to, co dzieje się wokół tej sprawy, na wielu poziomach jest kuriozalne, a nawet ohydne. No ale wiadomo, że skoro został aktywowany Roman Giertych, to musi być ohydnie. Przy czym doszło do niespodzianki iście mundialowej – tym razem ujawniły się nowe postaci i w rankingu ohydztwa Giertych wylądował sensacyjnie na drugim miejscu. Niedoceniony wcześniej zawodnik, takie Curacao, wyprzedziło Romana Giertycha w obrzydlistwie. Rzadka rzecz – powiedział szef KZ, komentując medialne popisy Arłukowicza.

Jednym z największych atutów Krzysztofa Stanowskiego jest umiejętność monetyzowania płynącego w stronę jego i jego mediów hejtu. Im więcej krytyki ze strony rządzących i ich medialnych przybudówek, tym więcej materiałów do komentowania ma Stanowski. Im więcej materiałów, tym więcej pieniędzy. Czterdziestotrzyletni Stanowski jest na drodze do zbudowania medialnego imperium. Jego działający od lutego 2024 r. Kanał Zero generuje gigantyczne wyświetlenia, a co za tym idzie – zyski. „9,8 miliona wyświetleń jednego dnia to nowy rekord Kanału Zero. Poprzedni rekord – 9,3 mi-

Kolejne ataki medialnej konkurencji i próby nakłonienia reklamodawców do bojkotu KZ nie przynoszą skutku

eprasa.pl 46b98675ff



liona – to wieczór wyborczy sprzed roku" – pochwalił się Krzysztof Stanowski.

Kolejne ataki medialnej konkurencji i próby nakłonienia reklamodawców do bojkotu KZ nie przynoszą skutku. Rekord dała Kanałowi Zero rozmowa z dr. Emilem Jędrzejewskim. Stanowski zapytany, jak wyświetlenia te przekładają się na zarobki z reklam, odpowiedział – 22 525 830,69 zł. W dobie coraz trudniejszej sytuacji mediów tradycyjnych Stanowski rośnie w siłę. Jego konkurencja zwalnia, on zatrudnia. W czerwcu ruszyły zwolnienia grupowe w Ringier Axel Springer Polska. Sześć osób odeszło z tygodnika „Newsweek". W marcu o zakończeniu procesu zwolnień grupowych informowała Agora. „Nigdy nie byłem fanem Stanowskiego, ale nieziemską satysfakcję sprawia mi patrzenie, jak krok po kroku doprowadza dziennikarzy »Wyborczej« do szaleństwa, odbierając im wszystko, co kochali: hegemonię kulturową, poczucie wyższości i monopol na rację" – skomentował w serwisie X „Jego Magnificencja prof. dr hab. Zelig", ironiczny komentator o prawicowych sympatiach.

Lista wrogów Krzysztofa Stanowskiego jest długa. Są na niej wspomniana już „Gazeta Wyborcza" i jej poszczególni przedstawiciele, zwłaszcza Wojciech Czuchnowski; TVP Info z Dorotą Wysocką-Schnepf na czele, z którą szef KZ i Robert Mazurek wciąż mają proces; dalej jest Roman Giertych i skupiona wokół niego grupa internetowych aktywistów Silni Razem (nazywani „silniczkami").

CIĄG NA BRAMKĘ

Urodzony w Warszawie Stanowski swoją przygodę z dziennikarstwem sportowym zaczął bardzo wcześnie. Już w wieku 14 lat rozpoczął staż w redakcji „Przeglądu Sportowego", gdzie odbierał telefony od czytelników, wyszukiwał zdjęcia do artykułów, przygotowywał tabele III ligi piłkarskiej i pisał sprawozdania z meczów. Krzysiek zawsze miał chęć rywalizowania. Mieliśmy wyznaczone premie za teksty i pamiętam, że kiedyś przy obiedzie mówi: „Co tydzień muszę napisać najlepszy tekst, żebym to ja tę premię zgarnął" – mówi „Newsweekowi" dziennikarz sportowy Przemysław Rudzki, który do dziś przyjaźni się z Krzysztofem Stanowskim. Swój warsztat szlifował też, pisząc dla klubowego magazynu stołecznej Legii. W wieku zaledwie 20 lat został wysłany przez „PS" jako korespondent na mundial do Korei Południowej i Japonii. Szybko awansował na szefa działu piłkarskiego gazety.

Stanowski poszedł „na swoje", otwierając niezwykle popularny portal dla fanów piłki nożnej Weszło.pl. Współpracował z TVP, dla której przygotowywał cotygodniowe programy o tej tematyce. Bardzo ważnym momentem w karierze Stanowskiego było otwarcie wraz z Michałem Polem, Tomaszem Smokowskim i Mateuszem Borkiem działającego na platformie YouTube Kanału Sportowego. Największym zainteresowaniem widzów KS cieszyło się „Dziennikarskie Zero", czyli autorskie commentary „Stana". Ich drogi się rozeszły, a 1 lutego 2024 r. ruszył Kanał Zero na YouTube. Portal Zero.pl został uruchomiony 9 lutego 2026 r., a Telewizja Zero TV 20 maja.

IDZIE NA REKORD

„Stano jest megautalentowany, ma świetne pióro i jest ambitny, aż za bardzo. Ale nieprzypadkowo najbliżej mu było do Pawła Zarzecznego, który był inny niż reszta dziennikarzy sportowych. Stanowskiego też zawsze ciągnęło do przekraczania granic. Najpierw w świecie sportu, a potem biznesie" – mówi „Newsweekowi" wieloletni znajomy Stanowskiego. Inny z rozmówców ocenia szefa KZ negatywnie: „Pióro ma rzeczywiście świetne. A do tego doskonałe wyczucie i ucho, by popłynąć na fali populizmów i dobrze na tym zarobić. Cyniczny manipulator. Tacy są najgroźniejsi, bo inteligentni. Ale to inteligencja makiaweliczna. To zły człowiek". Tymczasem w ubiegłym tygodniu szef KZ znowu triumfował: „115,7 miliona wyświetleń Kanału Zero w czerwcu. Drugi najlepszy wynik w historii […]. Wzrost o 22 proc. Idziemy na 1,2 mld wyświetleń w 2026 r. Plus telewizja. Plus portal".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Z dr. Bartłomiejem Wróblewskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości, prawnikiem, przewodniczącym Forum Konserwatywnego PiS
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie ma wrogów na prawicy

FOT. KRZYSZTOF KUBIAK/REPORTER

RYSZARD GROMADZKI: Rozmawiamy bezpośrednio po konwencji „Rodzina, Edukacja, Demografia" zorganizowanej przez Forum Konserwatywne PiS. Jak pan chce przekonać konserwatywnych wyborców, że Prawo i Sprawiedliwość jest rzeczywistą alternatywą wobec obydwu Konfederacji, a przyjęta ostatnio przez PiS retoryka nie jest tylko politycznym manewrem obliczonym na odebranie im głosów w wyborach?

DR BARTŁOMIEJ WRÓBLEWSKI: Moje i nasze stanowisko od lat nie ulega zmianie. Jako Forum Konserwatywne PiS dążymy do konserwatywnej, chrześcijańskiej i wolnościowej korekty programu Prawa i Sprawiedliwości. Naszym celem jest wprowadzenie do programu kilkudziesięciu spraw, przygotowanie kluczowych 20 ustaw dla wyborców ideowej prawicy. Mam przekonanie, że nie tylko prezes Jarosław Kaczyński i Przemysław Czarnek, ale – szerzej – kierownictwo formacji dziś rozumie, że taka odnowa jest konieczna. Bo to my mieliśmy rację, blokując w 2020 r. „piątkę dla zwierząt", nie tylko w wymiarze ideowym, lecz także pragmatycznym. Ten szerszy zresztą zwrot ku centrum był jedną z przyczyn trwałej utraty zaufania istotnej części Polaków. Tę pustkę zapełniły kolejne Konfederacje.

Tych przyczyn było dużo więcej. Ślepy sanitaryzm w czasie COVID-19, bezrefleksyjne rozdawnictwo wobec Ukrainy kosztem własnego społeczeństwa, uległość wobec Unii Europejskiej. Mam przekonanie, że po tym wszystkim wielu wyborców PiS odwróciło się od partii nieodwracalnie.

Rzeczywiście brak „rachunku sumienia" po wyborach w 2023 r. ciągle nas pęta. Chociaż jest w Prawie i Sprawiedliwości „niewypowiedziana refleksja". Przejawia się w wysunięciu kandydatury Przemysława Czarnka na premiera czy bardziej zdecydowanej polityce wobec Unii Europejskiej oraz Ukrainy.

Pamiętam naszą rozmowę sprzed kilku lat. Powiedział pan wtedy, że jeżeli PiS będzie kontynuował „technokratyczny kurs", którego uosobieniem był gabinet Mateusza Morawieckiego, to skończy się to wyrośnięciem na prawo od Prawa i Sprawiedliwości ugrupowania o potencjale 20 proc. poparcia. Tak właśnie się skończyło...

O ile pamiętam, nie wspominałem wówczas osoby premiera, bo starałem się być powściągliwy i nie za wszystkie sprawy – uczciwie rzecz biorąc – odpowiadał. Ale rzeczywiście taka była moja teza. Wypowiedziana zresztą także w rozmowie naszego środowiska z prezesem Jarosławem Kaczyńskim w listopadzie 2020 r. Zwróciłem uwagę, że ten proces technokratyzacji partii tradycyjnej prawicy zachodzi w kolejnych krajach europejskich, a odpowiedzią są nowe partie konserwatywne, jak VOX w Hiszpanii. Wyraziłem obawę, że zachodzi także w Polsce. Choć przyznam, że nie przypuszczałem, iż mogą powstać aż dwie takie silne formacje, a ich poparcie dojść do niemal 25 proc.

Czy koalicja PiS-Konfederacja-Korona po przyszłorocznych wyborach jest nadal możliwa? Czy też intensywność konfliktu na prawicy, przejawiająca się w ostracyzmie PiS wobec Grzegorza Brauna, jest tak duża, że można o niej zapomnieć?

Celem głównym jest zakończenie szkodliwych dla Polski rządów Donalda Tuska i liberalno-lewicowych radykałów. Potrzebują tego polscy przedsiębiorcy, rolnicy i wszyscy, którzy chcą normalności. Szanuję wszystkie partie prawicowe i dla mnie nie ma wrogów na prawicy. Mimo codziennej konkurencji cała prawica musi współpracować. Żeby powstał pakt senacki, Tusk, Adam Bodnar i Waldemar Żurek trafili przed Trybunał Stanu za naruszenia konstytucji, a ta ostatnia została poprawiona, a być może nawet zmieniona. Co do rządu trzeba zrobić po wyborach to, co będzie konieczne.

Był pan pomysłodawcą i twarzą inicjatywy, która zaowocowała w październiku 2020 r. wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego uznającym tzw. przesłankę eugeniczną przy aborcji jako niezgodną z Konstytucją RP. Część liderów PiS twierdzi, że był to strategiczny błąd, który spowodował utratę władzy przez Prawo i Sprawiedliwość. Zgadza się pan z taką diagnozą? Czy żałuje pan dziś swego zaangażowania w ten projekt?

Samo podjęcie sprawy ochrony życia nienarodzonych, chorych i niepełno-

eprasa.pl 46b98675ff

sprawnych dzieci było konieczne. Bez tego Prawo i Sprawiedliwość straciłoby twarz, gdyż zapowiadało to wielokrotnie przed 2015 r. Można było zrobić to jednak inaczej, bardziej wiarygodnie. Nie zadbaliśmy o spadający autorytet Trybunału Konstytucyjnego, rząd nie przygotował zapowiadanych ustaw pomocowych dla matek w trudnych ciążach i rodzin, zaspały media publiczne, a wyrok zapadł w dziwnych okolicznościach obostrzeń covidowych i zaraz po „piątce dla zwierząt". Mówię „my", bo czuję się współodpowiedzialny za działania obozu politycznego, choć my, posłowie, nie mieliśmy na to niestety żadnego wpływu.

Paradoksalnie dla części naszego obozu sprawa ochrony życia stała się później usprawiedliwieniem wielu innych zaniedbań i grzechów. Ale przypomnę, że prezydent Karol Nawrocki przed drugą turą wyborów prezydenckich, w rozmowie ze Sławomirem Mentzenem na jego kanale, tłumaczył się z polityki europejskiej PiS, polityki wobec Ukrainy, Polskiego Ładu, działań naszych rządów wobec przedsiębiorców i rolników, „tłustych kotów", ale nie z ochrony życia. Kandydaci pro-life w wyborach prezydenckich zdobyli grubo ponad 50 proc. głosów. Upatrywanie w tej sprawie przyczyny utraty władzy było więc raczej swoistym alibi dla przemilczenia realnych przyczyn. Dzisiaj te dyskusje uległy pewnemu zracjonalizowaniu. Rozumiemy, że Prawo i Sprawiedliwość musi być partią, która broni praw i spraw zasadniczych. Stąd właśnie Konwencja Programowa „Rodzina, edukacja, demografia", którą podjęliśmy jako Forum Konserwatywne PiS. Podejmujemy najważniejsze sprawy ideowe, kluczowe dla przyszłości Polski. Z jednej strony to ochrona rodziny i małżeństwa, praw rodziców i tradycyjnej szkoły, wolności religijnej w związku z brutalnymi atakami na te wartości naturalne i konstytucyjne przez obecny rząd. Z drugiej strony to kwestie demografii, reemigracji i repatriacji, a także zagrożeń związanych z migracją. Te sprawy zdecydują, czy będą Polacy i jaka będzie Polska. Prawica, Prawo i Sprawiedliwość muszą pozostać wiarygodne ideowo. Jednocześnie trzeba zachować zdrowy rozsądek, zmiany etapować, trzymać balans między głoszoną ideą a możliwościami realizacji w konkretnej sytuacji polityczno-społecznej. Bo dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane.

Czy to nie kolejny koncert pobożnych życzeń? A mówiąc wprost – porcja kiełbasy wyborczej?

Gdyby pozostać na poziomie szczytnych haseł, można taki zarzut postawić, ale mówię konkretnie, o pakiecie obejmującym kilkadziesiąt konkretnych rozwiązań. Między innymi zakończenie ideologicznych eksperymentów Barbary Nowackiej w MEN, likwidację edukacji zdrowotnej, obowiązkową religię bądź etykę, wyrównanie finansowania szkół samorządowych i niesamorządowych oraz edukacji domowej, obniżenie podatków dzięki „Rodzinnemu PIT", powołanie Rzecznika Praw Rodziny i Pełnomocnika Rządu do spraw Prześladowań Chrześcijan, przyjęcie i promocję projektu Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny, a także ważne projekty, jak emerytura demograficzna czy 0 ZUS dla pracodawcy w przypadku matek powracających na rynek pracy, pracę i mieszkanie dla reemigrantów oraz repatriantów, a także odrzucenie Paktu Migracyjnego i skuteczną politykę deportacyjną. Na jesieni planowana jest kolejna nasza Konwencja Programowa „Suwerenność i gospodarka" i tam z kolei będzie konkretyzacja tych spraw.

Podjęcie sprawy ochrony życia nienarodzonych, chorych i niepełnosprawnych dzieci było konieczne. Bez tego PiS straciłby twarz, gdyż zapowiadał to wielokrotnie przed 2015 r.

Inicjatywa byłego premiera Morawieckiego, w postaci Stowarzyszenia „Rozwój Plus", nie rozsadzi PiS od wewnątrz? Wydaje się, że Morawiecki ewidentnie gra na siebie, do tego nigdy nie był konserwatystą. Dlatego konserwatywna korekta w PiS, którą pana środowisko próbuje wdrożyć, może być dla niego nie do przełknięcia.

Jak powiedziałem, Prawo i Sprawiedliwość jest, wzorem amerykańskiej Partii Republikańskiej, partią wielkim namiotem. Muszą współistnieć różne nurty, bo prawi Polacy też nie są według jednej miary. Dobrze więc, że nurt centrowy istnieje i może – mówię to bez kurtuazji – odegrać ważną rolę. Nie może jednak nadawać ideowego tonu. Mam nadzieję, że nie wzmocni się tam gen podziału.

Mówi pan o potrzebie balansu między głoszoną ideą a możliwościami jej realizacji w konkretnej sytuacji społeczno-politycznej. Myślę, że w tak fundamentalnej sprawie jak ochrona życia nie ma miejsca na żaden balans i kompromis. Wybór ogranicza się do tego, że jest się za życiem albo za śmiercią. Dla ideowej prawicy „tak" powinno znaczyć „tak", a „nie" – „nie".

Ochrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci wynika z naszej wiary i kultury, ale to także obowiązek prawny, bo polska konstytucja stoi po stronie życia. Artykuł 38 i art. 30, orzecznictwo Trybunału Konstytucyjnego jednoznacznie mówią o ochronie godności człowieka i ochronie prawa do życia, od początku do końca. A w razie wątpliwości formułują domniemanie na rzecz ochrony życia ludzkiego (in dubio pro vita humana). Odsunięcie Tuska od władzy będzie oznaczać koniec niekonstytucyjnego zabijania dzieci z byle przyczyny. A winni naruszeń poniosą odpowiedzialność prawną.

Marszałek Józef Piłsudski mawiał, że naród, który traci pamięć, przestaje być narodem, a staje się zbiorem ludzi czasowo zamieszkujących jakieś terytorium. Gorzka maksyma Piłsudskiego potwierdza się właśnie w Poznaniu, skąd pan pochodzi, którego władze forsują wielki projekt deweloperski na Ostrowie Tumskim, kolebce polskiej państwowości, który trwale zmieni charakter tego miejsca.

To przykład barbarzyńskiej polityki Koalicji Obywatelskiej w Poznaniu. Ostrów Tumski jest jednym z najważniejszych historycznie, obok Gniezna, Wawelu czy Zamku Królewskiego w Warszawie, miejsc w Polsce. Tu powstał pierwszy kościół i pierwsza polska katedra, istnieją ślady największego piastowskiego grodu, tu pochowani są pierwsi władcy: Mieszko I, Bolesław Chrobry, Mieszko II i Kazimierz Odnowiciel. Stąd ustawa, którą wraz z koleżankami i kolegami z Forum Konserwatywnego PiS przygotowałem, a Klub PiS złożył do laski marszałkowskiej. Teraz pracuję nad podobną ustawą o ochronie Gietrzwałdu. Tam także lokalnym politykom puściły hamulce. Zatrzymamy to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Łukasz Warzecha



Rafał Trzaskowski ponosi polityczną odpowiedzialność za to, co dzieje się w Szpitalu Południowym w Warszawie

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

SOR-y Rafał, taki mamy klimat

W kontekście planu referendalnego w Warszawie są dwa kluczowe pytania. Po pierwsze: Czy u mieszkańców Warszawy został już przekroczony próg bólu? Po drugie: Gdyby udało się zebrać podpisy pod wnioskiem o referendum, czy Donald Tusk postanowi zaangażować się w obronę politycznego przegrywa, którym stał się po drugiej wyborczej porażce dwugodzinny prezydent Polski, Trzaskowski?

W ciągu 60 dni od zgłoszenia inicjatywy komitet zawiązany na rzecz zorganizowania w Warszawie referendum w sprawie odwołania prezydenta Rafała Trzaskowskiego i Rady m.st. Warszawy musiałby zebrać 132 290 podpisów. Zgodnie z ustawą o referendum lokalnym do ogłoszenia referendum na wniosek grupy mieszkańców potrzebne jest 10 proc. uprawnionych do głosowania w danej gminie, a w 2024 r. było to ponad 1 322 000 osób. Znacznie jednak wyższy jest próg frekwencyjny, od którego referendum już przeprowadzone jest ważne i organ samorządu terytorialnego zostaje odwołany. Musi to być 60 proc. liczby wyborców, którzy powołali dany organ, czyli – w przypadku Trzaskowskiego – wzięli w 2024 r. udział w pierwszej i w stolicy jedynej turze głosowania. Ponieważ liczba wydanych kart do głosowania przekroczyła wtedy 772 tys., to aby odwołać prezydenta miasta i radę (w wypadku jednej tury próg jest dla obu kwestii ten sam), zagłosować musiałoby ponad 467 tys. osób. Byłaby to frekwencja wynosząca ponad 35 proc. Bardzo trudne do osiągnięcia.

Jednak Maciej Wilk, inicjator stowarzyszenia Tak dla CPK, uważa, że to dobry moment. Gdy Wilk zakładał stowarzyszenie wspierające projekt CPK w jego pierwotnie projektowanym kształcie, pracował jeszcze jako prezes kanadyjskich linii lotniczych Flair Airlines. Z Kanady wrócił na stałe w lutym tego roku. Jest przykładem coraz częściej pojawiającego się w polskim życiu publicznym typu osoby: swoje już zrobił i zarobił w biznesie, postanowił zatem zacząć działać w sferze publicznej.

WARSZAWA DRUGIM KRAKOWEM?

Inicjatywa na rzecz odwołania Rafała Trzaskowskiego otrzymała miano Stołecznej Operacji Referendalnej – w skrócie SOR, tak jak szpitalny oddział ratunkowy, co jest oczywiście nawiązaniem do afery w Szpitalu Południowym, która wydaje się nie mieć końca. W poprzednim tygodniu ukazał się kolejny jej rozdział, być może najbardziej bulwersujący, dotyczący skandalicznych, a momentami odrażających praktyk w szpitalnym prosektorium. Dziennikarze Onetu, którzy zbadali sprawę, twierdzą, że za sprawą decyzji ordynator prosektorium dostał w niepodzielne władanie człowiek, który uczynił z niego prywatne królestwo, miał inkasować pieniądze poza systemem od rodzin zmarłych, stręczyć usługi umówionym firmom pogrzebowym, a także bezcześcić zwłoki. W jednym opisywanym przypadku miał na nie złośliwie nasikać, gdy rodzina zmarłego nie zaakceptowała jego próby wciśnięcia usług konkretnej firmy pogrzebowej. Ten akurat wątek nie obciąża może prezydenta Trzaskowskiego bezpośrednio – przynajmniej na razie – ale pośrednio jak najbardziej. Wszak o nieprawidłowościach w Szpitalu Południowym miał Rafał Trzaskowski wiedzieć od dr. Emila Jędrzejewskiego, a to warszawski samorząd jest organem prowadzącym placówkę. Zatem odpowiedzialność polityczną za wszelkie dziejące się tam patologie ponosi właśnie prezydent stolicy.

Ważnym czynnikiem, zachęcającym Macieja Wilka do działania, jest częściowy sukces referendum w Krakowie, w którym udało się odwołać Aleksandra Miszalskiego ze stanowiska prezydenta miasta – ale już nie udało się odwołać rady miasta.

eprasa.pl 46b98675ff

W Krakowie bowiem, inaczej niż w Warszawie, były dwie tury wyborów samorządowych. W pierwszej, przy wyższej frekwencji, wybrano radę miasta, a dopiero w drugiej Miszalskiego – przy niższej frekwencji. Dlatego próg frekwencyjny dla odwołania prezydenta w referendum był ustawiony niżej niż dla rady miasta.

Trzeba jednak pamiętać, że nad Warszawą unosi się fatum nieudanego referendum sprzed 13 lat. W 2013 r. próbę odwołania Hanny Gronkiewicz-Waltz podjął lider Warszawskiej Wspólnoty Samorządowej Piotr Guział. Początek był bardzo obiecujący, komitetowi pod przewodnictwem Guziała udało się bowiem zebrać o ok. 100 tys. podpisów więcej, niż było konieczne dla ogłoszenia referendum – ponad 232 tys. To dawało nadzieję na odpowiednią frekwencję podczas głosowania w październiku, ale tutaj zwolennicy odwołania prezydent polegli, choć od zwycięstwa dzieliło ich niewiele. Do ważności referendum potrzeba było niespełna 389,5 tys. głosujących, tymczasem udział wzięło w nim nieco ponad 343 tys. mieszkańców. Zabrakło zatem ok. 46 tys. głosów. Jak widać, tym razem byłoby o wiele trudniej, bo frekwencja w wyborach 2024 r. była wyższa.

Nie chodzi jednak tylko o jakiś polityczny przesąd. Referendum z 2013 r. nie udało się w dużej mierze z konkretnych powodów, które mogą stanąć na przeszkodzie i tym razem: w kampanię referendalną włączyła się z całym rozmachem ówczesna opozycja, czyli PiS. Jarosław Kaczyński występował kilkakrotnie przed głosowaniem, apelując o udział w nim i odwołanie prezydent. Było to działanie całkowicie kontrproduktywne. Referendum miało szansę na sukces jako inicjatywa firmowana jedynie przez środowisko czysto samorządowe, na pewno nie przez PiS, który w stolicy działał na wyborców jak płachta na byka. Inicjatorzy krakowskiego referendum, pamiętając zapewne casus warszawski, bardzo dbali o to, aby przedstawiciele partii politycznych nie prowadzili zbiórki podpisów pod swoimi partyjnymi szyldami i aby w miarę możliwości nie podpinali się pod kampanię referendalną. Niestety, wątpliwe jest, czy to samo jest możliwe w Warszawie, która znacznie mocniej niż Kraków traktowana jest jako przedsionek do rządzenia Polską. Można założyć, że w tym wypadku PiS całkowicie świadomie grałby własnym partyjnym szyldem, byle zaznaczyć swoją obecność, rozumiejąc, że dla referendum jest to zabójcze.

Co więcej, nie ma bezpośredniego przełożenia sytuacji krakowskiej na warszawską. Co prawda, oba miasta – jak to duże ośrodki – mają liberalny i lewicowy rys, ale diabeł tkwi w szczegółach. W Warszawie przez ostatnie 20 lat zawsze prezydenturę wygrywała Platforma Obywatelska, i to w pierwszej turze. W Krakowie przed wygraną Miszalskiego przez 22 lata rządził prof. Jacek Majchrowski, początkowo związany z lewicą, potem reprezentujący ogólnie establishment, ale dogadujący się w razie potrzeby nawet z ludźmi z PiS. Warszawa pod tym względem to pole znacznie brutalniejszej rywalizacji politycznej.

W Krakowie był też bezpośredni impuls do sukcesu referendum: stworzenie absurdalnie wręcz restrykcyjnej strefy czystego transportu w powiązaniu z innymi utrudnieniami transportowymi. W tym samym czasie radykalnie podniesiono opłaty za parkowanie (Kraków jest pod tym względem obecnie jednym z najdroższych miast w Polsce, z opłatami we wszystkich trzech strefach obowiązującymi aż do godz. 22, a w strefie A nawet w niedzielę) i ceny biletów komunikacji miejskiej (w niektórych przypadkach o 50 proc.). Te działania łącznie wyglądały jak uderzenie w możliwość przemieszczania się po mieście w jakikolwiek sposób. Do tego dochodziło dramatyczne zadłużenie miasta. Na koniec tego roku dług królewskiego grodu ma sięgnąć 9 mld zł przy budżecie w wysokości trochę ponad 10 mld zł i deficycie przekraczającym miliard.

ZŁOŚĆ LUDU

W Warszawie sytuacja jest bardziej skomplikowana.

Sprawa Szpitala Południowego jest najoczywistszym impulsem, który mogą wykorzystać inicjatorzy referendum. Jak widać, uznali oni, że ten właśnie wątek najsilniej przemawia do wyobraźni ludzi, skoro wybrali go na nazwę swojej inicjatywy, a na ich stronie internetowej znajdziemy zdjęcie Rafała Trzaskowskiego obok Dawida Kacprzyka, niesławnego „koordynatora" SOR w słynnym szpitalu.

W Warszawie również wprowadzono strefę czystego transportu na ogromnym obszarze, choć relatywnie mniejszym niż w Krakowie. Rafał Trzaskowski zrobił to jednak znacznie sprytniej niż Aleksander Miszalski. Warszawska SCT nie uderza od razu, ale jej kolejne etapy są rozpisane do roku 2032. W tym roku wszedł w życie dopiero etap drugi, który eliminuje samochody z silnikiem benzynowym z normą poniżej Euro 4, czyli wyprodukowane najpóźniej w roku 2000, a z silnikiem Diesla poniżej Euro 6, czyli najpóźniej z roku 2009. Nie ma tu zatem efektu szoku, który wystąpił w Krakowie i zmobilizował mieszkańców. Jest efekt gotowania żaby.

Szok pojawia się jednak w innym wątku polityki transportowej: w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy ratusz na potęgę ogłasza plany lub wykonuje zwężenia ulic, w tym najważniejszych arterii, likwiduje miejsca parkingowe, utrudnia na wszelkie możliwe sposoby funkcjonowanie zmotoryzowanym mieszkańcom. Nagromadzenie takich działań zaczyna sprawiać wrażenie, jakby w stołecznym ratuszu komuś bardzo zależało, żeby miasto jak najprędzej zdemolować pod względem transportowym tak radykalnie, aby było to już nieodwracalne m.in. z powodu konieczności poniesienia ogromnych nakładów na przywrócenie normalności. Ciekawe jest to, że wspomniane projekty i działania przestały przechodzić bez echa. Dzisiaj ogromna część polityki toczy się w Internecie i to właśnie tam coraz więcej jest głosów oburzenia. Powstało wiele popularnych profili, które nagłaśniają te poczynania i nawołują do stawiania im oporu, takich jak Warszawa dla Kierowców, Blade Runners Warsaw, Stopkorkom czy Portal Warszawski. Antysamochodowi aktywiści, których reprezentacja, skupiona głównie w organizacji Miasto Jest Nasze, weszła do rady miasta, są bardzo hałaśliwi i do pewnego momentu panowali nad przekazem w sieci. Wygląda jednak na to, że ten czas się skończył. Oceniając na oko – bo nie ma w tej sprawie badań – kolejne informacje o restrykcjach dla kierowców, zbierają w najlepszym razie tyle samo komentarzy negatywnych co pozytywnych, a zwykle tych pierwszych jest wyraźnie więcej.

Na korzyść zwolenników odwołania prezydenta Trzaskowskiego działa to, że o utrudnianiu życia zmotoryzowanym mówi on całkiem wprost, tak jak

eprasa.pl 46b98675ff

podczas niedawnego zainscenizowanego spotkania z mieszkańcami. Ma to swoje oparcie w nowej Strategii Rozwoju Warszawy 2040+, która w załączniku dotyczącym transportu bez ogródek deklaruje prowadzenie wojny z kierowcami i traktowanie ich jak mieszkańców w najlepszym razie drugiej kategorii.

W dokumencie liczącym sobie ponad 170 stron w rozdziale poświęconym kierunkom rozwoju systemu komunikacji, co znamienne, nie ma w ogóle sekcji dotyczącej indywidualnego transportu samochodowego, są za to mobilność piesza i rowerowa. W rozdziale o polityce parkingowej czytamy, że rekomenduje się „ograniczanie ogólnodostępnych miejsc postojowych dla samochodów, dostosowanie liczby miejsc postojowych do wielkości wynikającej z przepustowości ulic, stosowanie systemu parkowania równoległego". Przepustowość ulic zaś ma być sztucznie zmniejszana poprzez zwężenia. W innym miejscu przeczytamy, że „ustala się obniżenie klas wszystkich dróg publicznych do klasy lokalnej lub dojazdowej w obrębie centrum wielkomiejskiego". To oznacza, że na wszystkich tych drogach będzie można obniżyć prędkość do 30 km/h, bo dopuszczalna na danej drodze prędkość zależy od klasy tej drogi. I wreszcie punkt kluczowy: „Ustala się stopniowe ograniczanie dostępu do centrum wielkomiejskiego dla indywidualnej komunikacji samochodowej i jej wyprowadzenie za pomocą układu dróg głównych" (s. 149).

Mimo że ostateczne zatwierdzenie strategii ma nastąpić dopiero pod koniec sierpnia, miasto już tę linię realizuje. Jednym z najgorętszych tematów jest planowana przebudowa śródmiejskiej ul. Kruczej, wpisanej niedawno jako założenie urbanistyczne do rejestru zabytków. Ratusz zamierza jednak skorzystać z kruczka prawnego, aby obejść decyzję konserwatora.

Dzisiaj Krucza to klasyczna ulica w centrum z jedną jezdnią i dwoma pasami w każdą stronę. Możliwe jest parkowanie na chodnikach. Zamiast tego ma być kolejny „park linearny", czyli – tłumacząc z urbanistycznej nowomowy – wydłużony skwer pośrodku. Dla aut ma pozostać po jednym pasie, miejsca parkingowe mają zniknąć. Przeciwko tej zmianie protestuje znaczna część osób mieszkających w okolicy, słusznie obawiając się o to, gdzie pozostawią swoje samochody. Dla innych przeciwników projektu to dalszy ciąg demolowania układu komunikacyjnego miasta, już i tak zniszczonego realizacją projektu „nowego centrum Warszawy", w ramach którego m.in. bezpowrotnie zlikwidowano popularny tunel pod ul. Złotą, który umożliwiał samochodom łatwe przedostanie się na Marszałkowską.

Krucza to jednak tylko jeden z symboli. Podobnie symboliczne jest już zrealizowane zwężenie ul. Marszałkowskiej w okolicy Domów Towarowych Centrum. W sieci można znaleźć wiele filmów pokazujących, jak w powstałych korkach bez możliwości manewru tkwią uprzywilejowane pojazdy na sygnale. W tej chwili trwa zbieranie podpisów – jest to inicjatywa Ruchu Narodowego – przeciwko planowanemu zwężeniu Al. Waszyngtona, kolejnej ważnej arterii. Konsekwencją każdego takiego przedsięwzięcia jest znikanie kolejnych miejsc parkingowych. Ilu – nie wiadomo, ponieważ ratusz takich liczb nie podaje. Wiadomo, że kolejne miejsca znikną w ścisłym centrum stolicy po likwidacji parkingu przed ministerialnym gmachem na Pl. Trzech Krzyży. Wskutek wyjątkowo bezczelnego porozumienia z mieszczącym się tam Ministerstwem Rozwoju i Technologii miejsca odebrane urzędnikom przed budynkiem – gdzie zamiast parkingu będą drzewa – zostaną im oddane w postaci miejsc zarezerwowanych w okolicy. Czyli odebranych mieszkańcom.

Czy większość mieszkańców Warszawy cierpi na zaawansowany syndrom sztokholmski i narzekając na politykę miejską, będzie jednocześnie wspierać wciąż ten sam układ?

Tę wyliczankę można by prowadzić długo. Ważne, że podczas wspomnianego spotkania z mieszkańcami prezydent Trzaskowski zadeklarował, iż miasto nadal będzie kasować miejsca parkingowe i zwężać ulice, bo „nie chcemy tylu samochodów w Warszawie".

Nie ma zatem – inaczej niż w Krakowie – jednej rozpalającej emocje kwestii, za to jest wiele decyzji rozdrobnionych, które składają się na jednoznaczny obraz: miasto całkowicie planowo, w zasadzie oficjalnie, prowadzi politykę dyskryminacji kierowców – nie tylko przyjezdnych, lecz także samych mieszkańców, posiadających samochody – zgodnie z ideologicznymi wytycznymi, suflowanymi przez skrajnie lewicowe środowiska. W tle pojawiają się oskarżenia, że taka polityka sprzyja deweloperom i najbogatszym, a dyskryminuje przeciętnych i uboższych. Może zatem chodzi nie tylko o ideologię, lecz także o kasę. Uprzywilejowane są za to rowery, mimo że pozostają w skali całego kroku marginalnym środkiem komunikacji.

Wszystko to dzieje się wbrew interesom i decyzjom ludzi. „Katastrofalne dane z Warszawy. Do miasta wjeżdża już 850 tys. samochodów dziennie, uberyzacja i odwrót od komunikacji miejskiej" – lamentował w kwietniu w „Gazecie Stołecznej" jej naczelny hunwejbin od lewicowych pomysłów na miasto, Jarosław Ossowski.

NA PROGU BÓLU

W kontekście planu referendalnego są dwa kluczowe pytania. Po pierwsze: Czy u mieszkańców Warszawy został już przekroczony próg bólu? Czy może, jak sugerują sceptycy, większość cierpi na zaawansowany syndrom sztokholmski i narzekając na politykę miejską, będzie jednocześnie wspierać wciąż ten sam układ? Po drugie: Gdyby udało się zebrać podpisy pod wnioskiem o referendum, czy Donald Tusk postanowi zaangażować się w obronę politycznego przegrywa, którym stał się po drugiej wyborczej porażce dwugodzinny prezydent Polski, Trzaskowski? Czy może uzna, że to dobra okazja, aby ostatecznie przypieczętować jego los, stawiając na to, że po jego wyeliminowaniu uda mu się postawić na czele warszawskiego ratusza kogoś sprawiającego mniejsze problemy i bardziej zaufanego, a przy okazji skanalizuje narastające nawet wśród zwolenników KO niezadowolenie?

Jakiekolwiek by były odpowiedzi na te pytania, patrząc na tempo demolowania miasta oraz, w kontekście Szpitala Południowego, poziom zabagnienia struktur, za które odpowiada ratusz, może to być ostatni moment na ratunek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Z Andrzejem Sośnierzem, byłym dyrektorem Śląskiej Kasy Chorych i byłym prezesem NFZ, członkiem Rady Zdrowia przy prezydencie Karolu Nawrockim

rozmawia Tomasz Cukiernik

Przywróćmy kasy chorych

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

TOMASZ CUKIERNIK: Czy zgadza się pan z byłym premierem Leszkiem Millerem, że afera w Szpitalu Południowym dotycząca pokojów VIP dla członków Koalicji Obywatelskiej, a zdaniem Millera nie był to odosobniony przypadek, może pogrążyć rząd Donalda Tuska?

ANDRZEJ SOŚNIERZ: Może. To jest bardzo duży problem dla aktualnie rządzących, chociaż życie pokazuje, że można kłamać i kręcić, a naród wszystko wybacza, bo przyzwyczailiśmy się do tego, że rządzący kłamią. W związku z tym nie wiadomo, czy tak się stanie. Do zła przyzwyczailiśmy się bardzo szeroko. Jeden z posłów Lewicy oburzył się i spytał, po co taki salonik, skoro posłowie mają Szpital MSWiA. Otóż posłowie nie mają Szpitala MSWiA, posłom nie przysługuje takie świadczenie, jak oddzielny szpital, ale wszyscy do tego zepsucia są tak przyzwyczajeni, że poseł w swojej naiwności nie zauważył, że to jest taka sama kategoria jak salonik VIP, tylko w większej skali, czyli szpital VIP.

Rządzący przyjęli taką linię obrony, że próbują dezawuować to, co mówił dr Emil Jędrzejewski – identycznie jak z ośmioraczkami za poprzedniej kadencji Tuska, kiedy nie gonili tych polityków, którzy złamali prawo, tylko te osoby, które informowały o nieprawidłowościach.

Za chwilę się okaże, że doktor głęboko się myli, że on to w ogóle jakiś fantasta, a może kilka lat temu spotkał się z psychiatrą i zrobią z niego wariata. Będzie dobrze, jeśli zostanie uniewinniony, bo z niego za chwilę zrobią przestępcę. To jest mentalność gangów, które rządzą Polską. Gang pyta, kto sypie, i go załatwia. Solidarność gangsterów jest tutaj najważniejsza. Dziennikarze jak hieny na lwa rzucili się na doktora, pytając o dowody, zamiast szanować go jak bohatera za to, że ktoś w końcu powiedział trochę prawdy.

On nie jest od zbierania dowodów, tylko prokuratura.

Oczywiście.

Kwestia tego saloniku VIP nie jest nawet istotna w porównaniu z innymi nieprawidłowościami, które tam wyszły, jak brak kompetencji i błędy medyczne. I na dodatek prezydent Warszawy, któremu podlega Szpital Południowy, nie zareagował na wcześniejsze sygnały na ten temat.

To wszystko musiało się odbyć co najmniej za przyzwoleniem prezydenta Rafała Trzaskowskiego. Kojarzy mi się takie powiedzenie, kiedy krytykowaliśmy to, co się działo za tzw. komuny, czyli ktoś dzwoni do kogoś i mówi: „Zatrudnijcie tam, wicie, rozumicie, naszego towarzysza". No i zatrudnili, a chłopak młody, niedoświadczony, jeszcze poszedł na całość i pojawił się nowy rozdział zjawisk patologicznych. Do tej pory rozkradano publiczne spółki w górnictwie, tam wszyscy się mają dobrze naokoło kopalni, tylko kopalnia zdycha, w spółkach wodociągowych, miejskich, rozdziela się posady znajomym i teraz dotknęło to służby zdrowia, bo pojawiły się większe pieniądze. A jak się pojawiły większe pieniądze, to się obsadza i rozkrada szpital, więc doktor wyciągał, naciągając prawo, które ktoś inny stworzył. Służbę zdrowia zaczyna dotykać to samo, co inne publiczne spółki. Szpital publiczny służy do rozkradania,

eprasa.pl 46b98675ff

bo prywatny nie pozwala się okradać. A to pomysł PiS, żeby wszystkie szpitale były w jednym ręku.

Problem jest znacznie szerszy. Dotyczy nie tylko Szpitala Południowego, ale według Business Insider na 20 kluczowych szpitali w województwie mazowieckim w 15 szefami są osoby, które kandydowały z listy PSL albo KO.

Własność publiczna zawsze tak jest eksploatowana. Trudno też przypuszczać, że rządząca partia, mając w dyspozycji szpitale, obsadzi je samymi opozycjonistami; to oczywiste, że tak nie będzie. Z własnością publiczną i polityką wiążą się takie zjawiska. Tu dr Jędrzejewski dotknął dwóch obszarów. Jeden to wykorzystywanie stanowiska i rozkradanie placówki. Drugi: problemy etyczne i medyczne, zawodowe, niekompetencja medyków itd. Miały to wychwytywać izby lekarskie, a tolerują patologie, usprawiedliwiają prawie wszystko i sądy lekarskie rzadko kiedy wydają orzeczenia, które sensownie ukracają nieprawidłowości. Żądajmy nie tylko od rządzących, ale powinniśmy żądać od środowiska medycznego, od izb lekarskich skuteczniejszego działania w tępieniu patologii.

Powiedział pan, że w służbie zdrowia jest więcej pieniędzy. Niektórzy twierdzą, że nadal jest za mało, ale jest też teza, że pieniędzy jest jak najbardziej wystarczająco, może nawet za dużo, tylko są źle zarządzane.

Oczywiście, że są źle zarządzane. Trzeba dodać pieniędzy, żeby jeszcze więcej było do rozkradania? Nie tędy droga. Najpierw rozpoznajmy, jak te pieniądze wydajemy. Na przykład mało kto zwraca uwagę na to, że ze składki przeznaczonej na leczenie pacjentów finansowane są badania naukowe w Agencji Badań Medycznych. Naukowcy, którzy powinni być finansowani z budżetu państwa, są zadowoleni, tylko na leczenie jest mniej. Inny przykład: media, lekarze, politycy wołają głośno: „Zapłaćcie za wszystkie nadwykonania" i nikt nie zważa na to, czy tam są zdarzenia prawdziwe czy fałszywe, potrzebne czy niepotrzebne. Jest też problem wysokich zarobków lekarzy, ale tego, co się wydało w Szpitalu Południowym, nie można łączyć z lekarzami, którzy dużo zarabiają za wykonywane procedury medyczne. Bo ci naprawdę je wykonali, naprawdę wyleczyli pacjenta, naprawdę zrobili dobrą robotę. Nikogo nie oszukali. Problem jest tylko w tym, że za procedurę, którą wykonali, jest bardzo wysoka cena. Dlatego otrzymują bardzo wysokie wynagrodzenia. Te przypadki wynikają z bardzo wysokiej, nieadekwatnej do kosztów wyceny świadczeń medycznych. Jeżeli jest bardzo wysoko wycenione świadczenie, to wszyscy chcą je wykonywać. A kto tę cenę ustala? Minister zdrowia. Jak minister zdrowia głupio ustali wysoką cenę, to potem ma ten efekt. Minister pod wpływem lobbystów, niewiedzy czy nie wiadomo czego zatwierdził taryfy, które są takie, że zaczyna się patologia. Nie może być centralnie ustalanej taryfy. Moje postulaty odnośnie do zmian w ochronie zdrowia to m.in. zmiana sposobu ustalania taryf i znaczenie tej taryfy. Uważam, że powinna być przepracowana metodologia, jak liczyć. Po drugie, to nie mają być ceny obowiązujące, a taryfy wskaźnikowe, które mówią, że mniej więcej coś kosztuje – załóżmy – 5 tys. zł, a ostateczną cenę ustali fundusz lub kasa chorych w czasie negocjacji z dyrektorem placówki. I oni powinni wynegocjować cenę, która będzie się kręcić wokół tych wskaźnikowych 5 tys., może 5,5 tys. albo 4,5 tys., ale nie 100 tys. zł. Żeby tak było, trzeba zmienić sposób funkcjonowania agencji taryfikacji, trzeba zmienić kompetencje ministra, zdecentralizować Narodowy Fundusz Zdrowia. Więc już w samym moim jednym postulacie tkwi kilka zmian, które trzeba w różnych miejscach zrobić. Trzeba uwolnić decyzyjność dyrektorów przyszłych kas chorych. Oni mają negocjować cenę z dyrektorem placówki. Taka sytuacja jak w Lesku z likwidacją oddziału położniczego by się nie wydarzyła, gdyby były kasy chorych. Dlaczego? Bo na czele kas nie powinni stać znajomkowie, tak jak dyrektor Kacprzyk w Szpitalu Południowym. Szef ubezpieczalni ma zorganizować sieć dostępu do leczenia ubezpieczonych. To musi być kompetentny polityk zdrowotny, a nie polityk z nadania, który przychodzi z autobusów albo tramwajów. Dla pacjenta nie jest istotna sieć strukturalna (budynki), tylko sieć funkcjonalna. Ma uzyskać świadczenie szybko i kompetentnie, a nie ma znaczenia w jakiej strukturze. Płatnik ma tworzyć sieć dostępu, dlatego taka sytuacja by nie zaistniała. Dyrektor Kasy Podkarpackiej rozważyłby, czy pacjentkom z Leska jest w stanie zabezpieczyć świadczenie porodowe w ciągu 20 minut czy pół godziny. Musiałby zbadać sieć dróg itd. i stwierdziłby, że musi mieć dostęp w Lesku, dlatego że stamtąd wszędzie jest daleko i inaczej nie zabezpieczy świadczeń. Co wtedy robi dyrektor kasy? Jedzie do dyrektora szpitala i mówi, że chce u niego zakontraktować świadczenia porodowe. A tamten proponuje jakąś cenę, np. 5 tys. zł, zamiast taryfowej, np. 2 tys. Negocjują, uzgodnią na 3,5 tys. Dlaczego w Lesku drożej? Na Alasce też wszystko jest droższe, bo nikt tam nie chce pracować, podobnie w Bieszczadach cena musi być wyższa. Za tę cenę dyrektor szpitala jest w stanie utrzymać oddział, a ubezpieczyciel ma zapewniony dostęp. Trzeba całkowicie zmienić filozofię funkcjonowania i miejsca, gdzie zapadają decyzje.

W Katowicach na wizytę na NFZ do gastroenterologa czeka się dwa lata, w sytuacjach pilnych ten termin jest skracany o... miesiąc. Dlaczego mimo tych olbrzymich pieniędzy w publicznej służbie zdrowia są tak długie kolejki?

Trzeba wielu zmian. Ta patologia wynika m.in. ze struktury NFZ. Jeżeli płacimy za świadczenie, czyli za wykonaną sztukę, to powodujemy, że wykonawca tych świadczeń jest zainteresowany, żeby wytworzyć ich jak najwięcej. Więc zwiększa swoją produktywność, bo jak zamiast 100 zabiegów zrobi 150, to dostanie pieniądze nie za 100, tylko za 150. Jeśli nie będzie systemu monitoringu weryfikującego rzetelność zdarzeń medycznych, to w następnym roku będzie wykonywał 200. Jeśli uruchamia się system proefektywnościowy, czyli płacenie od każdego zdarzenia, tak jak uruchomiły kasy chorych, to jednocześnie powinien się uruchomić system monitoringu, który sprawdza pracę szpitali i lekarzy. Jak byłem szefem Śląskiej Kasy Chorych, to jeden ze stomatologów założył kilkadziesiąt plomb w jednym zębie. Jak się zorientowali, że jesteśmy to w stanie skontrolować, to przestali takie rzeczy robić.

Czy w Polsce brakuje lekarzy?

Lekarzy nie brakuje, bo przecież jak pacjent zostanie odesłany z publicznej służby zdrowia, to inny, a może nawet

eprasa.pl 46b98675ff

ten sam lekarz udzieli mu świadczenia w sektorze prywatnym. Trzeba spowodować tak, żeby opłacało się lekarzowi pracować raczej w sektorze publicznym. NFZ powinien płacić, ale tylko tym lekarzom, którzy mają dobre wyniki. Trzeba zahamować tego złego, aby promować tego dobrego. Jak to zrobić? Przez monitoring. To narzędzie do oddzielania plew od ziarna. To jest bardzo złożony system oddziaływań, które trzeba stworzyć. Jak jest wypadek samochodowy, to nikt się nie dziwi, że z ubezpieczalni przychodzi rzeczoznawca i ocenia, czy to, co zrobiono, było zrobione właściwie czy nie. Dokładnie to samo w zdrowiu. Jeśli zapłaci się za wszystkie nadwykonania, to tylko zwiększa się patologie, a oni stworzą jeszcze większą kolejkę, żeby przepchnąć pacjenta do lekarza prywatnego. Trzeba sprawdzać efekty leczenia. NFZ powinien weryfikować jakość. Kontrakt z NFZ powinien być dla szpitala wizytówką i rekomendacją dobrej jakości.

Czyli nie zgadza się pan z tezą, że lekarze w Polsce za dużo zarabiają?

Nie można mieć do nich pretensji, że wybierają rodzynki. Zachowują się racjonalnie i mądrze. Kto te rodzynki rozsypał? Ministerstwo Zdrowia. A dlaczego niektóre szpitale publiczne się tak nie zachowują i tych rodzynek nie biorą? Wolą przybierać rolę cierpiętników i pokazywać, że muszą wszystko leczyć, zamiast starać się o zmiany wycen nierentownych procedur. Robią to, bo im nie zależy na wyniku ekonomicznym. Przedsiębiorca prywatny jak widzi, co jest bardziej rentowne, to to bierze, i to jest normalne.

Jakie inne patologie publicznej służby zdrowia może pan wymienić?

Centralizacja, która całkowicie sparaliżowała dyrektorów w NFZ. Nie negocjują już cen. Do tego nadprodukcja prawa, którego nikt nie zna i mało kto wszystko przeczytał. Niejednokrotnie są to sprzeczne przepisy. Jeśli dyrektor ubezpieczalni będzie osobiście odpowiedzialny za kontrakt, to się powstrzyma przed nadmiernie wysokimi cenami, ale jeśli cena jest ustalana gdzieś tam na górze, to mimo że przepis jest głupi, go wykona, bo jest asekurowany. Nadmierna centralizacja, nadmierne przeregulowanie prawa i ujmowanie wszystkiego przepisami, zmniejszenie odpowiedzialności osobistej na różnych szczeblach – to są patologie.

Jaką widzi pan przewagę systemu kas chorych nad aktualnym systemem?

To, że kasa chorych nie podlegała ani ministerstwu, ani marszałkowi, ani żadnemu organowi. To jest bardzo istotne. Dyrektora kas chorych powoływała rada tej kasy, złożona z dwóch przedstawicieli ministerstwa, przedstawicieli marszałka, samorządu lekarskiego, związków zawodowych. I żaden z nich nie miał przewagi. W związku z tym musieli się porozumieć. Niestety, można stworzyć wielką sitwę i czasem się to wydarzy, ale w takiej sytuacji trudno ją stworzyć. Wtedy minister Mariusz Łapiński nie potrafił mnie odwołać, bo miał tylko dwóch przedstawicieli. Co wtedy zrobiono? Zmieniono ustawę i zwiększono liczbę swoich przedstawicieli w kasie tak, że mógł odwołać. Ale jeżeli kasa chorych, czyli ubezpieczalnia regionalna, publiczna, będzie tak powoływana, że będzie zależna od wielu, to trudniej ją skorumpować. Dlatego tak ważna jest decentralizacja. Natomiast po likwidacji kas chorych system stopniowo coraz bardziej centralizowano. NFZ stał się jedną instytucją, a jeszcze prezes NFZ stał się zależny od ministra. Jeżeli są kasy chorych i minister w wyniku korupcji wymyśli głupi wydatek, to niezależni szefowie kas chorych się na to nie zgodzą. I minister nie może nic z tym zrobić. A w systemie scentralizowanym robi, co chce. Dyrektor kasy chorych osobiście odpowiadał za finanse kasy. Całkowita zmiana filozofii. I – co bardzo istotne – kasy chorych umożliwiały konkurencję rynkową. A w monopolu czegoś takiego w ogóle nie ma. Ten na dole się nie wychyla. W czasie COVID wszyscy czekali na rozkazy z góry. Wystarczyłoby, żeby jeden dyrektor oddziału był bardzo sprawny i inaczej zabezpieczył opiekę. Stałby się wtedy konkurencją dla prezesa, a może i ministra. Nie, na dole mają siedzieć cicho i być mniej innowacyjni. Tylko minister ma mądre pomysły. Tak działa system scentralizowany. Dlatego konieczna jest decentralizacja. Wtedy będzie 17 czy 19 polityk zdrowotnych. Każda kasa działa inaczej. Jedna lepiej, druga gorzej. Jedna podpatruje lepsze rozwiązania od drugiej. To ciągnie system do góry. A w aktualnym systemie trzeba siedzieć cicho i poziom się obniża.

NFZ powinien płacić, ale tylko tym lekarzom, którzy mają dobre wyniki. Trzeba zahamować tego złego, aby promować tego dobrego

Jak docelowo powinien wyglądać system ochrony zdrowia w Polsce?

Powinien to być zdecentralizowany system konkurujących za sobą kas chorych czy też ubezpieczalni zdrowia. Muszą one mieć prawo wyciągania pacjentów z kas konkurencyjnych. Tak funkcjonowaliśmy. Konieczna jest zmiana kompetencji ministra i zmiana sposobu funkcjonowania agencji taryfikacji. Należy zlikwidować ustawę o sieci szpitali, która spowodowała pozorny deficyt kadr. Zwiększając wymagania placówek medycznych, doprowadziła do tego, że placówki te musiały zatrudnić dodatkowych lekarzy. No i zaczęło brakować medyków, a efektywną sieć dostępu ma tworzyć decyzyjny dyrektor kasy. Jeśli zrobi ją źle, to będzie podpadał opinii publicznej, bo świadczenia w danym województwie będą gorzej realizowane. Konieczne jest stworzenie sprawnego monitoringu tego, co się dzieje, łącznie z publikowaniem mierzalnych rezultatów działania placówek medycznych, czyli np. przeżywalność pacjentów z rakiem, po zawale itd. Dyrektor szpitala jest zmuszany przez NFZ do zatrudniania na oddziale dwóch specjalistów. Po co? Niech zatrudni tylu, ilu uważa. Ważne, żeby dobrze leczył. W ten sposób zwiększa się niepotrzebnie koszty. Na dodatek ten uwolniony lekarz szuka pracy, więc pójdzie leczyć gdzie indziej, i to za niższą pensję. Mieliśmy całkiem dobry system kas chorych, który zmierzał w tym samym kierunku, co system holenderski. I Holendrzy są chwaleni w całej Europie, że mają najbardziej zadowolonych pacjentów i najlepszy system. Mielibyśmy taki sam, tylko durni politycy go zniszczyli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Z Holly Ordway, autorką książki „Wiara Tolkiena. Duchowa biografia”
rozmawia Łukasz Neubauer

Treść życia Tolkiena

ŁUKASZ NEUBAUER: Większość ludzi kojarzy Tolkiena przede wszystkim jako powieściopisarza, nierzadko twórczość jego postrzegając przez pryzmat adaptacji filmowych. Niektórzy słyszeli też o jego pracy akademickiej oraz wkładzie w dziedzinę literaturoznawstwa. Niewiele jednak osób wydaje się być świadomymi głębi jego życia duchowego.

HOLLY ORDWAY: Rzeczywiście, myślę jednak, że wynika to przede wszystkim z tego, iż w jego pisarstwie kwestie wiary pozostają w pewien sposób ukryte. Doskonale widać to chociażby na przykładzie „Władcy Pierścieni”, który nie jest – jak początkowo sugerowali niektórzy – powieścią o rysie alegorycznym. Dostrzec w niej można fundamentalny, acz w znacznej mierze niedopowiedziany element katolicki. Jest on fundamentalny nie tylko w takim znaczeniu, że pozostaje ukryty, lecz także dlatego, iż jest on niezwykle istotny dla zrozumienia sensu całej opowieści. Ponadto można jednak czytać „Władcę Pierścieni”, nie dostrzegając jego głębokiego wymiaru religijnego. To znaczy jest on w dalszym ciągu obecny, ale w sposób, który nie dla każdego jest oczywisty.

Niedawno ukazało się na polskim rynku tłumaczenie twojej znakomitej książki „Wiara Tolkiena”. Nosi ona podtytuł „Duchowa biografia”. Czym różni się ona od innych publikacji tego typu? Książek, w których na pierwszy plan wysuwają się kwestie stricte literackie?

Większość biografii Tolkiena, a już w szczególności ta napisana pół wieku temu przez Humphreya Carpentera, zdaje się kłaść mniejszy nacisk na sprawę wiary pisarza. Carpenter oczywiście wspomina, że Tolkien był katolikiem, ale robi to w taki sposób, jakbyśmy mieli do czynienia z jakimś prywatnym światopoglądem, po czym gładko przechodzi do samej historii jego życia, tylko sporadycznie odnosząc się do kwestii religijnych. Dobrze, że Carpenter w ogóle wspomina o katolicyzmie Tolkiena, lecz równocześnie zdaje się go nie rozumieć. Nie rozumie przede wszystkim, jak istotnym elementem życia pisarza była jego wiara, co niestety rzutuje na to, w jaki sposób relacjonuje wydarzenia z jego życia.

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. PHOTOSHOT/TOPFOTO/FORUM

Carpenter niejako oddziela ją od tego, co Tolkien robił na co dzień, przez co daje nam nieprecyzyjny, a nawet w pewnym sensie zakłamany obraz autora „Władcy Pierścieni”. Jest to optyka subiektywna, więcej mówiąca o osobie biografa aniżeli samego pisarza. Na skutek takiego działania czytelnicy mogą dojść do wniosku, że kwestia wiary nie była dla Tolkiena aż tak istotna, podczas gdy on sam wielokrotnie dawał do zrozumienia, że było dokładnie odwrotnie. Moim zamiarem było pokazać, że wiara katolicka była de facto treścią jego życia.

Większość biografów Tolkiena ma wyraźny problem również z tym, aby pokazać życie pisarza w pełnym kontekście historyczno-kulturowym, aby przedstawić skomplikowane dzieje katolicyzmu w Anglii.

Faktycznie, kolejnym brakującym ogniwem w biografii Tolkiena jest kontekst historyczno-kulturowy. Bycie katolikiem w Anglii pierwszej połowy XX w. wyraźnie różni się od bycia katolikiem w Anglii nam współczesnej. Co więcej, angielski katolicyzm różni się nieco od katolicyzmu w innych częściach świata. Kontekst ten niezwykle mocno rezonował w kształtowaniu się wiary Tolkiena, jego życia prywatnego oraz twórczości literackiej. Wynikało to nie tylko ze specyfiki angielskiego katolicyzmu, lecz także z wpływu, który na osobowość pisarza wywarła kilkuletnia przynależność do wspólnoty parafialnej założonego przez św. kard. Johna Henry’ego Newmana Oratorium św. Filipa Neri w Birmingham. Do tej pory w biografiach Tolkiena mieliśmy do czynienia z nieco abstrakcyjnym obrazem jego wiary, podczas gdy to, czego najbardziej nam brakowało, to historyczno-kulturowe spojrzenie na kwestię katolicyzmu pisarza.

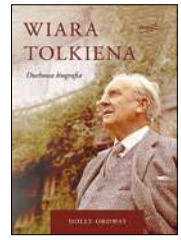

HOLLY ORDWAY „WIARA TOLKIENA. DUCHOWA BIOGRAFIA” ESPRIT 2024

Tolkien został co prawda ochrzczony w obrządku anglikańskim, ale ostatecznie, w wieku ośmiu lat, przyjął wiarę katolicką. Jak do tego doszło?

Matka pisarza, Mabel Tolkien, została przyjęta do Kościoła rzymskokatolickiego w 1899 r. Była już wówczas wdową, poszukującą takiej formy anglikanizmu, który najlepiej zaspakajałby jej potrzeby duchowe. Jak się jednak okazało, szukając swego miejsca w tzw. Wysokim Kościele anglikańskim, ostatecznie trafiła do Kościoła rzymskokatolickiego. Nie mamy pełnej wiedzy na temat tego, jak wyglądała jej droga duchowa, ale wiele zdaje się wskazywać na to, że na jej początku mocno zainteresowała się tzw. ruchem oksfordzkim, prądem mającym na celu gruntowną reformę anglikanizmu, m.in. w podejściu do sakramentów. Finalnie jednak przyjęła wraz z synami wiarę katolicką, a miało to miejsce w Birmingham, we wspomnianym już oratorium. Trudno dociec, co konkretnie wpłynęło na jej decyzję o wyborze miejsca. Być może ogromny szacunek, którym oratorianie darzyli konwertytów. A może pociągał ją nacisk, który równolegle do rozwoju duchowego kładli oni na rozwój intelektualny parafian. W końcu sama była wykształconą kobietą, która podjęła się niełatwego zadania, którym było nauczanie własnych synów. Tak czy inaczej, właśnie w takim środowisku, aktywnym intelektualnie i przychylnie nastawionym do konwertytów, przyszło Tolkienowi wzrastać w dojrzałości duchowej.

W pierwszej dekadzie XX stulecia społeczność katolicka w Anglii była liczniejsza niż na przestrzeni poprzednich czterech wieków. Cieszyła się też większą aniżeli wcześniej swobodą w wyznawaniu swej wiary. Mimo to decyzja Mabel Tolkien, by przejść na katolicyzm, nie spotkała się, mówiąc delikatnie, z entuzjazmem najbliższych.

Obie gałęzie rodziny były bardzo nieprzychylnie nastawione do działań podejmowanych przez Mabel. Nieprzychylność ta przejawiała się przede wszystkim w odcięciu jej od wszelkich form wsparcia finansowego, co miało na celu wymusić na niej powrót do wspólnoty anglikańskiej. Dla wdowy z dwojgiem dzieci na utrzymaniu presja ta musiała być bardzo duża, ale odporność Mabel na tego typu działania tylko dowodzi, jak silną miała osobowość. Wiele lat później Tolkien wspominał, że presja rodziny była naprawdę silna i że w jego mniemaniu działania te ostatecznie doprowadziły do śmierci matki na nieuleczalną wtedy cukrzycę. Mówiło się np., że chłopcy zostaną odesłani do szkoły anglikańskiej, co było dość typowym działaniem, nierzadko przy cichym wsparciu instytucji sądowych. Jednak tuż przed śmiercią Mabel zdecydowała się powierzyć synów opiece o. Francisa Morgana, jednego z oratorian, a równocześnie byłego ucznia i sekretarza samego kard. Newmana. Dzięki temu obaj chłopcy mogli spokojnie wzrastać w wierze katolickiej, nie będąc niepokojeni działaniami ze strony rodziny.

Czy jednak tego typu zabiegi ze strony osób teoretycznie im najbliższych nie spowodowały, że bracia odwrócili się od rodziny?

Faktycznie mogło tak się stać, ale ostatecznie do tego nie doszło. Ogromna w tym zasługa o. Morgana oraz jego stosunku do krewnych Tolkiena.

eprasa.pl 46b98675ff

Zważywszy na wspomniane wcześniej tarcia, z pewnością mógł on starać się odizolować chłopców od najbliższych, lecz tego nie zrobił. Już jako nastolatek Tolkien miał dobre relacje z wieloma członkami swojej rodziny, odwiedzał ich i spędzał z nimi wakacje. Dziś to wydaje się oczywiste, ale musimy pamiętać, że ci sami ludzie, kilka lat wcześniej, tak bardzo negatywnie nastawieni byli do katolickiej wiary Mabel, że nawet nie pojawili się na jej pogrzebie. A jednak w jakiś sposób udało się Tolkienowi nawiązać z nimi dobre relacje. Jeszcze raz muszę podkreślić tutaj wpływ o. Morgana, który cierpliwie uczył go miłosierdzia i trudnej sztuki przebaczenia. Pomógł mu nie tylko wybaczyć odrzucenie, którego chłopiec doświadczył ze strony najbliższych, lecz także ponownie nawiązać z nimi relacje, co było szczególnie istotne, zważywszy na to, iż młodzi Tolkienowie byli sierotami.

Po śmierci matki niespełna 13-letni John Ronald i jego młodszy o dwa lata brat Hilary zostali sierotami w pełnym tego słowa znaczeniu. Zważywszy na warunki, w których przyszło im żyć, Tolkien miał, jak się wydaje, pełne prawo do tego, by chcieć wrócić na łono Kościoła anglikańskiego. Co spowodowało, że nie zawrócił z wcześniej obranej drogi duchowej?

Odpowiedź jest niezwykle prosta. Miał silną wiarę w to, że to właśnie Kościół katolicki ma pełnię prawdy. Tak w każdym razie zdaje się wynikać z wypowiedzi Tolkiena. W opublikowanych później listach wielokrotnie wspomina, że czuł się przekonany o szczególnej pozycji Kościoła katolickiego. Zawsze też czuł ogromną miłość do Boga, choć nie zawsze udawało mu się żyć w pełnej zgodzie z Jego wolą. Odczuwał też wielką potrzebę czerpania z mocy płynącej z Najświętszego Sakramentu. Wszystko to świadczy, że w dzieciństwie otrzymał bardzo dobrą formację katolicką w Oratorium św. Filipa Neri. Jako ośmioletni chłopiec musiał nauczyć się modlitw, które katolickie dzieci w jego wieku znały już bardzo dobrze. Pamiętajmy jednak, że większość księży oratorian także była konwertytami, a zatem bardzo dobrze rozumiała trudności i potrzeby chłopców takich jak Tolkien.

Co ciekawe jednak, to właśnie oratorianie pozwolili Tolkienowi uczęszczać do szkoły anglikańskiej.

Faktycznie, jako nastolatek Tolkien uczęszczał do Szkoły Króla Edwarda w Birmingham. Jest to kluczowy element jego biografii, choć większość czytelników zapewne nie zdaje sobie sprawy z jego znaczenia. Szkoły anglikańskie miały w zwyczaju wywierać dużą presję na uczniach, by ci uczestniczyli w anglikańskich praktykach religijnych. Katoliccy rodzice naturalnie nie byli entuzjastami takiej aktywności swoich dzieci i raczej woleli posyłać je do szkół katolickich. Podobnie było w przypadku Mabel, która z chwilą przyjęcia wiary katolickiej natychmiast zabrała synów ze Szkoły Króla Edwarda i posłała ich do katolickiej Szkoły św. Filipa Neri, w której uczyli księża oratorianie. Mimo że była to całkiem niezła szkoła, Tolkien bardzo szybko okazał się jednym z jej najlepszych uczniów. Ufni w opatrzność Bożą oratorianie zdecydowali się więc wysłać go z powrotem, wierząc, że w poprzedniej placówce chłopiec otrzyma wykształcenie na miarę swoich możliwości. W ten sposób z jednej strony pozwolono mu wyjść poza krąg katolickiej społeczności Birmingham, z drugiej jednak zadbano, by Tolkien miał pełną świadomość tego, co znaczy być katolikiem. Jako nastolatek wiedział zatem bardzo dobrze, w co wierzy i dlaczego. To zapewne pozwoliło mu zrozumieć, że nie wszyscy ludzie w ten sam sposób wyznają wiarę chrześcijańską.

W listach Tolkien wielokrotnie wspomina, że czuł się przekonany o szczególnej pozycji Kościoła katolickiego. Zawsze też czuł ogromną miłość do Boga, choć nie zawsze udawało mu się żyć w pełnej zgodzie z Jego wolą

Tolkien może nam się zatem jawić jako nieugięty w swojej wierze katolik. Mimo to, zważywszy na jego trudne doświadczenia życiowe, jak chociażby udział w pierwszej wojnie światowej, mógł przecież w pewnym momencie zachwiać się w swoich przekonaniach, a nawet całkiem odstąpić od wiary.

Faktycznie, wygląda na to, że jakiś kryzys wiary dopadł Tolkiena już w trakcie studiów w Oksfordzie. Pierwszy raz w życiu znalazł się wówczas na dłuższy czas poza domem, z dala od oratorium i w silnie zsekularyzowanym środowisku. Jego wiara nieco się zachwiała, przestał też zapewne regularnie uczęszczać na Mszę. Jeden z jego przyjaciół, chrześcijanin, ale nie katolik, przejął się takim stanem rzeczy, obawiając się, że Tolkien może wkrótce całkowicie porzucić swoją wiarę. Został jednak zapewniony, że nic takiego nie będzie miało miejsca. Wiemy, że kilka lat później, gdy pisarz był już zaręczony, regularnie uczestniczył w Eucharystii. W pierwszej połowie lat 20. dopadł go jednak drugi, kto wie, czy nawet nie silniejszy kryzys. Prawdopodobnie trwał on kilka lat, a jego natężenie było tak duże, iż wiele lat później, w korespondencji z synem Michaelem, przyznał, że niemal porzucił w tym czasie jakiekolwiek praktyki religijne. Pisał o tym z wyraźnym smutkiem, twierdząc, że w ten sposób, poprzez nikczemność i lenistwo, niemal odrzucił miłość Chrystusa. Ten okres duchowej ciemności spowodował jednak, że do wiary zaczął podchodzić z większą pokorą.

W późnych latach 20. Tolkien był już cenionym badaczem, specjalistą w zakresie literatury i języka staroangielskiego na Uniwersytecie Oksfordzkim. Jaki był wówczas stosunek wobec jego wiary tych pracowników, którzy nie należeli do Kościoła katolickiego? Czy dochodziło do jakichś konfliktów między nimi a Tolkienem?

Brak jest jakichkolwiek twardych dowodów na to, że niekatoliccy pracownicy uniwersytetu mogli mieć wobec niego osobiste uprzedzenia. Jednak Tolkien z pewnością zdawał sobie sprawę z generalnie negatywnego stosunku części kadry akademickiej do katolików. Zachowała się relacja, która doskonale to pokazuje. Otóż pewnego dnia Tolkien jadł obiad w towarzystwie jednego ze swoich kolegów. W pewnej chwili rozmowa zeszła na temat niedawnego wyboru rektora Kolegium Lincoln, który to wybór towarzysz pisarza skwitował słowami: „Dzięki Bogu nie wybrali ka-

eprasa.pl 46b98675ff

tolika!". Zwróćmy uwagę na to, że padły one w obecności człowieka, o którym powszechnie było wiadomo, iż należy do Kościoła katolickiego. Musiała to być zatem bardzo niezręczna chwila. Sądzę jednak, że antykatolickie nastawienie tego człowieka było tak głęboko w nim zakorzenione, iż nie zdawał on sobie za bardzo sprawy z niestosowności swoich słów.

Niektórzy ludzie z najbliższego kręgu przyjaciół Tolkiena również wyznawali wiarę chrześcijańską, choć niekoniecznie w Kościele katolickim. Jednym z nich był C.S. Lewis, niegdyś zdeklarowany ateista, który później zasłynął jako autor książek apologetycznych. Tolkien odegrał znaczną rolę w jego nawróceniu, ale wydaje się, że później ubolewał nad faktem, iż jego bliski przyjaciel wstąpił do Kościoła anglikańskiego.

Mam na ten temat nieco inne zdanie, ponieważ dogłębnie zbadałam tę kwestię i nie widzę dowodów na to, by Tolkien miał do Lewisa jakikolwiek żal. Oczywiście z pewnością wolałby, aby i Lewis przyjął wiarę katolicką. Niemniej jednak z wypowiedzi Tolkiena wywnioskować można, że jego stosunek do anglikanizmu Lewisa był jednoznacznie pozytywny. Miał pełną świadomość tego, że Lewis jest jego bratem w wierze, i w pełni respektował jego wybór.

W twojej książce znalazłem wiele bardzo ciekawych polskich wątków.

W trakcie pisania odkryłam, że Tolkien musiał mieć jakiś szczególny stosunek do Polaków. Bardzo interesowały go losy Polski zarówno w trakcie wojny, jak i później, w okresie rządów komunistycznych. Zawsze bardzo leżała mu na sercu kwestia wolności wyznania i martwił się, gdy była ona łamana, tak jak w powojennej Polsce. Oprócz tego miał osobisty powód, by interesować się jej losami z powodu przyjaźni z Przemysławem Mroczkowskim, polskim literaturoznawcą, który pod koniec lat 50. spędził blisko rok w Oksfordzie. Mroczkowski bardzo cenił sobie „Władcę Pierścieni", z czego wynikła dość zabawna anegdota. Otóż kiedy obydwaj dżentelmeni spotkali się po raz pierwszy, Mroczkowski przywitał Tolkiena słowami: „I come from Mordor", co oczywiście nie tylko zaskoczyło, lecz również musiało rozbawić tego drugiego. Po powrocie Mroczkowskiego do kraju, przez kilkanaście lat, do śmierci Tolkiena, prowadzili oni w miarę regularną korespondencję. Wiemy też, że w pierwszym roku ich znajomości pisarz wsparł finansowo swego przyjaciela, co pokazuje, że był człowiekiem hojnym, skorym do pomocy w potrzebie oraz mającym stale na uwadze dobrostan bliskiej mu osoby.

Wiadomo też o bardzo ciekawym związku Tolkiena z sanktuarium jasnogórskim.

W 1960 r. Tolkien własnoręcznie wykonał kaligraficzną kopię wiersza poświęconego Matce Bożej Częstochowskiej autorstwa Hilaire'a Belloca. Napisany w 1928 r. poemat znajdował się w sanktuarium jasnogórskim, ale prawdopodobnie w trakcie wojny zaginął. Gregory Macdonald, przyjaciel Tolkiena, a także pracownik polskiej sekcji BBC, zwrócił się więc z prośbą do pisarza, by ten wykonał jego kaligrafię, na co Tolkien przystał, mimo że miał pewne zastrzeżenia co do wartości literackiej samego utworu. Można zatem powiedzieć, że był to piękny akt pobożności ze strony Tolkiena. Sprawy tej jednak w żaden sposób nie nagłośniono, mimo że autor „Władcy Pierścieni" był już wtedy pisarzem o rosnącej sławie międzynarodowej.

Czy w trakcie pisania książki odkryłaś coś, co było dla ciebie jakimś szczególnym zaskoczeniem w kwestii duchowego życia Tolkiena?

Tak, zwróciłam uwagę na dwie dość szczególne sprawy. Pierwszą z nich był niezwykły wpływ duchowości oratoriańskiej na formację młodego Tolkiena. Mam tu na myśli nie tylko formację duchową, lecz także wpływ oratorian na jego osobowość – to, w jaki sposób traktował innych ludzi oraz jakie było jego ogólne podejście do życia. Śmiem twierdzić, że w znacznym stopniu wpływ ten odcisnął swe niezatarte piętno na życiu Tolkiena i jego kreatywności jako pisarza. Byłam również zaskoczona, widząc, że jego poglądy na temat Soboru Watykańskiego II oraz ówczesnych zmian w liturgii były bardziej zniuansowane, aniżeli się spodziewałam. Powszechnie znane było niezadowolenie Tolkiena z faktu usunięcia łaciny z liturgii posoborowej. Podobnie jak większość badaczy jego życia założyłam więc, że stanowisko Tolkiena wobec wszelkich zmian w Kościele było jednoznacznie negatywne. Jak się jednak okazało, było nieco inaczej. Naturalnie ubolewał on nad zastąpieniem łaciny językami narodowymi, ale równocześnie akceptował wiele reform, jak choćby te wprowadzone przez papieża Piusa X (codzienna Komunia Święta, Komunia Święta dzieci). Uważał, że były to niezwykle korzystne zmiany, które pozytywnie wpłynęły na dostępność Eucharystii. W efekcie więc część reform uważał za właściwą, a z częścią się nie zgadzał. Chcąc być posłuszny hierarchii kościelnej, musiał je jednak wszystkie zaakceptować. Będąc już na emeryturze, został Tolkien także lektorem. Jego aktywne zaangażowanie w Mszę oznacza więc, że w jakimś stopniu musiał pogodzić się z nowym porządkiem Eucharystii. W sposób bardzo szczery wypowiadał się na temat tych elementów Mszy, do których trudno mu było się przyzwyczaić. Niemniej jednak wybrał drogę posłuszeństwa, godząc się na wszystkie elementy kościelnej reformy.

Tolkiena bardzo interesowały losy Polski zarówno w trakcie wojny, jak i później, w okresie rządów komunistycznych. Zawsze bardzo leżała mu na sercu kwestia wolności wyznania i martwił się, gdy była ona łamana, tak jak w powojennej Polsce

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Holly Ordway *– profesor wiary i kultury w Instytucie Word on Fire oraz profesor języka angielskiego na Uniwersytecie Chrześcijańskim w Houston. Autorka książek, tolkienistka. Doktor anglistyki, specjalizuje się w badaniach nad literaturą oraz apologetyką chrześcijańską.*

eprasa.pl 46b98675ff



W wielu miejscach film Uwe Bolla uderza celnie. I chyba tego wystraszyli się najbardziej niemieccy cenzorzy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dwa oblicza zemsty



Piotr Gociek

„Citizen Vigilante"? To nie jest dobry film. Ale burza, która wokół niego wybuchła, pokazuje, jaki mamy klimat

W roku 2023 niezależny film „Sound of Freedom. Dźwięk wolności" okazał się w amerykańskich kinach 10. najbardziej kasową premierą. Brzmi dobrze, ale prawdziwa skala tego sukcesu widoczna jest dopiero, gdy spojrzymy, kogo wówczas niezależny film w reżyserii Alejandra Monteverdego pokonał. Otóż zarobił więcej niż nowe filmy z popularnych serii: „Indiana Jones", „Mission: Impossible", „Igrzyska śmierci", „Transformers", „Szybcy i wściekli". Prosty thriller o rozbiciu światowej siatki pedofilów wyszydzany był przez salonowych krytyków jako propagujący teorie spiskowe, ale publiczność wiedziała lepiej. Publiczność zamiast sztucznych emocji generowanych przez wielkie studia wolała wzruszającą opowieść o tym, że „Boże dzieci nie są na sprzedaż" i że zło trzeba ukarać. Przełożyło się to na wielkie zyski – nakręcony za 14,5 mln film zarobił ponad ćwierć miliarda dolarów.

Najnowszy film Uwe Bolla „Citizen Vigilante" nie jest dobry, w odróżnieniu od „Sound of Freedom. Dźwięk wolności". Ale może stać się podobnym policzkiem dla Hollywood. Nakręcony za 2 mln dol. już w pierwszym tygodniu dystrybucji w streamingu stał się najchętniej kupowanym tytułem w Apple TV+ i Amazon Prime. Drogę przez ekrany kin dopiero zaczyna, ale nie wszędzie trafi. W Europie o filmie zrobiło się głośno, gdy niemiecki urząd przyznający certyfikację produkcjom wprowadzanym do kin odmówił mu przyznania jakiejkolwiek oceny, co oznacza, że w ogóle nie może być wyświetlany. Tyle że państwowe urzędy mogą sobie wydawać rozmaite decyzje, a mimo to być bezsilne wobec tego, że istnieją nowe, ponadnarodowe kanały dystrybucji… właściwie wszystkiego. I oto Elon Musk podając na Twitterze link do filmu „Citizen Vigilante", sprawił, że to, czego próbowano zakazać, stało się dostępne naraz w każdym komputerze.

eprasa.pl 46b98675ff

Zatem o nowej produkcji Uwe Bolla stało się głośno, choć miało być cicho: złe filmy zwykle umierają w ciszy, chyba że są tak złe, że aż kultowe, jak niesławny „The Room" Tommy'ego Wiseau czy „Plan 9 from Outer Space" Eda Wooda. Uwe Boll, niemiecki reżyser, scenarzysta i producent, przerasta to towarzystwo zdolnościami autopromocyjnymi. Jak choćby wtedy, kiedy wyzwał na pojedynek bokserski krytyków miażdżących jego filmy i potem stłukł ich na kwaśne jabłko w ringu. W pierwszej dekadzie XXI w. nakręcił kilka produkcji, o których nawet nie chce mi się pisać, bo nie warto. Potem m.in. prowadził restaurację, a teraz dokonuje comebacku, którego trudno nie zauważyć, skoro nagle wszyscy mówią o „Citizen Vigilante". Zwłaszcza ci, którzy go nie widzieli.

NIEDOBRY, ALE WAŻNY

Zanim przejdziemy dalej, zadajmy kilka pytań kluczowych dla awantury o film Uwe Bolla. Czy w wielu miastach Europy kobiety boją się samotnie wychodzić z domu? Tak. Czy obawiają się o bezpieczeństwo swoich dzieci? Tak. Czy bywają mordowane lub gwałcone przez nielegalnych migrantów? Tak. Czy prawda na ten temat jest przekazywana opinii publicznej? Otóż nie. Mamy za to słynne wygibasy niemieckiej policji, która unika jak ognia ujawniania „przynależności etnicznej", mamy zblatowane z politycznym establishmentem media, które o takich incydentach milczą, nagłaśniają za to każde wydarzenie, do którego można przykleić termin „rasistowski". Mamy wreszcie elitę polityczną, która prowadzi samobójczą politykę imigracyjną.

Wszystko to jest prawda, nic z tego nie jest usprawiedliwieniem dla nakręcenia złego filmu. „Citizen Vigilante" jest filmem niedobrym, ale jednocześnie – tu główny paradoks – ważnym. Bo burza, która wybuchła wokół niego, nie ma wiele wspólnego z tym, jak jest opowiedziany (amatorsko), fotografowany (słabo) i zagrany (tak sobie). Trochę przypomina to awanturę o Larry'ego Flynta, który przez lewicowe i liberalne elity obwołany został symbolem walki o wolność słowa. Słaby to symbol, prawda? Dość obrzydliwy w gruncie rzeczy człowieczek, robiący w pornografii. Teraz symbolem walki o wolność słowa dla drugiej strony politycznego sporu staje się Uwe Boll. Cholera, wolałbym inne symbole.

Prawda jednak jest taka, że gdyby elity polityczne i kulturalne miały czyste sumienie, to nikt by na „Citizen Vigilante" nie zwrócił uwagi. Sumienia czystego nie mają, bo próbują retuszować rzeczywistość i fałszują przekaz medialny, wypełniając jednocześnie produkty popkultury jednostronnym zideologizowanym przekazem. Oburzają się, że Uwe Boll pokazuje mściciela, który zabija bandziorów o niewłaściwym, wedle niemieckiego urzędu kinowego, kolorze skóry. Ale dopiero co obsypywali Oscarami film „Jedna bitwa po drugiej", w którym czarni bojówkarze wysadzali banki, dokonywali zamachów na urzędy i gromadzili broń na potrzeby wojny rasowej.

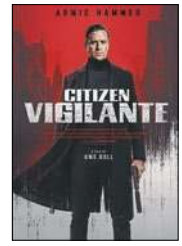

REŻ. UWE BOLL „CITIZEN VIGILANTE" CHORWACJA, NIEMCY 2026

TO NIE JEST DZIEŁO KONSERWATYWNE

Dwa słowa o samej historii, choć nie jest szczególnie oryginalna: Michael Sanders, były amerykański wojak, przenosi się do Europy, gdzie dogląda spadku. Nie przeszkadza mu zarabianie na burdelu, ale irytują go gówniarze niepłacący w autobusie za bilety. Kreuje się na siłę natury, która ma doprowadzić świat do równowagi. Ta zaś została zaburzona: przestępcy robią, co chcą, sądy ich wypuszczają, politycy kłamią. Ze spluwą w ręku zabiera się zatem do wymierzania sprawiedliwości. Internet obwołuje go ludowym bohaterem, który „wyrzuca śmieci" (tak jak bohater sceny otwierającej „Psy 2" „wyrywał chwasty"). Resztę łatwo sobie dopowiedzieć. Widziałem, że ktoś porównywał amatorski styl, w którym nakręcono „Citizen Vigilante", do filmów Patryka Vegi. Uważam to za niesprawiedliwe, Uwe Boll to bardziej ktoś obdarzony antytalentem Mariusza Pujszy.

Film Bolla zaczął być otaczany w prawej części Internetu kultem podobnym do tego, którego doświadcza ze strony internautów filmowy Sanders (grany przez Armiego Hammera). Byłbym z tym kultem bardzo ostrożny, bo kto obejrzy film, ten szybko dostrzeże, że Sanders kreuje się na nietzscheańskiego nadczłowieka, a wymierzana przez niego kara wykracza poza granice, które akceptowaliśmy, oglądając „Death Wish" z Charlesem Bronsonem czy inne klasyki kina zemsty. Mordercom należy się bowiem kara, ale niewinnym – już nie. Tymczasem Sanders swobodnie przekracza granicę. I rację miał recenzent amerykańskiego konserwatywnego „National Review", gdy pisał, że jest to „jakobińska fantazja, która przywdziała prawicową retorykę". „Ze względu na swoją reakcyjną prowokacyjność film ten zostanie zapewne zaszufladkowany jako dzieło konserwatywne" – zauważał Giancarlo Sopo. „W rzeczywistości nim nie jest".

ZABÓJCZA CENZURA

Nie zmienia to faktu, że w wielu miejscach Uwe Boll uderza celnie. I chyba tego wystraszyli się najbardziej niemieccy cenzorzy. Gdyby chcieli zakazywać po prostu złych filmów, musieliby zamknąć 90 proc. streamingu i kin. Gdyby naprawdę zamierzali walczyć z przemocą na ekranie, znaleźliby wdzięczniejsze obiekty do takiej krucjaty. Szermują argumentem „rasizm", ale białym bandytom też się w „Citizen Vigilante" dostaje. To, co jest najgroźniejsze w tym filmie, to zdania, z których prawdziwością po prostu trzeba się zgodzić. Jak wtedy, gdy słyszymy słowa: „I na co płacimy podatki? Całej Afryki nie uratujemy. Pomagamy im, a oni przyjeżdżają i nas okradają". Jak wtedy, kiedy przedstawiciel Interpolu nawija makaron na uszy widzom, bredząc coś o tym, że ścigany mściciel na pewno należy do „komórki międzynarodowej organizacji terrorystycznej" i że pewnie działa z inspiracji chińskiej albo i rosyjskiej, będąc „zagrożeniem dla demokracji".

Otóż demokracje zwykle radzą sobie jakoś (w każdym razie niegdyś radziły) i z gwałcicielami, i z zabójcami, i nawet z organizacjami terrorystycznymi. Oraz z niezbyt mądrymi, złymi filmami. Natomiast zabójcze dla demokracji jest kłamstwo, zabójcze są podwójne standardy, zabójcza jest cenzura. Ci, którzy chcą filmu Bolla zakazać, ściągają na siebie uzasadnione podejrzenie o takie właśnie przewiny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Dobry pasterz



★★★★★★

REŻ. KYLE BALDA
„SPRAWIEDLIWOŚĆ OWIEC"
USA 2026

wyst. Hugh Jackman, Nicholas Braun, Molly Gordon,

Film ten oglądać należy w wersji oryginalnej z polskimi napisami – wyłączcie polski dubbing i rozkoszujcie się znanymi głosami: Julia Louis-Dreyfus, Bryan Cranston, Patrick Stewart (to tylko część gadających owiec). A poza tym na ekranie m.in. Emma Thompson i Hugh Jackman budzący nasz szeroki uśmiech jako pasterz opiekujący się stadem, któremu co wieczór czyta klasyczne powieści kryminalne. Owce emocjonują się zaskakującymi puentami i dyskutują nad tym, kto zabił (oczywiście ludzie, w tym ich pasterz, nie mają pojęcia o ich bogatym życiu wewnętrznym). Nic więc dziwnego, że gdy ich ukochany opiekun padnie trupem, zwierzęta postanowią rozwiązać zagadkę jego nagłej śmierci.

Film Kyle'a Baldy przemknął niedawno przez ekrany polskich kin i trafił właśnie do streamingu – myślę, że powiedzie mu się tutaj lepiej, bo to coś jak skrzyżowanie filmu „Babe – świnka z klasą" z powieściami Agathy Christie. Mamy zatem zagadkowy zgon, mamy małe miasteczko, spadek, krewnych i całą galerię lokalnych typów (tyleż barwnych, co podejrzanych). A fakt, że detektywami są owce, dodaje rzeczy i uroku, i humoru. Za fasadą kolorowej rozrywki kryje się jednak coś więcej: opowieść o stracie i o bólu; kryje się pytanie: „Jak przetrwać, gdy twój świat całkiem się zawali?".

Figura pasterza i jego stada kojarzyć się musi z symboliką religijną. Hardy jest centralną postacią wszechświata owiec, ich prawodawcą, ich opiekunem, kimś, kto zna je na wskroś. Nadaje im imiona, spojrzawszy głęboko w oczy zwierzęcia, widzi jego prawdziwą naturę. Wieczorna wspólna lektura książek jest niczym wspólne obcowanie z Pismem. „Cóż to jest?" – pyta jedna z owiec, mijając kościół. „To dom, gdzie mieszka Bóg"– odpowiada druga, dopowiadając: „Bóg jest jednocześnie pasterzem i owieczką". Wachlarz interpretacji, który otwiera się dzięki tropom religijnym, jest szeroki. Czy to świat, w którym zabito Boga? Czy przypowieść o dobrym i złym pasterzu (tak, pojawi się tu i metaforyczny zły pasterz)? Czy sprawca mordu, gdy już go poznacie, nie będzie się wam kojarzył z upadłym aniołem? Ale uwaga: aniołem upadłym nie ze swej woli. ©℗

GRA TYGODNIA: „FINAL FANTASY VII REBIRTH"

Druga część doskonałego (na „dużych" konsolach) remake'u „Final Fantasy VII" wreszcie trafiła na przenośny sprzęt od Nintendo. Część pierwsza działała i wyglądała świetnie. Część druga jest większa i dużo bardziej wymagająca. Trzeba więc było iść na większe kompromisy. Port nie wygląda więc już tak dobrze, widać różnice między wersją na PS5, ale nadal działa świetnie. A wspomniane kompromisy wynagradza mobilność. Zanurzenie się w tym świecie podczas długiej podróży to wspaniałe doświadczenie. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *jRPG, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Square Enix*

eprasa.pl 46b98675ff

Włóczęgi północy

KINO

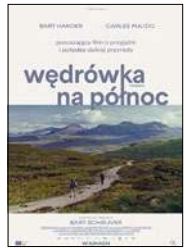

★★★☆☆☆

REŻ. BART SCHRIJVER
„WĘDRÓWKA NA PÓŁNOC" („THE NORTH")
HOLANDIA 2025

wyst. Bart Harder, Carles Pulido

Kino drogi w wersji pieszej. Gatunek coraz chętniej eksploatowany, gdyż w reakcji na technologiczną rewolucję tudzież polityczno-społeczne turbulencje nasilają się głosy postulujące reset, czyli powrót do korzeni. Jean-Jacques Rousseau lubi to. Wizja ucieczki od demoralizującego wpływu cywilizacji, życia w zgodzie z naturą, jakkolwiek kusząca, nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Czemuż jednak nie realizować jej w wersji soft? Na zainteresowanych czekają szlaki, które można przejść w całości lub na raty, samemu lub w towarzystwie, z wielkim plecakiem lub z rękami w kieszeniach (wyspecjalizowane firmy dostarczą twój bagaż, gdzie tylko sobie zażyczysz). Entuzjaści trekkingu zapewniają, że dotleniony mózg działa sprawniej, urody dzikich krajobrazów nic nie przebije, a włóczęga – zwłaszcza wielodniowa – daje poczucie wolności, które na co dzień odbierają ci praca i rodzina. Poza tym na szlaku wychodzi na jaw prawda o człowieku. „Marsz, namiot, przygoda – moglibyśmy tak miesiącami" – zachwyca się jeden z bohaterów filmu Barta Schrijvera.

Chris i Lluis, Holender i Katalończyk, wędrują, by odbudować dawną więź. To ekscentrycy. Zamiast – jak wzywała kultowa formacja Dwa Plus Jeden – ciągle iść w stronę słońca, wybierają kierunek przeciwny. Sześćset kilometrów przez szkockie wyżyny, aż do smaganych huraganowym wiatrem klifów Cape Wrath. Szlak nieoznakowany, z wyjątkowo ubogą bazą noclegową i gastronomiczną. Mimo kaprysów aury oraz dokuczliwych owadów humory im dopisują. Do czasu. Panowie nie widzieli się przez dekadę i są już trochę innymi ludźmi. Chris się ustatkował, Lluis nie ma takiego zamiaru. Drobiazgi zaczynają urastać do miana problemów. Ktoś jest skowronkiem, ktoś lubi pospać dłużej. Gdy jeden chce odpocząć, drugi patrzy na zegarek. Maszerują razem, a jednak coraz bardziej osobno. Męska przyjaźń wisi na włosku.

„Wędrówka na północ" przypomina paradokument. Ponoć aktorzy naprawdę przez miesiąc tułali się po bezdrożach. Dialogi są skąpe, tempo – usypiające. W porównaniu z serialami Netflixa totalna nuda. Dotrzeć na koniec świata, wypić tam kawę i pozbierać myśli? Cóż, znam gorsze sposoby na zabijanie czasu. ©℗

Wiesław Chełminiak

ODDZIAŁ FURIATÓW

Każdy 100-latek był kiedyś młody i zadziorny. Mel Brooks, przekroczywszy pięćdziesiątkę, odważył się stanąć w szranki jednocześnie z Freudem i Hitchcockiem. Wygrał przez nokaut w pierwszej rundzie. Mistrz suspensu podobno sprezentował prześmiewcy butelkę markowego wina. „Lęk wysokości" ma fabułę jak znalazł na obecne czasy. W Warszawskim Szpitalu Południowym – sorry – w Instytucie Neurologicznym dla Bardzo, Bardzo Nerwowych w Los Angeles dochodzi do serii horrendalnych nadużyć. Spisek lekarzy złoczyńców demaskuje psychiatra noblista, którego nasz jubilat z konieczności zagrał osobiście. Skomponował też bombastyczną muzykę do filmu i z werwą godną Sinatry zaśpiewał utwór tytułowy. Sceną z ptakami Mel prawie zniszczył system. Nie przewidział tylko jednego: że demoniczna siostra Diesel ukradnie mu prawie cały show. ©℗

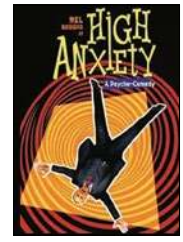

tv

★★★★☆☆

REŻ. MEL BROOKS
„LĘK WYSOKOŚCI" („HIGH ANXIETY")
USA 1977

wyst. Mel Brooks, Ron Carey, Cloris Leachman

DO ZOBACZENIA

Samorodek



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE? ***Muzeum Archidiecezjalne we Wrocławiu***
KIEDY? ***do 15 listopada***

Łemkowski samouk przez większość życia borykał się z drastycznym ubóstwem, a bywalcy krynickich deptaków traktowali go najczęściej z pobłażaniem – jako lokalnego dziwaka. Dziś Nikifor, czyli Epifaniusz Drowniak, uznawany jest za jednego z najwybitniejszych malarzy naiwnych (prymitywistów) na świecie. Malował na tym, co akurat wpadło mu w ręce: skrawkach tektury, zużytych zeszytach, starych drukach urzędowych, a nawet na paczkach po papierosach. Wystarczyły mu szkolne akwarelki i własna nieskrępowana wyobraźnia.

Na wystawie „Nikifor. Fenomen samorodnego talentu" prezentowanych jest 50 prac artysty. Na niepozornych formatach znajdziemy niezwykle precyzyjne, nasycone barwami architektoniczne pejzaże: cerkwie, kościoły, krynickie wille i małe stacyjki kolejowe. Nikifor, człowiek z absolutnego marginesu społecznego, z wielką godnością portretował także samego siebie. ©℗



FOT. MUZEUM ARCHIDIECEZJALNE WE WROCŁAWIU

eprasa.pl 46b98675ff



MOJA PÓŁKA

Peany Barana

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Jeden z największych polskich poetów wydał właśnie nowy tom zawierający 84 wiersze, które napisał w ciągu ostatnich pięciu lat. Są wśród nich takie perełki, jak „Pochwała drzew" ze słowami:

ile w was łagodności i skupienia ile
gdy wiatr was bałamuci
lecz wy swoje wiecie
że lepiej poprzestać
na małym
niż uganiać się za pstrym szczęściem
po wywrotnym świecie,
i kończącą utwór supliką:
o drzewa
niczym cienie
służące nam wiernie
od kołyski bujanej
do grobowej deski
godne fraszek Jana
poemów Adama
nie pogardźcie też skromnym
peanem
Barana.

Poeta podpisuje się także pod innym wierszem – „Nasz dobrostan", refleksją nad zapewnianiem nas o bezpieczeństwie, które ponoć wzrasta wprost proporcjonalnie do zwiększania arsenału zbrojeniowego, zwłaszcza „gdy z drugiej strony barykady / wycelowanych jest w każdą z głów / prawie tyleż samo / rakiet głowic i dronów / najbliższego i najdalszego zasięgu". Do takich mocno niepoprawnych politycznie wniosków dochodzi – jak się dowiadujemy – „starszy szeregowiec ziemski / w stanie spoczynku Józef Baran".

Tak, autorem tomu „Jaśń" jest Józef Baran, od lat 70., gdy Artur Sandauer nazwał jego twórczość „poezją niepokazową", uchodzący za poetę znakomitego, tyle że pozostający takim raczej w oczach czytelników niż krytyki. Trudno dociec, czy dla tej ostatniej był zanadto wielki czy, przeciwnie, wielki był niedostatecznie. Niewykluczone, że Sandauer, którego sądy miały niesłychane znaczenie, swoim entuzjastycznym przyjęciem utworów Józefa Barana bardziej mu zaszkodził, niż pomógł. Obudził bowiem demony zazdrości, krzywdzącej, bo przecież w tej poezji, jak pisał Piotr Kuncewicz, było dość powodów, by autora z Borzęcina rodem „czytano i by Sandauer miał co pochwalić". A tego, że poeta swą liryką trafia prosto do ludzkich serc, trudno było nie dostrzec.

W każdym razie o debiutanckim tomie Józefa Barana zatytułowanym „Nasze najszczersze rozmowy" zrobiło się głośno, a zbiór uhonorowany został w 1975 r. nagrodą im. Andrzeja Bursy za najlepszy debiut. Teraz, po pół wieku, patronowi tamtej nagrody, autorowi poematu „Luiza", ale i niezapomnianego „Pantofelka" zadedykował Józef Baran wiersz „Bezczelny dar":

zawsze przeszkadzał mi w życiu
ten bezczelny dar widzenia w innych
nie tylko tego co wystawiają
na pokaz publiczny
w słowach
ale
również
o czym milczą
co w sobie pudrują glancują
i nie wymówią za skarby święte
a co mówi o nich może nawet więcej
niż sami o sobie
wiedzą.

Wraz z upływem lat coraz bardziej wyrazista stawała się osobność Józefa Barana, niezależnie od młodzieńczych związków z ówczesnymi grupami literackimi. Wydawał kolejne zbiory wierszy, rozmowy z pisarzami, tomy dziennika. Od 20 lat publikuje je w wydawnictwie Zysk i S-ka, gdzie w 2015 r. ukazało się „Szczęście w czapce niewidce i 99 nowych wierszy". I w tamtym tomie, i w najnowszym mamy do czynienia – jak pisze w „Słowie o Józefie Baranie: człowieku i poecie" Antonio Benitez-Burraco, tłumacz wierszy autora zbioru „Jaśń" na hiszpański – „z liryką, która pragnie uleczyć chorego ducha człowieka współczesnego, zmuszonego mierzyć się nie tylko z trudami egzystencji, lecz także z narastającą dehumanizacją [...]". Jest ta poezja „w pełni świadoma trudów i goryczy życia, a jednocześnie jawi się jako optymistyczna, spokojna i empatyczna wobec człowieka – jako afirmacja świata i istnienia".

No pewnie, wszak w wierszu „Piękne sierpniowe popołudnie":

wysokie drzewa trwają
w staffowskim
bezwietrznym
stuporze
można się do woli
porozpływać w
niebieskich zachwytach,
a w „Wiosennym Sopocie 2025" któż to
siedzi na ławeczce nadmorskiej?
sam siwy pan Staff
zaczytany w mapach pogody
przytyka tajemniczo
palec do ust
i daje znak „psst"
gdy go pytam
„po co to wszystko?".

Ma twórczość Józefa Barana swoich miłośników, w przeciwnym bowiem razie nie stałaby się przedmiotem analiz na egzaminach maturalnych, co przytrafiło się paru jego wierszom, m.in. „Tańcowały dwa Polaki", „Apokalipsa domowa", „Najkrótsza definicja życia". Inne utwory spopularyzowało z kolei, śpiewająco je wykonując, Stare Dobre Małżeństwo. Co nie zmienia faktu, że autor tomu „Jaśń" pozostaje poetą – proszę wybaczyć to określenie – dla wtajemniczonych. A że jest ich rzesza niemała, to w końcu najważniejsze. ©℗

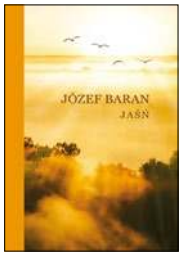

★★★★★★

JÓZEF BARAN „JAŚŃ. 84 NOWE WIERSZE Z LAT 2022–2026" ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2026

eprasa.pl 46b98675ff



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Czarodziej i barbarzyńca

Nie byłoby bez tej serii ani „Wiedźmina", ani „Gry o tron", ani niezliczonych scenariuszy RPG, setek, jeśli nie tysięcy opowiadań i powieści. Fritz Leiber, znany w Polsce przede wszystkim jako autor prozy SF, jest także jednym z ojców założycieli współczesnej fantasy. To on miał nawet ukuć pojęcie „magia i miecz" dla określenia takich opowieści, ale przecież korzenie miał w horrorze, jako jeden z autorów z kręgu H.P. Lovecrafta (z którym się przyjaźnił i obficie korespondował).

Cykl o Lankhmarze poznaliśmy w roku 1993, gdy nakładem Alfy ukazał się tom „Miecze i ciemne siły". To jeden z kanonicznych tomów w dziejach fantasy, wprowadzający na scenę najbardziej znanych i lubianych bohaterów Leibera. Fafhrd to barbarzyńca z północy, Szary Myszołap to młody czarodziej, ale również niezrównany złodziej. Razem walczą, piją, biją się i stawiają czoła najrozmaitszym niebezpieczeństwom, jakie świat fantasy może przynieść. Owszem, bywają łotrzykami, ale zawsze odróżniają dobro od zła. Są więc nieodrodnymi dziećmi epoki – tej samej, która przyniosła rozkwit literatury noir: późnych lat 30. oraz lat 40. XX w.

Leiber rozpoczął wówczas tworzenie cyklu, którym zajmował się aż do śmierci, dając zresztą swym bohaterom życie nie tylko pełne przygód, lecz także wiarygodne, bo wraz z upływem czasu także oni się starzeją. „Niefart w Lankhmarze", który ukazuje się właśnie nakładem wydawnictwa Zysk i S-ka, zawiera pierwsze dwa tomy opowieści o Fafhrdzie i Myszołapie, mam nadzieję, że cierpliwości wydawcy i uwagi czytelników wystarczy, by edycję doprowadzić do końca. Rzecz trafia do nas w nowym przekładzie. Kiedyś całość przełożył Dariusz Kopociński, teraz uczynił to Michał Jakuszewski. Jestem po stronie nowego przekładu, bo w poprzednim zbyt wiele było archaizmów.

Nie docenia się skali wpływu Leibera, bo – jak kiedyś tłumaczyła Judith Merrill w specjalnym „leiberowskim" numerze „The Magazine Of Fantasy & Science Fiction" (7/1969) – był zbyt wszechstronnie utalentowany. Pisarze tacy jak Bradbury czy Heinlein kojarzeni są z jednym, typowym dla siebie, charakterystycznym stylem, jednym rodzajem literatury. Leiber potrafił wszystko – pisał wiersze, polityczne satyry, twardą SF, horror i fantasy – ignorowano go, bo mało kto za nim nadążał. ©℗



★★★★★★

FRITZ LEIBER „NIEFART W LANKHMARZE" ZYSK I S-KA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Katolicyzm jest „niegermański", Rzym to kultura „obca niemieckiemu duchowi – kto głosił takie tezy i co z tego wynika"? Pasjonujący wywód autora znanego z „Do Rzeczy" o dwóch stuleciach walki Berlina z katolicyzmem.



GRZEGORZ KUCHARCZYK „KULTURKAMPF" FRONDA

Niemal trzy dekady panowania w czasach rozbicia dzielnicowego, walka o władzę i bój z Barbarossą. Trzeci tom monumentalnego przedsięwzięcia, którym jest „Poczet władców Polski" – nowe biografie królów i książąt.

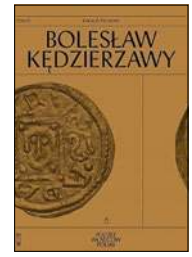

RAFAŁ RUTKOWSKI „BOLESŁAW KĘDZIERZAWY" PIW

Podróż do kresu literatury – opowieść post-apo o Anglii za dwa tysiące lat Hoban napisał stworzonym przez siebie językiem: potrzaskanym, kalekim angielskim przyszłości. Przekładu niemożliwego podjął się Piotr Siemion.

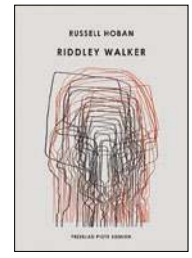

RUSSELL HOBAN „RIDDLEY WALKER" ARTRAGE

Ostatni z wielkich gra, bo to kocha. Biografia Leo Messiego, legendy argentyńskiego i światowego futbolu, to też opowieść o kłopotach: z pieniędzmi, rodziną i wizerunkiem. No bo nie z piłką, prawda? ©℗

recenzuje Piotr Gociek



SEBASTIÁN FEST, ALEXANDRE JUILLARD „MESSI" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
GRAB ZAGRABIONE

Władza władzą, ale liczą się pieniądze. Ile ich zagrabił Putin? Jako dyktator ma do dyspozycji całe państwo, lecz najbliższa sercu jest fortuna własna. Ćwierć miliarda dolarów? Więcej? Jednym z szukających odpowiedzi na to pytanie jest francuski spec od wywiadu Yvonnick Denoël, który napisał scenariusz do komiksu o rosyjskiej „transformacji ustrojowej", czyli wielkim złodziejstwie. ©℗

Piotr Gociek



YVONNICK DENOËL, GILDAS JAVA „FORTUNA PUTINA" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2026

eprasa.pl 46b98675ff



Piotr Semka

Jestem już zmęczony wymianą opinii z Adamem Wielomskim. Decyduję się na odpowiedź tylko z jednego powodu...



Gdzie Wielomski,

Reakcja Adama Wielomskiego na moją polemikę niewiele wniosła do naszej dyskusji. Autor tekstu „Kto zamknął oczy na rzeczywistość?" („DRz" nr 27/2026) zupełnie pominął moje wskazania, że dzisiejsza Rosja Putina to państwo nieprzewidywalne i agresywne. I z tego właśnie powodu, a nie z racji jakiejś antyrosyjskiej fobii czy psychozy, traktują ten kraj jako militarne zagrożenie tak różne państwa jak Szwecja, Rumunia czy nawet Turcja. U Wielomskiego odniesienia się do tej głównej tezy próżno szukać.

Nie chcę wchodzić w szczegółowe przekomarzanki Wielomskiego na temat tez mojego artykułu, które uważam za chybione. Wymagałoby to szczegółowego odnoszenia się do niektórych zarzutów, a ja już jestem tą wymianą opinii znużony.

Jeśli jednak jeszcze raz podejmuję polemikę, to tylko z racji „nowatorskiej" tezy Wielomskiego wyjaśniającej spór o stosunek Polski w ostatnich latach do obecnej Rosji Putina.

KTO ZJADŁ NASZ SER?

Wielomski stawia tezę, że niechęć do resetu z Moskwą wynika z przesłanek irracjonalnych. I posiłkuje się dodatkowym argumentem – to wynik przyjęcia przez Jarosława Kaczyńskiego roli polityka, którego misją jest zagradzać drogę do władzy jakimkolwiek spadkobiercom myśli Romana Dmowskiego. Według tej teorii Kaczyński jako lewicowiec niechętny jest otwarciu na państwo Putina, bo kojarzy prorosyjskość z ideami Romana Dmowskiego.

I oto mamy cudowne wytłumaczenie całej polskiej polityki ostatnich 30 lat. Lider PiS zawładnął podstępem prawicą, bo miejsce zajmowane przez PiS – jak pisze Wielomski – „w normalnych warunkach zajęłaby partia neoendecka".

A gdy Kaczyński dopiął swego – to już wszystko, co robi, to jego osobista walka z ideami autora „Myśli nowoczesnego Polaka".

Wszystko to wskutek założenia Wielomskiego, że skoro Dmowski przed 1914 r. prowadził politykę uznawania realiów pozostawania większej części ziem polskich pod władzą cara Mikołaja II, to dziś byłby zwolennikiem resetu z Rosją.

Wielomski pisze: „Wskazując na źródła swojej wrogości do tradycji Narodowej Demokracji, Kaczyński zawsze podkreślał jej niechęć do Żydów i błędne koncepcje międzynarodowe. Zapewne nie pomylę się, twierdząc, że chodziło o charakterystyczną dla Romana Dmowskiego i jego bloku skłonność do traktowania Rosji jako normalnego państwa, z którym Polacy, a potem niepodległa Polska, mogą się dogadać. Linia ta nie zmieniła się nawet po zwycięstwie bolszewizmu, gdyż – mimo sprzecznych światopoglądów Polski i ZSRS – łączył obydwa państwa wspólny wróg, a mianowicie rewizjonizm niemiecki i germańska pogarda dla Słowiańszczyzny. Endecja nie wyznawała żadnych idei panslawistycznych (którym hołdowali Czesi) ani nie żywiła do Rosji jakiejkolwiek sympatii, uznając ją za obcą nam cywilizację wschodnią. Była to czysta kalkulacja geopolityczna. Stąd też endecy w latach 30. popierali lansowaną przez dyplomację francuską ideę Paktu Wschodniego, czyli sojuszu antyniemieckiego Francji, Polski, Czechosłowacji i ZSRS [...].

Dziś geopolitykę Dmowskiego i Narodowej Demokracji z pewnością uznano by za »onucyzm« i »narrację Kremla«. Stąd też takimi określeniami bywam także ja obdarzany, gdyż spośród polskich tradycji politycznych tę endecką uznaję za najbliższą moim poglądom, a samego Dmowskiego uważam za najbardziej znaczącego polskiego myśliciela politycznego XX w. – nie tylko jako ideologa, lecz także teoretyka stosunków międzynarodowych. Podzielam także pogląd Dmowskiego, że jakkolwiek cywilizacyjnie Rosjanie są dla nas Marsjanami, to konstelacje międzynarodowe kierują się logiką racji stanu, a nie bliskością kultury".

PAN ROMAN TO PRZEWIDZIAŁ

Gdy czytałem te słowa, przypomniało mi się pewne ostrzeżenie, które „Pan Roman" od lat 20. kierował do młodszych działaczy narodowych. Ten zwrot brzmiał: „Nie bądźcie talmudystami".

Odnalazłem go w streszczeniu przemówienia Romana Dmowskiego wygłoszonego na zjeździe Młodzieży Wszechpolskiej 24 kwietnia 1923 r. Tekst został następnie opublikowany w tomie „Roman Dmowski. Przyczynki – Przemówienia" (Poznań, 1934).

eprasa.pl 46b98675ff

gdzie Dmowski?

Dla Romana Dmowskiego termin „talmudyzm" miał oczywiście charakter metaforyczny i polemiczny. Nie był wezwaniem do zajmowania stanowiska wobec judaizmu jako religii, lecz krytyką określonego sposobu myślenia.

„Wystrzegajcie się talmudyzmu, trzymania się tego, co kiedyś zostało napisane. Musimy ciągle tworzyć, ciągle iść naprzód [...]. Ja sam odszedłem już daleko od wielu spomiędzy tych rzeczy, które kiedyś napisałem [...]. Nic z tego, co stworzył obóz – poza oczywiście podstawowymi zasadami jego ideologii – nie stanowi martwej formułki, której by można się nauczyć i nie myśleć dalej".

I kończy swe wystąpienie słowami: „Dlatego proszę Was: nie bądźcie talmudystami. Ciężką pracą trzeba iść naprzód, bo wiele mamy do zrobienia".

„Pana Romana" niepokoiła wizja, w której obóz narodowy zastygnie w źle pojętej wierności doktrynie. Bał się zamiany programu politycznego w niezmienny zbiór formuł. A wszystko to przy braku twórczego myślenia i dostosowywania programu do nowych warunków. A niekiedy przy wykorzystaniu starych dogmatów do swojej wygody lub tchórzostwa. Bo tak łatwiej, bo tak milej.

Warto zwrócić uwagę na zdanie: „Ja sam odszedłem już daleko od wielu spomiędzy tych rzeczy, które kiedyś napisałem".

To pokazuje, że Dmowski nie uważał własnych wcześniejszych książek za nieomylne. Oczekiwał od młodszych działaczy zachowania stałych zasad (interes narodowy, realizm polityczny, organizacja narodu), ale jednocześnie ciągłego rozwijania programu i samodzielnego myślenia. Ocenienia nowych czasów i idei za każdym razem na nowo.

Dlaczego Dmowski mówił, że sam odszedł od części swoich dawnych poglądów? Bo chciał, by jego następcy każdą kolejną konfigurację polityczną oceniali świeżym okiem. Bez dogmatu „zawsze z Rosją". A już na pewno nie „Z Rosją za wszelką cenę".

Jeśli coś miało być stałe w ich myśleniu, to imponderabilia – prymat interesu narodowego, realizm polityczny, znaczenie silnego państwa, konieczność organizacji społeczeństwa.

Chodziło mu o to, że zmieniają się metody działania i odpowiedzi na nowe wyzwania. Że nic nie jest dane raz na zawsze. A każda nowa sytuacja wymaga rozważenia odpowiednich sojuszników. I to nie tych egzotycznych, tylko tych, których ma się pod ręką. Dmowski uważał, że polityk powinien stale analizować rzeczywistość i korygować swoje poglądy, jeśli wymagają tego okoliczności. Dlatego ostrzegał młodych działaczy przed traktowaniem jego wcześniejszych książek jako niezmiennego zbioru reguł.

Wielomski powtarza błędy „talmudyzmu" w analizie geopolitycznej oraz w ocenie Ukrainy jako państwa i narodu wymyślonego. Takie opinie mogły pojawiać się w latach pierwszej wojny światowej, gdy Wiedeń pozwolił na stworzenie oddziałów Strzelców Siczowych i gdy jasne były już roszczenia Ukraińców do Lwowa i – szerzej – całej Galicji. Dziś jesteśmy w warunkach istnienia Ukrainy od 35 lat i obronienia przez nią wojny o niepodległość. Żołnierze zazwyczaj nie giną za „byty urojone".

Pamiętam sam „talmudycznych endeków" z lat 1980–1989. Wierzyli, że można powstrzymać zjednoczenie Niemiec, że z Rosją nie wolno zadzierać w żadnym wypadku, gdyż stoi na straży piastowskich granic, że opozycja przed 1980 r. to jedynie trockistowska intryga. A KPN jest groźny, bo z racji swej antyradzieckości sprawi, że Breżniew odda Szczecin Honeckerowi.

Przed pierwszą wojną Dmowski widział, że rosnący nacjonalizm ukraiński będzie wrogi Polsce i trzeba go powstrzymywać i hamować. Nie wierzył, by Ukraińcy byli w stanie stworzyć własne państwo. Ale dziś nie ma żadnej symetrii między tamtą sytuacją a chwilą obecną!

Państwo ukraińskie powstało i istnieje od wielu dziesięcioleci i przeżywa gwałtowny proces budowy tożsamości w obliczu straszliwej wojny z Rosją. Kierunek budowy tożsamości może budzić nasze obawy i sprzeciw, ale jako realiści i w szczególności ludzie pamiętający wskazania Dmowskiego musimy uznać, że ten byt państwowy istnieje i na razie obronił swoją egzystencję.

FINLANDYZACJA ZAMIAST FINLANDII?

Ale problem jest szerszy i chcę go jeszcze raz podkreślić. Jedyną alternatywą jest niewypowiedziana przez Wielomskiego jednoznacznie AKOMODACJA do imperialnej polityki Rosji Putina i kremlowskiej elity władzy kosztem polskiego interesu narodowego. Ceny, którą Rosjanie podyktują za taki modus vivendi, nie znamy. Doświadczenie uczy, że może być ona słona, choć na pewno będzie z pozoru atrakcyjna.

Oczywiście, że tym razem nie chodzi o rusyfikację czy aneksję terytorium Rzeczypospolitej, chodzi tylko o dyktat ekonomiczny, wojskowy strategiczny i w polityce międzynarodowej RP. Czyli finlandyzacja, a ponadto panoszenie się moskiewskich biznesmenów w Warszawie. Bo przecież wszystko jest lepsze niż wojna z Rosją. Na tym także polegały niektóre złudzenia resetu Donalda Tuska z Rosją w 2008 r.

Co jest istotą tego myślenia? Strach. Lęk przed myśleniem realnym. Zapominanie, że wolność narodu ma swoją cenę. Że ryzyko jest częścią polityki, a słabość prowokuje złych ludzi do agresji i dominacji. I na koniec raz jeszcze powtórzę to, czego nie zauważył Wielomski w mojej polemice. Rosja to kraj, z którym jak najbardziej można prowadzić cywilizowaną politykę. Jest tylko jeden warunek. Ona sama musi uznawać cywilizowane reguły gry. Na razie jest państwem, które chce wymusić korekty granic drogą wojskowej agresji, a potem wyniszczającej wojny, a to wymusza myślenie obronne, a nie reset. Jak się Rosja zmieni, to pierwszy przyklasnę jakiemuś nowemu modus vivendi.

Jeśli to nie jest realizm, to co nim jest? Wybiórcze nawiązywanie do dzieł Dmowskiego?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Prezydent USA Donald Trump wraz z członkami swojego gabinetu podczas konferencji prasowej kończącej szczyt G7, 19 czerwca 2026 r.

FOT. DANIEL TOROK/WHITE HOUSE/ZUMA PRESS/FORUM

A więc eskalacja



Michał Krupa

Mimo retoryki pokojowej Trumpa z kampanii wyborczej w 2024 r. amerykańska administracja nie porzuciła kluczowych elementów poprzedniej polityki prezydenta Joe Bidena – dozbrajanie jednej strony i ekonomicznej izolacji drugiej

Od samego początku kampanii prezydenckiej w 2024 r. Donald Trump wielokrotnie obiecywał zakończyć wojnę Rosji z Ukrainą „w ciągu 24 godzin" poprzez zdecydowaną akcję dyplomatyczną. Przedstawiał się jako skuteczny negocjator, który osiągnie to, czego nie udało się poprzednim administracjom. Jednak w połowie 2026 r. polityka Białego Domu ujawnia wyraźny ciąg sprzeczności: publiczne deklaracje szybkich negocjacji współistnieją z dalszym wsparciem militarnym dla Ukrainy, wznowieniem presji sankcyjnej na Rosję oraz współgraniem z niektórymi europejskimi sojusznikami, którzy ewidentnie dążą do głębszej eskalacji. Szczyt w Anchorage z sierpnia 2025 r., niegdyś przedstawiany przez niektórych w Moskwie jako przełom, został nawet przez rosyjskich przywódców określony jako niewiele więcej niż pokazówka.

Dwa lata temu Trump był jednoznaczny. Krytykował podejście administracji Bidena jako nieodpowiedzialne finansowo i strategicznie błędne, argumentując, że miliardy dolarów pomocy nie przyniosły zwycięstwa Ukrainie i że tylko silne przywództwo może zmusić obie strony do stołu negocjacyjnego. Obietnica szybkiego zakończenia wojny trafiła do wyborców zmęczonych niekończącymi się zagranicznymi uwikłaniami Stanów Zjednoczonych. Po objęciu urzędu w styczniu 2025 r. administracja początkowo prowadziła dyplomację zakulisową. Specjalni wysłannicy w osobach Jareda Kushnera i Stevena Witkoffa i bezpośrednie kontakty z Kijowem oraz Moskwą sygnalizowały powagę zamiarów negocjacyjnych. Wysiłki te doprowadziły do głośnego szczytu rosyjsko-amerykańskiego, który odbył się 15 sierpnia 2025 r. w bazie Joint Base Elmendorf-Richardson w Anchorage na Alasce.

Spotkanie prezydenta Trumpa z prezydentem Władimirem Putinem przedstawiano jako potencjalny punkt zwrotny. Trump określił rozmowy jako „bardzo produktywne", podczas gdy Kreml początkowo sugerował, że spotkanie ustanowiło porozumienia mogące otworzyć drogę do pokoju, głównie na warunkach korzystnych dla strony wygrywającej wojnę, tj. Rosji, w tym wpływów w części Donbasu. Nie podpisano jednak żadnego formalnego porozumienia, a Trump podkreślał, że „nie ma dealu dopóty, dopóki nie ma dealu".

Przez kolejne miesiące rosyjscy urzędnicy powoływali się na „ducha Anchorage"

eprasa.pl 46b98675ff

jako dowód postępu, który blokuje jedynie ukraińska nieustępliwość. Ta narracja jednak zaczęła się publicznie rozpadać pod koniec czerwca bieżącego roku.

ZAJĘCIE STANOWISKA

Na początku czerwca, podczas przesłuchań w Izbie Reprezentantów, sekretarz stanu USA Marco Rubio wygłosił jedną z najjaśniejszych deklaracji rzeczywistej postawy obecnej administracji amerykańskiej. Jego słowa bezpośrednio zaprzeczały jakiemukolwiek wyobrażeniu o Stanach Zjednoczonych jako bezstronnym mediatorze. Rubio stwierdził: „Stany Zjednoczone nie są neutralnym mediatorem w wojnie Rosji przeciwko Ukrainie, a Waszyngton nadal wspiera Ukrainę, jednocześnie utrzymując presję na Rosję". Podkreślił, że Waszyngton działa z jasno określonych pozycji politycznych i nie widzi militarnej drogi do zakończenia konfliktu. Wojnę, jak argumentował, można zatrzymać jedynie środkami dyplomatycznymi, lecz utrudnia to brak gotowości stron do kompromisu. Kluczowe było jednak wyjaśnienie asymetrii: „Nie dostarczamy broni Rosji. Dostarczamy broń wyłącznie Ukrainie. Nie nakładamy sankcji na Ukrainę. Nakładamy sankcje wyłącznie na Rosję. Wyraźnie więc zajęliśmy stronę".

Słowa Rubia ujawniły dobitnie, że mimo retoryki pokojowej Trumpa administracja nie porzuciła kluczowych elementów poprzedniej polityki prezydenta Joe Bidena – dozbrajanie jednej strony i ekonomicznej izolacji drugiej. Ta wyraźna deklaracja „zajęcia strony" natychmiast stworzyła napięcie z narracją o neutralnym pośrednictwie czy szybkim zawieraniu porozumień.

Podczas gdy Waszyngton zmagał się z własnymi sprzecznościami, niektórzy europejscy przywódcy „poczuli krew" i podjęli zdecydowane działania, by kształtować sytuację na polu walki i środowisko dyplomatyczne. 7 czerwca 2026 r. liderzy E3, premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer, kanclerz Niemiec Friedrich Merz oraz prezydent Francji Emmanuel Macron, spotkali się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim w Londynie. We wspólnym oświadczeniu zadeklarowali „niezachwiane wsparcie" dla Ukrainy oraz, w kontekście dalszej presji na Rosję, podkreślili „pilną potrzebę zwiększenia produkcji pocisków przechwytujących, zdolności uderzeniowych dalekiego zasięgu oraz wspólnego rozwoju systemów przeciwrakietowych balistycznych – a także dalszego wspierania przyszłej zdolności do utrzymania gotowości bojowej Sił Zbrojnych Ukrainy".

Krótko mówiąc, Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy zasygnalizowali zamiar nasilenia uderzeń głębokich na terytorium Rosji, w tym potencjalnych celów w okolicach Moskwy i Petersburga. Starannie koordynowali przekaz przed szczytem G7, szczytem Rady Europejskiej oraz przed szczytem NATO w Ankarze (7–8 lipca), dążąc do zwiększenia zobowiązań pomocy wojskowej i wywarcia presji na Kremlu w sprawie „natychmiastowego i całkowitego zawieszenia broni", rozpoczynającego się od obecnej linii kontaktu. Brytyjczycy podkreślili postępy w pracach nad tanimi zaawansowanymi systemami uderzeniowymi dalekiego zasięgu dla Ukrainy. Systemy te pomyślnie przeszły testy i są zdolne do rażenia celów oddalonych o ponad 500 km z prędkością 600 km/h, przenosząc głowicę bojową o masie 225 kg. Pomimo formalnego ustąpienia premiera Keira Starmera nic nie wskazuje, że polityka Londynu w materii „projektu Ukraina" ma się w najbliższym czasie zmienić.

Brytyjczycy, Francuzi i Niemcy zasygnalizowali zamiar nasilenia uderzeń głębokich na terytorium Rosji, w tym potencjalnych celów w okolicach Moskwy i Petersburga

Leonid Ragozin, długoletni korespondent BBC w Moskwie i krytyk polityki Kremla, na łamach portalu The American Conservative określił te działania jako skoordynowaną ofensywę europejskich elit, mającą na celu eskalację konfliktu i utrwalenie strategii wyniszczania Rosji, nawet gdy inne globalne kryzysy (takie jak wojna z Iranem) odciągały uwagę. Celem wydawało się przekonanie Waszyngtonu, że Ukraina zachowuje inicjatywę i że trwała presja może wymusić rosyjskie ustępstwa – w tym niezmienione granice, reparacje i mechanizmy rozliczalności. Jak pisze Ragozin: „Kluczowe jest to, że każdy kolejny plan pokojowy wypada dla Ukrainy znacznie gorzej niż poprzednie. Nieustanne, nieustępliwe starania Zachodu, by poprawić stale pogarszające się warunki ewentualnego porozumienia, wyznaczyły trajektorię tego konfliktu. To po prostu wersja wojny zastępczej znana z Afganistanu, Iraku i Iranu – kolejne palenisko, w którym spalane są setki miliardów dolarów pieniędzy podatników, bez jakiegokolwiek zwrotu dla bezpieczeństwa Ameryki czy świata, a przynoszące jedynie cierpienie i zniszczenie Ukrainie".

Szczyt G7 w połowie czerwca (odbywający się w Évian we Francji) dobitnie ujawnił tę dynamikę. Według doniesień prezydent Trump był „ogromnie pod wrażeniem i entuzjastycznie nastawiony" do niedawnej kampanii ukraińskich uderzeń dalekiego zasięgu na cele głęboko na terytorium Rosji.

Ukraińskie źródła, m.in. portal Kyiv Independent, twierdziły, że ta fala ataków została prywatnie zachęcona przez samego Trumpa. Wysoki rangą ukraiński urzędnik miał powiedzieć, że Trump nakłaniał Zełenskiego do działania „bardziej odważnie", by wywrzeć presję na Rosję i skłonić ją do poważnych negocjacji, wyrażając sceptycyzm co do tego, czy Putin ustąpi bez takiego nacisku. Na szczycie Trump zgodził się na zaostrzenie sankcji wobec rosyjskiego sektora energetycznego. Zasygnalizował, że sankcje na rosyjską ropę, wcześniej złagodzone w związku z wojną w Iranie, mogą wkrótce powrócić.

Ten entuzjazm wobec ukraińskich uderzeń głębokich, umożliwianych częściowo przez zachodnie systemy i dane wywiadowcze, bezpośrednio wpisywał się w europejską agendę eskalacji. Stanowił kontrast wobec wcześniejszych nadziei, że spotkanie w Anchorage ustanowiło ramy trwałej deeskalacji.

OSTRA REAKCJA MOSKWY

Reakcja Moskwy była szybka i jednoznaczna. W ciągu kilku dni pod koniec czerwca wysocy rangą przedstawiciele Kremla publicznie ogłosili koniec jakichkolwiek porozumień z Anchorage. Doradca Putina Jurij Uszakow stwierdził, że „duch" szczytu i związane z nim

eprasa.pl 46b98675ff

porozumienia „w praktyce upadły", ponieważ „Stany Zjednoczone je porzuciły". Moskwa nie spodziewa się już, że te zobowiązania zostaną dotrzymane, i skupia się wyłącznie na realizacji swoich celów środkami wojskowymi. Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow poszedł dalej, określając spotkanie na Alasce jako amerykańską „zagrywkę" mającą na celu kupienie czasu Ukrainie na odbudowę i dozbrojenie, porównując je wprost do porozumień mińskich, które Rosja postrzegała jako zwodniczą przerwę w umacnianiu Kijowa w wojnie z separatystami na wschodzie. Wiceminister spraw zagranicznych Siergiej Riabkow zauważył, że linia Waszyngtonu zbliża się do „najbardziej zajadłych antyrosyjskich polityk" prowadzonych przez najbliższych europejskich sojuszników – Wielkiej Brytanii i Francji. Oświadczenia te oznaczały strategiczną zmianę: Rosja nie szuka już w najbliższym czasie konstruktywnych relacji z Waszyngtonem, choć formalne kontakty będą kontynuowane. Narracja o Anchorage jako dyplomatycznym przełomie została zastąpiona oskarżeniami o złą wolę. I to raczej bezpowrotnie.

Najbardziej istotne były oczywiście słowa samego Putina. 26 czerwca prezydent przemawiał do absolwentów rosyjskich akademii wojskowych w Sali św. Jerzego na Kremlu. W swoich słowach umieścił konflikt ukraiński w długim kontekście historycznym. Putin argumentował, że Zachód najpierw kreuje zagrożenie ze strony Rosji, a następnie oskarża Rosję o jego stworzenie, wzorzec według niego powtarzany co najmniej od 1941 r. Stwierdził, że kraje NATO wcześniej ograniczały się do wspierania reżimu kijowskiego, lecz obecnie otwarcie mówią o przygotowaniach do wojny przeciwko Rosji i zwiększają budżety wojskowe o charakterze ofensywnym. Szczególnie wskazał na kanclerza Niemiec Merza jako mocno aktywnego w tym względzie. Odpowiedź Rosji, jak podkreślił Putin, polega na modernizacji triady nuklearnej, armii oraz wzmocnieniu zdolności Sił Powietrzno-Kosmicznych i marynarki wojennej. Wyraźne powiązanie modernizacji nuklearnej z dyskusją o zachodnich przygotowaniach do wojny z Rosją stanowiło jednoznaczny sygnał skierowany zarówno do Waszyngtonu, jak i europejskich stolic. Dla Rosjan europejskie apele o głębsze uderzenia i trwałą presję są tylko potwierdzeniem ich najgorszych scenariuszy. Jak widać, Moskwa usłyszała te głosy i dokonuje odpowiednich korekt strategicznych.

Londyn, Paryż i Berlin ewidentnie dążą do przerzucania na Ukrainę zdolności, które przesuwają pole walki głębiej na terytorium Rosji – z cichą amerykańską aprobatą

Na samym polu walki miniony czerwiec charakteryzował się nasileniem ukraińskich ataków dalekiego zasięgu na terytorium Rosji, w tym na cele przemysłowe i logistyczne. Operacje te miały być wspomagane zaawansowanymi dronami europejskimi (m.in. niemieckimi systemami z elementami AI) oraz innymi technologiami zachodnimi. Rosja jednak odpowiedziała asymetrycznie, intensyfikując uderzenia na ukraińską infrastrukturę – linie kolejowe, składy paliw, stacje benzynowe i węzły logistyczne – zakłócając łańcuchy dostaw i nakładając kolejne koszty ekonomiczne. Rosyjskie postępy trwały w kluczowych rejonach, m.in. w okolicach Konstantynówki w obwodzie donieckim, gdzie ukraińskie jednostki w niektórych sektorach znajdowały się pod presją okrążenia oraz w kierunku miasta Sumy. Tak więc podczas gdy ukraińskie uderzenia głębokie generują nagłówki i polityczny impet na Zachodzie, rosyjskie siły utrzymują presję na ziemi, jednocześnie absorbując i kontrując ataki powietrzne.

Polityka administracji Trumpa wobec Ukrainy ujawnia (nie po raz pierwszy) wyraźne napięcia. Co skutkuje pogarszającą się opinią zwykłych Ukraińców o nim samym. Według niedawnego sondażu Gallupa aż 79 proc. mieszkańców Ukrainy nie aprobuje działań amerykańskiego kierownictwa. Obecnie jedynie 7 proc. Ukraińców ma pozytywne zdanie o polityce Białego Domu. Gallup przypomina, że jeszcze w 2022 r. poziom aprobaty dla polityki amerykańskiej wynosił 66 proc.

Prezydent w kampanii obiecywał szybkie zakończenie wojny poprzez zawieranie szybkich i trwałych porozumień. Szczyt w Anchorage przedstawiano jako krok w tym kierunku. Tymczasem zeznania Rubia w Kongresie wyraźnie odrzuciły neutralność, potwierdziły dalsze dostawy broni dla Ukrainy i sankcje wyłącznie wobec Moskwy. Londyn, Paryż i Berlin zaś ewidentnie dążą do przerzucania na Ukrainę zdolności, które przesuwają pole walki głębiej na terytorium Rosji – z cichą amerykańską aprobatą.

Ryzyko jest oczywiste dla każdego racjonalnego obserwatora, czyli pętla sprzężenia zwrotnego: zachodnie wsparcie dla ukraińskich uderzeń prowokuje rosyjskie kontrdziałania i coraz częstsze naciski różnego rodzaju analityków i publicystów w Rosji, aby nie zawahać się użycia broni konwencjonalnej, a nawet jednorazowego uderzenia nuklearnego na cele zachodnie z zamiarem jednoznacznego odstraszenia (niedawne wypowiedzi geopolitycznego jastrzębia Siergieja Karaganowa postulujące dokładnie takie „atomowe rozwiązanie" odbiły się szerokim echem w świecie), co z kolei uzasadnia dalsze zachodnie zaangażowanie wojskowe.

PODSYCANY OGIEŃ

Czy jest to celowa strategia, wykorzystanie presji do wymuszenia lepszych warunków negocjacyjnych czy też dryf polityczny wśród konkurujących priorytetów i kryzysu zachodnich elit politycznych, pozostaje niejasne.

Gdy wojna wkracza w swój piąty, krwawy rok, jawi się tragiczna prawda: między wielkimi deklaracjami administracji Trumpa o szybkim pokoju a jej rzeczywistymi działaniami, które podtrzymują – a nierzadko podsycają – ogień konfliktu, rozciąga się coraz głębsza przepaść. Nadchodzące miesiące, ze szczytem NATO w Ankarze na czele, staną się momentem prawdy. Rozstrzygną, czy te wewnętrzne sprzeczności uda się wreszcie okiełznać czy też na zawsze utrwalą niebezpieczny, pełen napięcia impas, którego konsekwencje mogą wstrząsnąć całym światem. Parafrazując słowa Condoleezzy Rice: oby ani europejskie elity, ani sam Donald Trump nigdy nie musieli patrzeć, jak rosyjski „dymiący pistolet" zamienia się w piekielną chmurę grzyba atomowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Krystian Kratiuk

Pożegnanie reportera metafizycznego



FOT. LEONARDO CENDAMO/GETTY IMAGES

W połowie kwietnia, w wieku 85 lat, zmarł Vittorio Messori. Mimo upływu wielu tygodni włoskie media nie przestają go wspominać. Intelektualista ten po swoim nawróceniu uznał, że aktem największej miłości wobec bliźnich będzie obrona wiary i Kościoła przed środowiskami... z których się wywodził

Pochodził z domu mieszczańskiego, antyklerykalnego, mocno niechętnego religii. Odebrał wychowanie w – jak sam to nazywał – „ateistycznym i robotniczym duchu prowincji Emilia-Romania", w domu, w którym „na Kościół i księży patrzono bardzo nieufnie, a gdy pojawiali się w rozmowach, to raczej po to, by mówić o nich źle". Zapatrywania te spotęgowały się w nim na początku podjętych w Turynie studiów z zakresu nauk politycznych. Na uniwersytecie kształcącym w duchu klasycznym, a więc uznającym za konieczność poznania wielu źródeł, czytał jednak również Ewangelie. To wtedy właśnie, jak wspominał, nawrócił się „przez nieprzewidzianą i nieodpartą siłę" głoszącą mu coś w rodzaju „konieczności otwarcia serca na prawdę".

Zaskoczony tym faktem rozpoczął poszukiwanie „racji rozumu" dla tego, co najpierw rozpoznało serce. Pod wpływem lektury Blaise'a Pascala zaczął badać racjonalne podstawy wiary, a owocem tej drogi stała się wydana 10 lat po zakończeniu studiów książka „Ipotesi su Gesù", znana w Polsce pt. „Opinie o Jezusie". To właśnie ona otworzyła Messoriemu karierę pisarską i rozpoczęła jego apologetyczną sławę.

A JEŚLI TO WSZYSTKO PRAWDA?

To nie była klasyczna książka teologiczna, nie był to traktat biblisty czy medytacja duchowa. Messori zaproponował coś, co można nazwać reportażem apologetycznym, rodzajem intelektualnego śledztwa, dzięki któremu młody, poszukujący autor chciał odpowiedzieć na pytania: A jeśli Kościół wcale nie kłamie? Jeśli Jezus żył naprawdę, naprawdę umarł, zmartwychwstał i króluje w Niebie? Wiedział, że wielu ludzi, szczególnie tych czytających książki, nie wierzy księżom, nie ufa Kościołowi, uznaje całą tę chrześcijańską historię za wyssaną z palca bajkę dla naiwnych. Wiedział

eprasa.pl 46b98675ff

to dobrze, gdyż sam długo tak uważał, uważali tak jego rodzina i przyjaciele. Wiedział, jak głęboko to przekonanie zakorzenione jest w ludziach spoza Kościoła i być może dlatego lepiej niż ktoś, kto wychował się w katolickim domu, zdawał sobie sprawę, że takie wątpliwości należy potraktować poważnie.

Rozumiał zatem, że zanim zacznie się mówić o wierze, trzeba uczciwie potraktować… niewiarę. Nie wyśmiewać czy lekceważyć, ale dopuścić jej argumenty do głosu. Tak właśnie skonstruowane są „Opinie o Jezusie". Messori kreuje się niemal na reportera śledczego, który mówi: oto sprawa Jezusa z Nazaretu; oto możliwe hipotezy i formułowane zarzuty; postawmy zatem właściwe pytania i wspólnie sprawdźmy, która wizja rzeczywistości wytrzymuje konfrontację ze źródłami oraz ze zdrowym rozsądkiem. Omawia więc źródła, analizuje zarzuty, pyta o wiarygodność Ewangelii i dochodzi do wniosku, że postaci Jezusa nie da się zredukować do mitu, literackiej konstrukcji czy religijnej projekcji.

Messori pytał zatem, czy rzeczywiście można utrzymywać, że pobożni Żydzi, zakorzenieni w radykalnym monoteizmie, stopniowo ubóstwili zwykłego człowieka. Wielokrotnie i dobitnie podkreśla, że to nie byłaby li tylko drobna trudność psychologiczna, ale że dla Żyda z pierwszego wieku oddanie boskiej czci człowiekowi było czymś absolutnie skandalicznym. Jeśli więc w samym sercu najstarszej tradycji chrześcijańskiej pojawia się wiara w Boskość Chrystusa, to trzeba wyjaśnić, skąd się wzięła. I nie wystarczy powiedzieć, że „z czasem narosła legenda", ale trzeba pokazać mechanizm, tempo, środowisko, motywację i historyczne prawdopodobieństwo tego procesu. I to czyni krok po kroku.

Ale każdy dobry śledczy stawia i tezę odwrotną – skoro więc niektórzy zakładają, że Jezus jest mitem, to dlaczego jego postać tak szybko przeniknęła do konkretnych miejsc, osób, dlaczego tak silnie zakorzeniła się w wydarzeniach, nazwach, tytułach, strukturze życia części narodu żydowskiego, a potem społeczeństwa rzymskiego? I wreszcie – jeśli ktoś chciałby stworzyć tak potężny mit, to dlaczego Ewangelie zawierają elementy niewygodne, nieupiększone, czasem wręcz kłopotliwe dla pierwszych chrześcijan? Wszak Ewangelie czasem opisują rzeczy, które z cynicznego, propagandowego punktu widzenia lepiej byłoby przemilczeć, a jednocześnie nie odpowiadają na wiele pytań, które bardzo interesowałyby późniejszych wierzących, nieprawdaż?

Messori w swej pierwszej książce – co przeniósł potem do innych swych dzieł z gatunku, który możemy nazwać „reportażem metafizycznym" – lubi pytać, dlaczego tekst religijny, jeśli byłby czystą konstrukcją wspólnoty, zawiera tyle elementów trudnych do wykorzystania propagandowego. Ucieczka uczniów, niezrozumienie Jezusa przez najbliższych, hańba krzyża, skrajnie niewiarygodne dla żydów kobiety jako pierwsi świadkowie pustego grobu – to wszystko rzeczywiście nie wygląda jak umyślnie ułożona legenda.

Mimo tego pierwszy wydawca Messoriego był ostrożny – wydał książkę w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy. Natychmiast okazała się jednak wielkim przebojem, w samych Włoszech sprzedała się ostatecznie w ponad milionie egzemplarzy i została przetłumaczona na co najmniej 22 języki.

CHRYSTUS I CO DALEJ?

Sukces tak snutych narracji skłonił autora do popełnienia kolejnych książek napisanych tą metodą. Dzięki temu powstały m.in. znane w Polsce „Opinie o Maryi" oraz „Tajemnica Lourdes. Czy Bernadeta nas oszukała?".

Messori znów stawiał pytania – tym razem takie, które od stuleci stawiają protestanci, a od dziesięcioleci również postępowi katoliccy autorzy, a nierzadko nawet hierarchowie: Czy katolicy aby nie przesadzają z tą Maryją? Czy jej wyróżnianie nie idzie zbyt daleko? Czy pobożność ludowa nie oddaliła się niebezpiecznie od teologii? Ale również czy w samej teologii możliwe są takie rzeczy, jak niepokalane poczęcie lub wieczne dziewictwo Maryi?

Autor rozprawia się z tymi wątpliwościami, przy okazji podkreślając, że jeśli zapomnimy o tym „ludzkim korzeniu" Chrystusa, którym jest Maryja, to przesłanie Jezusa degraduje się do niematerialnej duchowości, moralizmu albo ideologii. Messori nie tyle zauważa, ile prowadzi czytelnika do wniosku, że prawdy o Maryi służą wierze w Chrystusa i zabezpieczają jej solidność. Mariologia nie jest zatem „hobby dla sentymentalnych", lecz właśnie ochroną chrystologii i chrystocentryzmu.

Podobnie jest z książką „Tajemnica Lourdes. Czy Bernadeta nas oszukała?" – autor uczciwie opisuje zarzuty niewierzących, ale nie przyjmuje „metafizyki niewiary". Jest gotów badać, czy francuskie objawienia zostały dobrze udokumentowane; czy ich świadek jest wiarygodny; czy rzeczywiście można w jednym czy drugim przypadku mówić o cudzie uzdrowienia; ale jednocześnie nie zgadza się na założenie, że cud jest niemożliwy, jeszcze zanim zacznie się jego śledztwo.

A przy tym podróż z autorem przez historię tamtych objawień jest po prostu dla czytelnika niezwykle wręcz porywająca z literackiego punktu widzenia: sami zaczynamy wątpić, czy widząca w Lourdes Bernadeta nie była zmanipulowana, czy może chodziło o zmowę duchowieństwa, czy może widzenia były halucynacją albo wymysłem biednej dziewczyny, by na końcu zgodzić się z autorem, że chyba nie mamy na udowodnienie tych tez żadnych dowodów.

Mnie osobiście zapadło w pamięć jeszcze jedno z przesłań tej książki: już na początku śledztwa autor założył, że gdyby – czysto hipotetycznie – okazało się, że Bernadeta nas oszukała, wiara katolicka nie byłaby zagrożona, bo opiera się na ukazaniach Chrystusa zmartwychwstałego, nie na objawieniach prywatnych. Ale jeśli okaże się, że objawienia są prawdziwe, to czytelnik niewierzący musiałby uznać prawdziwość Lourdes, a zatem i całej Ewangelii.

W OBRONIE CYWILIZACJI

Ale przecież pół wieku pisarstwa Vittoria Messoriego to nie tylko reportaże metafizyczne, a nawet nie wyłącznie apologia – choć wielokrotnie pisał i w innych miejscach o Chrystusie oraz licznych jego świętych. Pół wieku pisarstwa włoskiego autora to także wytężona, skrupulatna i bardzo systematyczna, publikowana najpierw w prasie, a potem w tomach książkowych praca na rzecz obrony Kościoła i cywilizacji chrześcijańskiej.

W wielu swych dziełach, choćby w wydanych po polsku „Czarnych kar-

eprasa.pl 46b98675ff

tach Kościoła" czy tomie „Kościół katolicki i jego wrogowie", uczył czytelników elementarnej sprawiedliwości intelektualnej: zanim przyjmie się akt oskarżenia przeciw katolicyzmowi, trzeba zapytać o źródła, kontekst, proporcje i interesy oskarżycieli. Odrzucał modę na „meaculpizm", a więc na kształtowanie wśród katolików poczucia winy wobec własnej przeszłości. Według Messoriego katolickie kompleksy były w ogromnej mierze skutkiem wielowiekowej propagandy antychrześcijańskiej, która przeniknęła do podręczników szkolnych, obiegowych opinii, mediów i powszechnej wyobraźni. Demistyfikował zatem owe „czarne legendy" dotyczące inkwizycji, Galileusza, rzekomego związku Kościoła z nazizmem, a także mit rewolucji francuskiej, antyklerykalnej wizji postępu czy nowoczesnych ideologii.

Przypominał, że nowoczesny Zachód bardzo chętnie rozlicza Kościół, ale znacznie mniej chętnie rozlicza własne świeckie religie: rewolucję, nacjonalizmy, komunizm, rasizm, eugenikę, terror ideologiczny, laicki kolonializm, technokratyczne eksperymenty na człowieku. Tam, gdzie mówi się o „ciemnym średniowieczu", często przemilcza się nieporównywalnie ciemniejsze mroki nowoczesności.

Z KARDYNAŁEM I Z PAPIEŻEM

Nic dziwnego, że taka postać zaczęła się w końcu cieszyć dużym zaufaniem również na Watykanie. To właśnie z wdzięczności za apologetykę Messoriego, za jego uczciwość intelektualną oraz za wyjątkowo otwarte podejście do wątpliwości wyrażanych wobec wiary przez wielu współczesnych cenił go kard. Joseph Ratzinger. Gdy późniejszy papież Benedykt XVI był jeszcze prefektem Kongregacji Nauki Wiary, zgodził się na przełomową wręcz propozycję Messoriego – a więc na wspólne wydanie książki w formie obszernego wywiadu – „Raport o stanie wiary" w roku 1985.

Dziennikarz pytał Ratzingera o wszystko, co w Kościele po Soborze Watykańskim II bolało najbardziej: czy sobór został dobrze odczytany czy raczej przechwycony przez „ducha soboru"; czym jest prawdziwa odnowa, a czym zerwanie z Tradycją; jaka jest rola biskupów, konferencji episkopatów i papiestwa; co dzieje się z kapłaństwem, liturgią, moralnością, teologią wyzwolenia, ekumenizmem, mariologią, eschatologią i misyjnością; o kryzys wiary po soborze, o granice reformy, o liturgię jako serce Kościoła, o Maryję, o teologię wyzwolenia skażoną marksizmem oraz o to, czy chrześcijaństwo ma jeszcze odwagę głosić Jezusa jako jedynego Zbawiciela. W tym sensie Messori był nie tylko stenografem kardynała, lecz także dociekliwym reporterem, najwyraźniej również borykającym się z efektami posoborowego zamieszania.

„Raport" to jedna z najsłynniejszych katolickich książek XX w. Dość powiedzieć, że reakcje środowisk progresywnych na tę publikację były tak gwałtowne, iż Messori na kilka miesięcy opuścił Mediolan i ukrywał swój tymczasowy adres.

Kilka lat później, w 15. rocznicę rozpoczęcia pontyfikatu, książkowego wywiadu udzielił Messoriemu również sam papież, Jan Paweł II. Włoski autor zadał pytania na piśmie. Nie obawiał się zapytać Ojca Świętego o centrum wiary: czy Bóg naprawdę istnieje, dlaczego się ukrywa, czy wiara w Jezusa jako Boga nie jest zbyt wielką pretensją wobec rozumu, dlaczego istnieje tak wiele religii, czy tylko Rzym ma rację, czy istnieje życie wieczne i po co właściwie wierzyć.

Po tej publikacji stał się oczywiście autorem szeroko rozpoznawalnym również w Polsce.

ROZCZAROWANIE I NADZIEJA

Pod koniec życia Messoriego spotkała przykra niespodzianka – tak bowiem zdawał się odczytywać pontyfikat papieża Franciszka. Nie był to jednak przecież buntownik ani publicysta szukający skandalu, o współczesnym Kościele pisał raczej z bólem człowieka, który ma w sobie odruch posłuszeństwa wobec następcy Piotra, ale nie potrafi przemilczeć niepokojów. W artykule z 2014 r. pisał o „zwrocie" papieża Franciszka, dając wyraz swemu zakłopotaniu: raz bowiem widywał papieża mówiącego w bardzo tradycyjny sposób o diable, pokusach i moralności, innym razem papieża gestów medialnych, których sens był przejmowany przez świeckie media jako zapowiedź rozmiękczenia doktryny. Messori obawiał się chaosu interpretacyjnego, który rzeczywiście narastał przez kolejne kilkanaście lat tamtego pontyfikatu.

Wyrażał również obawę, że Kościół staje się czymś na kształt „filii ONZ". Podkreślał, że nie ma nic przeciwko, by Kościół mówił o ubogich, pokoju, wojnie, migracji, sprawiedliwości czy ekologii. Ale przestrzegał, że jeśli te tematy zaczynają dominować tak bardzo, jak to się stało w ostatnich latach, kiedy wypierają z centrum głoszenia Chrystusa, wówczas Kościół staje się jedną z wielu instytucji moralno-humanitarnych, może i szlachetną, ale przecież nie niezastąpioną.

Włoski publicysta obawiał się, że Kościół staje się czymś na kształt „filii ONZ"

Głęboko ubolewał również, że współczesny Kościół coraz rzadziej mówi o rzeczach ostatecznych. Im był starszy, tym częściej podkreślał, że „życie wieczne jest właściwie jedynym tematem", że chrześcijaństwo nie jest przede wszystkim programem naprawy świata, lecz odpowiedzią na śmierć, grzech i pragnienie zbawienia. Jeśli Kościół przestaje mówić o życiu wiecznym, to kto ma o nim mówić? – pytał. Jeśli język Kościoła wypełniają głównie tematy społeczne, klimatyczne, polityczne i dialogiczne, to człowiek zostaje pozbawiony tego, co najważniejsze: perspektywy wieczności.

W jednym z ostatnich wywiadów wyraził nadzieję, że śmierć nie przyjdzie na niego nagle, ale w momencie, gdy będzie mógł zaznać „pociechy sakramentów". Wyznał, że pragnąłby, aby na jego grobie wyryć słowa św. Pawła: „Scio cui credidi" – „Wiem, komu uwierzyłem".

Zmarł w Wielki Piątek, gdy cały świat chrześcijański klękał pod krzyżem Chrystusa, którego głoszeniu i obronie Vittorio Messori poświęcił niemal całe swe życie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym pch24.pl.

eprasa.pl 46b98675ff



Wyświęcenie biskupów FSSPX, Écône, 1 lipca 2026 r.
FOT. FSSPX.NEWS/FR

Co zobaczyłem w Écône



Wojciech Golonka z Écône

Codzienna praxis „lefebrystów" na dłuższą metę doprowadzi Watykan do kroków ugodowych. Dokona się to nie tyle przemocą faktów dokonanych, ile naturalną mocą wypróbowanych owoców, po których poznaje się drzewo, które je rodzi – i nadal rodzić będzie

Już wiadomo, jakie kroki Watykan podjął względem Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X (FSSPX) w związku z konsekracjami biskupimi dokonanymi 1 lipca br. bez zgody papieża. Wariant atomowy obrany przez Rzym paradoksalnie jest najgorszy dla samego Rzymu, a nie Bractwa. Poddane już najsilniejszemu ostracyzmowi w 1988 r. w postaci stwierdzenia zaciągnięcia ekskomuniki przez abp. Marcela Lefebvre'a i wyświęconych przez niego biskupów Bractwo zdołało przetrwać ten najtrudniejszy dlań okres, narzucając, przez swój dalszy rozwój w Kościele – a nie poza Kościołem, bo na tym polegał paradoks – temat uregulowania swego statusu kanonicznego. To wprawdzie nie doszło do skutku z różnych powodów, jednakże oficjalne wizytacje Bractwa ze strony przedstawicieli Watykanu w osobie biskupów Vitusa Huondera i Athanasiusa Schneidera skutkowały, mimo trwającego stanu rzeczy, stwierdzeniem przez nich katolickości Bractwa oraz apelami o rehabilitację abp. Lefebvre'a w związku z jego niesłusznym, jak wskazywali, potępieniem w 1988 r.

Innymi słowy, choć w ogóle nie było to przez FSSPX pożądane, Bractwo zasadniczo było gotowe – jak i przygotowało na to wiernych – na opcję atomową ze strony Watykanu w postaci deklaracji najcięższych kar kościelnych, gdyż wie, na podstawie dotychczasowych doświadczeń, że wyjdzie z tej próby co najwyżej spowolnione w swym rozwoju, jednakże nie rozbite czy zatopione. Dla Watykanu jednak opcja stwierdzenia zaciągnięcia automatycznej ekskomuniki, a tym bardziej automatycznego ekskomunikowania całego Bractwa z wiernymi przez udział w rzekomej schizmie jest wizerunkowo obciążająca, a po części także niewiarygodna. Postronny obserwator nie bardzo bowiem ma rozumieć, dlaczego ci desygnowani „schizmatycy" czynią rzeczy Bogu obrzydłe i mają być stygmatyzowani, podczas gdy autentyczni schizmatycy nieuznający z zasady prymatu Piotrowego, jak arcybiskupka Canterbury Sarah Mullally czy prawosławne odłamy, mogą liczyć na przyjaźń, życzliwość i zawsze otwarte drzwi Leona w Watykanie, bez jakichkolwiek strofowań. Dodatkowo zachodzi fakt, że wobec nielegalnych święceń biskupich w Chinach, gdzie elekci są wyznaczani poniekąd przez partię komunistyczną na ordynariuszy konkretnych diecezji, Watykan okazywał się zupełnie elastyczny i te święcenia biskupie bez zgody papieża w Chinach post factum zatwierdzał.

OCZYWISTE DYSONANSE PAPIEŻA

Innymi słowy, ogłoszona ekskomunika zbyt kontrastuje z codziennymi praktykami Stolicy Apostolskiej, której przedstawiciel stojący na czele Kongregacji nauki wiary, kard. Victor Manuel Fernández, jeszcze nie tak dawno temu porównywał zresztą surowość Świętego Oficjum… do działań gestapo. Ponadto w ostatnich miesiącach i tygodniach głównym argumentem Watykanu wysuwanym przeciw zamiarowi wyświęcenia biskupów przez Bractwo było, obok przestrogi przed schizmą, głoszenie, że taki akt zaciągnie automatycznie ekskomunikę. Innymi słowy, kuria rzymska z góry narzuciła sobie modus operandi, którego zastosowanie po 1 lipca dokonano w trybie „automatycznym".

Przy czym na podstawie wypowiedzi kard. Fernándeza 1 lipca br. można przypuszczać, że Watykan nie traktuje nałożonych kar jako ostatnie słowo w tym ponadpółwiecznym sporze, zakładając pod „wpływem Ducha Świętego" powrót do docelowego dialogu i jakiejś ugody. Czy tak będzie, oczywiście dziś nie wiadomo, ale taki mógłby być paradoksalnie „konsensus" wymiany listów otwartych między papieżem a przełożonym generalnym Bractwa dosłownie w ostatniej chwili przed święceniami. Z „ojcowskim sercem" Leon XIV 29 czerwca wystosował bowiem wezwanie do ks. Pagliaraniego, by zaniechano bardzo ważnego przewinienia w postaci rozdzierania tuniki Chrystusowej. Mimo swej wcześniejszej cierpkiej

eprasa.pl 46b98675ff

krytyki, wypowiedzianej do dziennikarzy w Castel Gandolfo, tym razem papież jednak podkreślił uznanie dla pewnych aspektów dotychczasowej działalności Bractwa, wskazując, że posunięcie z 1 lipca może spowodować nieważność części sakramentów, na których tak przecież zależy wiernym Bractwa, sugerując tym samym wycofanie przyznanej bezpośrednio przez Franciszka kapłanom FSSPX zwyczajnej jurysdykcji do spowiadania (ewenement w historii Kościoła!) i anulowania opracowanego trybu (niekoniecznie wdrażanego przez biskupów diecezjalnych) w kwestii delegowania kapłanom Bractwa delegacji do asystowania wiernym przy zawieraniu sakramentu małżeństwa.

Ten list na ostatniej prostej do ceremonii święceń – która wymagała wielomiesięcznych przygotowań do tych niezwykle złożonych obrzędów z udziałem przeszło 20 tys. uczestników z całego świata – mógł w teorii wywołać pewien popłoch, a z pewnością dał silny wiatr w żagle medialnej krytyce Bractwa, przybierającej w mediach społecznościowych formę nagonki. Niemniej od razu można było wyczuć dysonans między deklarowanym „ojcowskim sercem" a brutalnym faktem, że z wiadomych jedynie sobie powodów Leon XIV od prawie roku uporczywie odmawiał ks. Pagliaraniemu audiencji, o którą z kolei ten prosił „po synowsku", choć w tym czasie papież znalazł czas na podjęcie w Watykanie najróżniejszych osobistości, w tym pani pielęgniarki wyznania anglikańskiego o proaborcyjnych poglądach, paradującej po Rzymie w szatach arcybiskupich i udzielającej „błogosławieństwa" członkom świty papieskiej przy konfesji św. Piotra. Dodatkowym paradoksem było to, że w tym samym dniu – 29 czerwca – w ramach obchodów święta śś. Piotra i Pawła Leon serdecznie podejmował delegację schizmatyków wschodnich, nazywając ich konstantynopolskiego zwierzchnika „najdroższym bratem", w ogóle w niczym nie upominając, a tym bardziej nie strofując w kwestii ważności niektórych sakramentów, rezerwując tę duszpasterską troskę jedynie dla „lefebrystów".

Ksiądz Pagliarani nie wykorzystał jednak tych oczywistych dysonansów świetnie nadających się do czysto ludzkiej polemiki, natomiast odpowiedział błyskawicznie w dość nieoczekiwany sposób. Po pierwsze, podziękował za ojcowską troskę, wskazując, że on w takim razie nadal chce się spotkać z Leonem jako syn. Po drugie – i to było chyba dla Watykanu trudne do przewidzenia mistrzowskie posunięcie – wskazał, że jeżeli dziś Leon i on rozmawiają jak ojciec z synem o ich trudnej relacji, to znaczy, że w 1988 r. nie doszło do żadnego skonsumowania schizmy, co siłą rzeczy udowadnia, iż i tym razem do tego nie dojdzie, ponieważ sytuacje z lat 2026 i 1988 są analogiczne i zbieżne. Po trzecie – to też brzmiało paradoksalnie, ale trafnie – wskazał, że celem Bractwa jest zszywanie tuniki Chrystusowej, którą rozdzierają akurat najróżniejsze panoszące się w Kościele błędy i trendy. W końcu, choć zrobił to zupełnie uprzejmie i bez prowokacji, dał Leonowi do zrozumienia: jeśli traktujesz nas naprawdę jak ojciec, to upewnij się najpierw, proszę, co do naszych autentycznych intencji, daj sobie na to właściwy czas i rozważ, proszę, konsekwencje tego, co zrobisz, tym bardziej że wszyscy rozmówcy posyłani dotychczas przez twych poprzedników wracali do Rzymu przekonani o naszej niewinności.

W rzeczy samej Leon, przejmując osobiście tę sprawę na ostatniej prostej z pozycji ojca, naraził w tym momencie swą reputację posunięciami, które świat niekoniecznie odbierze jako rzeczywiście „ojcowskie". Mnie w każdym razie trudno uznać za przejaw ojcowskiej troski np. skasowanie w pośpiechu z dnia na dzień jurysdykcji zwyczajnej udzielonej kapłanom Bractwa do spowiedzi (co sugeruje nota objaśniająca kard. Fernándeza z 2 lipca), których dziś już jest ponad 700, a ich penitentów kilkaset tysięcy na świecie. Jaki obraz powstanie z tego w oczach ludzi, którzy dostrzegają niezwykłą elastyczność Watykanu wobec najróżniejszych religii akatolickich czy tolerancję dla np. dewiacji moralnych? Ten czas, który ks. Pagliarani sugerował Leonowi, zwlekanie, mógł się akurat okazać jego największym sprzymierzeńcem w sprawie, gdy tymczasem faktyczny wyrok śmierci Bractwa św. Piusa X na łonie Kościoła katolickiego pozostanie dla Watykanu wizerunkowo obciążający.

ORGANICZNY OWOC KATOLICKIEJ SPOŁECZNOŚCI

Nie zmienia to faktu, że rzeczywistość w Écône 1 lipca, którą widziałem na własne oczy, nie miała nic wspólnego z napięciem czy wynoszącym się triumfalizmem, jak to określali niektórzy, myląc go być może z doniosłością jedynej w swoim rodzaju choreografii pontyfikalnych tradycyjnych obrzędów. Byłem, na odwrót, zbudowany naprawdę odczuwalną naturalną, a nie wyszukaną prostotą nowych biskupów, ogólną panującą w tym dniu pogodą ducha (niezachwianą chwilową nawałnicą!), która po zakończeniu ceremonii dała upust erupcji szczerej radości, jednak bez egzaltacji. Widziałem tam przekrój Kościoła przez najróżniejsze kraje świata i stany ludzkie, z liczną obecnością rodzin z dziećmi, z dobrą setką młodych wolontariuszy czuwających nad sprawną regulacją wszystkiego – młodych, których po kościołach w Szwajcarii skądinąd próżno szukać. Zobaczyłem przede wszystkim środowisko, którego żywotność nie jest anomalią, a organicznym owocem właściwym dla autentycznie katolickich społeczności. Sądzę, że ta żywotność i doświadczana życzliwość o wiele bardziej od spekulatywnych argumentów musiały przemawiać do oddelegowanych przez Watykan wizytatorów, z których jeden, dziś już zmarły, bp Vitus Huonder, zamiast zostać pochowany w katedrze w Chur, spoczął na własne życzenie w Écône, aby pośmiertnie jeszcze mocniej dać świadectwo o biskupie, który jego zdaniem najwięcej wycierpiał dla Kościoła w XX w. Cóż za szczodra przezorność, zważywszy na zastosowaną przez Rzym właśnie opcję atomową!

W natłoku krzykliwych nagłówków, przeinaczeń i nawet wyrażanych w mediach społecznościowych inwektyw do Polski wrócę nie tyle z mieszanymi uczuciami, ile święcie przekonany, że codzienna praxis Bractwa na dłuższą metę siłą rzeczy doprowadzi Watykan do kroków ugodowych, nie tyle przemocą faktów dokonanych, ile naturalną mocą wypróbowanych owoców, po których poznaje się drzewo, które je rodzi – i nadal rodzić będzie.

Przedłużywszy sobie w osobie czterech nowych biskupów nadzwyczajną autonomię funkcjonowania w dzisiejszej epoce oczywistego kryzysu wiary w samym Kościele, Bractwo na tę „dłuższą metę" ma akurat czas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



„Nocna mara", Johann Füsslie, ok. 1955 r.
FOT. DETROIT INSTITUTE OF ARTS/WIKIMEDIA COMMONS

Upiór ma wielkie oczy

Łukasz Czarnecki

Strach jest jedną z najpierwotniejszych emocji towarzyszących człowiekowi, od chwili gdy nasi przodkowe zeszli z drzewa. Gdy cywilizacja ujarzmiła w dużym stopniu naturę, a pożarcie przez lwa jaskiniowego przestało być smutnym elementem codzienności, ludzka wyobraźnia zapełniła opuszczoną przez autentyczne bestie niszę, tworząc wiele fantastycznych stworów, które przez całe pokolenia budziły niemniejszą trwogę. Upiory zaliczały się do najstraszliwszych

We współczesnej Polsce czające się za miedzą potwory funkcjonują już wyłącznie na kartach powieści fantastycznych i w grach o wiedźminie. Nawet w najbardziej zapadłej wsi nie znajdziemy nikogo, kto wierzyłby w zmory, utopce, upiory i resztę towarzystwa, które jeszcze względnie niedawno, bo aż do połowy zeszłego stulecia, spędzało sen z powiek znacznej części mieszkającej nad Wisłą populacji. Powszechna edukacja i nowoczesne media skutecznie wygnały z polskiej prowincji biesy, czarty i mamuny o wiele skuteczniej niż stosowane przez wieki przeciwko nim zabobonne praktyki magiczne i quasireligijne. Jeszcze za czasów ustroju słusznie minionego etnografowie znajdowali po wsiach staruszków głęboko wierzących w realność zrodzonego w ludowej wyobraźni nadzwyczaj bogatego świata nadprzyrodzonego. Już wtedy badacze odnotowywali, że tego typu żywe źródła wiedzy na temat polskiej demonologii były coraz rzadziej spotykane. W XXI w. nawet najsędziwsza starowinka nie daje wiary dawnym bajaniom, które zresztą poszły zupełnie w zapomnienie, gdy zwyczaj snucia wieczornych opowieści został wyparty przez nowoczesne formy rozrywki.

MIĘDZY TRADYCJĄ A REWOLUCJĄ PRZEMYSŁOWĄ

Szczególnie XIX stulecie cechował wzrost zainteresowania ludowością, który wygnał wielu domorosłych ludoznawców w teren. Wędrując od wsi do wsi, spisywali opowieści, wierzenia i przesądy. Wampir pogrzebany w tym, że zasłyszane relacje bardzo często ubarwiali, tak by lepiej pasowały do panującego wśród elit romantycznego wyobrażenia ludu, lub – kierując się źle pojętym patriotyzmem – uszlachetnić polską tradycję i uczynić ją odpowiednio „godną" sprawy narodowej. Wreszcie należy pamiętać, że w okresie zaborów, z którego posiadamy najwięcej materiału, wierzenia chłopskie ulegały ewolucji wskutek zmian zachodzących w otaczającym wieś świecie.

Wiek XIX pod względem skali przeobrażenia rzeczywistości i szybkości

eprasa.pl 46b98675ff

zmian porównać możemy chyba tylko z ostatnimi dwiema dekadami naszej epoki. Niezwykłe wynalazki, w oczach wieśniaków ocierające się o magię, lub choćby tylko wieści o nich docierały na prowincję, przemeblowując wyobraźnię ludności. Dawne wierzenia mieszały się z nowymi realiami, dostosowując do nich, czego przykładem mogą być krążące wśród pochodzących ze wsi łódzkich robotników opowieści o złych fabrykantach, którzy sprzedali duszę diabłu i po śmierci pokutowali, strasząc jako upiory lub widma. Z kolei południce, groźne demony dybiące na pracujących w polu żniwiarzy, wraz z rozpowszechnieniem się w drugiej połowie XIX stulecia na ziemiach polskich upraw łubinu zaczęły chętnie osiedlać się w jego zagonach. Do tego za pośrednictwem dworu, wiejskiej szkoły czy ambony kościelnej do uszu chłopa dochodziły echa spraw zajmujących ówczesne elity, niejednokrotnie przekraczające jego rozum, co dawać mogło dość zaskakujące efekty – m.in. w tym okresie wpleciono w demonologię ludową niejakich farmazonów, groźnych, a bogatych czarowników i sojuszników diabelskich, pod którą to nazwą krył się nie kto inny jak… masoneria. Z kolei za pośrednictwem tandetnych druków tzw. literatury jarmarczno-odpustowej wieśniak zapoznawał się z wątkami nadprzyrodzonymi zaczerpniętymi wprost z modnej aktualnie literatury, w efekcie czego do tradycji ludowej potrafiły przeniknąć elementy choćby z poezji Mickiewicza. Skądinąd sam wieszcz został po sprowadzeniu jego prochów do Krakowa uznany przez chłopstwo galicyjskie za groźnego czarownika płanetnika, który miał ściągnąć nad Małopolskę obfite deszcze skutkujące licznymi podtopieniami. Co ciekawe, gdy prof. Bogdan Baranowski (1915–1993) prowadził badania terenowe na temat wiary w upiory, jeden z jego chłopskich informatorów z absolutnym przekonaniem dowodził słuszności swych poglądów w tej materii, powołując się na autorytet Adama Mickiewicza, rzekomo wielkiego znawcy zagadnienia!

UPIÓR A SPRAWA POLSKA

Z racji, że bogactwo polskiej demonologii ludowej dostarcza materiału na wielotomowe opracowania, w poniższym artykule ograniczyć chciałbym się do emblematycznego jej przedstawiciela, czyli upiora. Nieumarły, zwany także strzygoniem, wypiórem, wąpierzem i wieloma innymi przydomkami, jest chyba najbardziej kosmopolitycznym ze wszystkich widziadeł, które budziły lęk w naszych przodkach. I nie tylko w nich, bo owa mrożąca krew w żyłach postać znana była na całej Słowiańszczyźnie, a w XVIII w., wraz z ekspansją Habsburgów na Bałkanach, przeniknęła też do zachodniej Europy, dając początek tak doskonale znanemu dziś z popkultury wampirowi. Można zaryzykować nawet stwierdzenie, że mit wampira stanowi największy wkład ludów słowiańskich w kulturowe dziedzictwo ludzkości.

Upiór niezbyt przypominał jednak eleganckiego hrabiego Draculę, uwodzącego na kinowym ekranie niewinne wiktoriańskie dziewice

Upiór niezbyt przypominał jednak eleganckiego hrabiego Draculę, uwodzącego na kinowym ekranie niewinne wiktoriańskie dziewice. Wręcz przeciwnie – praprzodek arystokraty krwiopijcy był zazwyczaj dość gburowatym wieśniakiem, o charakterze tak nieznośnym, że nawet po śmierci nie chciał spokojnie leżeć w trumnie. Co ciekawe, wiara w upiory była na terenach dawnej Rzeczypospolitej tak rozpowszechniona, że przedrozbiorowe autorytety teologiczne łamały głowy nad pogodzeniem jej z religią katolicką! Ksiądz Benedykt Chmielowski, autor „Nowych Aten", czyli staropolskiej encyklopedii będącej ponurym pomnikiem ciemnoty i zabobonu czasów saskich, dowodził w pseudouczonych wywodach, że nieumarli wychodzący z grobów w swej istocie byli martwymi ciałami animowanymi diabelską mocą przez czarownice.

Ziemie dzisiejszej Ukrainy postrzegane były niczym mityczna Transylwania ze starych horrorów, gdzie co drugi nieboszczyk opuszczał nocami cmentarz i rozrabiał. Nawet zmarły w 1757 r. biskup kamieniecki Mikołaj Dembowski miast leżeć w trumnie, jak osobie duchownej przystało, miał rozbijać się wokół Kamieńca, szerząc zarazę. Koniec końców dawni podwładni hierarchy w desperacji (choć może też z pewną dozą satysfakcji) wykopali zwłoki nieznośnego purpurata i ucięli im głowę. Co niestety niewiele pomogło, gdyż od tamtej pory upiornego biskupa widywano spacerującego po okolicy z głową pod pachą. Epizod ten można uznać za apogeum masowej psychozy. Plaga wąpierzy dręcząca Rzeczpospolitą stała się wówczas tak głośna w Europie, że interweniować musiał Rzym, gdzie papież Benedykt XIV wydał dokument potępiający wiarę w wampiryzm, komentując, iż w Polsce naprawdę panuje absolutna wolność, skoro nawet trupy wychodzą tam z grobów!



Zjawa w grafice Maksymiliana Gierymskiego do ballady Mickiewicza „To lubię" FOT. MNK

eprasa.pl 46b98675ff

W XIX w. przedstawiciele elit i klasy średniej z upiorami obcowali już tylko na kartach gotyckich romansów. Jednak dla polskiego chłopa nieumarły wypuszczający się nocą z cmentarza pozostawał realnym zagrożeniem, wobec którego należało zachować wzmożoną czujność.

ROZPOZNANIE TO PODSTAWA

Skąd jednak w ogóle brały się strzygonie? Z informacji zebranych przez etnografów wyłania się obraz wcale dużej grupy ludzi, mogących po śmierci zostać upiorami. Paradoksalnie w niektórych przypadkach przyszłego nieumarłego dało się rozpoznać zaraz po urodzeniu! Wierzono np., że los taki czeka dziecko, które przyszło na świat z zębami. Profesor Baranowski przytacza też przypadek chłopca posiadającego serce z prawej strony klatki piersiowej. Nieszczęśnik w zgodnej opinii całej wsi był przyszłym wąpierzem i jako taki znajdował się na marginesie życia gromady, pozbawiony szans na ożenek. W końcu mając dość upokorzeń, już jako dorosły mężczyzna wyemigrował do Warszawy. Gdy kilkanaście lat później do rodzinnej wioski nadeszły wieści o jego śmierci, dawni sąsiedzi jednogłośnie zawyrokowali, że zmarły jako upiór straszy teraz na warszawskich ulicach.

Inny sposób zidentyfikowania rzekomego strzygonia jeszcze za życia stanowiło dokładne obejrzenie jego uzębienia. Wieść gminna niosła, że człowiek taki miał dwa rzędy zębów. W efekcie jeszcze w czasach ustroju słusznie minionego zdarzali się chłopscy pacjenci proszący dentystę u usunięcie wypchniętej patologicznie do tyłu części garnituru zębowego, by uwolnić się od podejrzeń co do swej rzekomo upiornej natury. Zresztą każda wyróżniająca się cecha wyglądu mogła zostać przy odrobinie złej woli zidentyfikowana jako znamię strzygonia.

Oprócz cech fizycznych predysponujących do pośmiertnego losu nieumarłego istniały też aspekty duchowe. Przede wszystkim upiorem zostawał wedle wierzeń człowiek obdarzony dwiema duszami. W jaki sposób identyfikowano tę dość szczególną cechę, nie wiadomo. Mądrość ludowa twierdziła, że w czasie chrztu takiego dziecka ochrzczona zostawała tylko jedna z dusz, a ta druga, „pogańska", pozostawała w ukryciu, by po śmierci ożywiać ciało nieboszczyka. Co ciekawe,



Ilustracja z „Dziadów" Mickiewicza Czesława Borysa Jankowskego

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



„Wampir", Philip Burne-Jones, 1897 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

fakt, że od początku XX w. coraz rzadziej słyszano o harcach upiorów, przesądni ludzie tłumaczyli nie rozpowszechnieniem edukacji rozpraszającej mroki zabobonu dawniej spowijającego polską wieś, lecz… coraz sumienniejszym praktykowaniem obrzędu bierzmowania, w trakcie którego (jak interpretowano) chrztu dostępowała druga ukryta dusza. W PRL spotkać można jeszcze było na głębokiej prowincji staruszki twierdzące, że upadek pobożności wśród młodzieży doprowadzić musi do ponownej inwazji strzygoni. Jak wiemy, do niczego takiego nie doszło…

W powszechnej opinii uleżeć spokojnie w trumnie nie mogli też samobójcy i ludzie źli za życia, krzywdzący bliźnich. Co ciekawe, z badań terenowych przeprowadzonych w połowie XX w. wynikło, że pewien niewielki odsetek ludności wiejskiej na wschodnich terenach naszego kraju uważał, że spore szanse na zostanie upiorem mają też… owczarze. Ci ostatni w tradycji ludowej odgrywali często rolę czarowników obdarzonych tajemną wiedzą i złowrogimi mocami, których niekiedy używali na ludzką szkodę, innym zaś razem za ich pomocą niczym wiedźmin zwalczali zagrażające społeczności demony.

NOCNE FIGLE

Co właściwie robił nieumarły, powstawszy z grobu? Jak powszechnie wiadomo, modus operandi popkulturowego wampira stanowi picie krwi ofiar (najlepiej płci przeciwnej, chyba że mamy do czynienia z homoseksualistą, co się na kartach współczesnych romansów grozy zdarza wcale nierzadko). Strzygonie również nie miały nic przeciwko pociągnięciu łyku czy dwóch życiodajnej cieczy z żyły ofiary ludzkiej lub zwierzęcej. Jednak wachlarz zwyczajów praktykowanych przez gnębiące polskiego chłopa straszydła był o wiele szerszy.

Bywało, że upiór nie przejawiał żadnych krwiożerczych instynktów wobec żywych i włóczył się po prostu po okolicy, wydając z siebie przeraźliwe wrzaski. Tradycja ludowa zachowała też wspomnienia o nocnych spotkaniach, w trakcie których śpieszący do chałupy gospodarz napotykał na drodze swego zmarłego kuma lub kumoszkę. Abstrahując od mrożącej krew w żyłach atmosfery całej sytuacji, nieumarły potrafił wówczas wdać się z dawnym kolegą w przyjacielską pogawędkę! Choć bywało i tak, że obrzucał go stekiem najgorszych wyzwisk.

Postępowaniem jeszcze innych upiorów kierowała tęsknota za pozostawioną rodziną. Potrafiły nachodzić swych bliskich i towarzyszyć im lub wręcz obsypywać pocałunkami. Odwiedzani przez gościa zza grobu zazwyczaj go nie widzieli, lecz czuli trupi chłód i lodowaty dotyk. Znane są też historie o tzw. litościwych strzygoniach. Do tej kategorii zaliczała tradycja np. zmarłe matki, które nocami opuszczały cmentarz, by do świtu opiekować się swymi osieroconymi dziećmi, cerować ich ubranka, tulić je,

eprasa.pl 46b98675ff

a nawet karmić piersią. Szeptano sobie z podszytą fascynacją trwogą również opowieści o martwych mężach, zapuszczających do łoża pozostawionych przez nich wdów, by oddawać się uciechom cielesnym. Choć raczej mało kto chciałby, by jego chałupę nawiedzał upiór, to bywały wedle gawędy sytuacje, gdy takie nocne wizyty okazywały się nadzwyczaj rentowne. Niektóre strzygonie pracowite i zaradne, zachodząc do swoich dawnych gospodarstw, miast straszyć bliskich, zakasywały rękawy trupiej koszuli i brały ostro do roboty. Rankiem krewni zmarłego znajdywali w stajniach wyszczotkowane na połysk konie, uprzątnięte podwórka, zagrabione siano itp.

Niestety, o wiele więcej nieumarłych cechował wyjątkowo trudny charakter. Wąpierz potrafił wykazywać zamiłowanie do płatania żyjącym okrutnych figli. Upiory rzekomo wywabiały ludzi na bezdroża, rozpędzały stada bydła i drobiu, demolowały obejścia, a nawet potrafiły szczególnie nielubianemu gospodarzowi postawić wóz na dachu chałupy lub wymazać klamki łajnem. Co gorsza, zdarzało im się też bezceremonialnie kogoś zadusić, nawet w biały dzień, na oczach świadków. Tym sposobem bowiem lud wiejski tłumaczył sobie nagłe śmierci w wyniku zawałów serca czy udarów.

ŚRODKI SKUTECZNE

Jakich sposobów imali się chłopi w walce z nękającymi ich rzekomo nieumarłymi? Przede wszystkim, gdy po okolicy rozchodziła się wieść o nocnych wędrówkach straszydła, należało zidentyfikować delikwenta. W tym celu rozkopywano miejsca niedawnych pochówków. Jeśli w trumnie znaleziono zwłoki we względnie małym stopniu dotknięte rozkładem, a jeszcze lepiej spuchnięte i rumiane (co interpretowano jako efekt opicia się przez strzygonia krwią), to uznawano, że właśnie one należą do winowajcy. Teraz należało przystąpić do odpowiednich zabiegów magicznych.

Jeszcze w XVIII w. powszechnie stosowaną praktyką (nawet przez duchowieństwo, na co wskazuje przykład kamieniecki) było odrąbanie nieboszczykowi głowy i ułożenie mu jej w nogach, tak by obudziwszy się nocą, nie mógł jej znaleźć. Gdy w stuleciu następnym wiara w nieumarłych przetrwała już



„Dybuk" według Maurycego Liliena
FOT. DOMENA PUBLICZNA

tylko wśród ciemnej ludności chłopskiej, a księża grzmieli przeciwko niej z ambon, gromada wolała nie ryzykować aż tak drastycznych kroków. Miast tego kontynuowano inny pradawny zwyczaj i rzekomemu upiorowi wbijano gwóźdź w czaszkę lub znany nam z hollywoodzkich horrorów kołek w pierś.

Za dobrą metodę uznawano też odwrócenie niespokojnych zwłok plecami do góry, tak by strzygoń „gryzł ziemię", co miało być szczególnie skuteczne, jeśli dodatkowo na karku nieumarłego umieszczono sierp. Sporą liczbę zwolenników miało też włożenie do trumny gałązki jałowca, za to o wiele mniejszą popularność zdobyło sobie posypywanie trumny makiem czy wiercenie w niej otworów i wpuszczanie do środka wody święconej. Na Pomorzu do grobu wkładano niekiedy sieć rybacką, by upiór po obudzeniu mógł zająć się liczeniem jej ok, która to czynność miała go do tego stopnia zaaferować, że brakłoby mu czasu na szkodzenie żywym. Podobny cel przyświecał także wsadzeniu do trumny książeczki do nabożeństwa, aczkolwiek w tym przypadku usuwano z niej ostatnią stronę, by pochłonięty lekturą nieumarły nie mógł doczytać modlitewnika do końca. Jaki właściwie zamysł krył się za owym fortelem, trudno dociec. Być może wąpierz przeczytawszy cały dostępny tekst, zaczynał zachodzić w głowę, jakie też było zakończenie nabożnej książki.

Jeszcze mieszkające na wsi pokolenie prapradziadów dzisiejszych 30-latków zupełnie serio wierzyło w istnienie chodzących nocami zwłok

SPOCZYWAJ W POKOJU

Jeszcze mieszkające na wsi pokolenie prapradziadów dzisiejszych 30-latków zupełnie serio wierzyło w istnienie chodzących nocami zwłok. Dziś klasyczny upiór na dobre spoczął w – nomen omen – grobie. Wegetując jedynie jako temat badań etnografów i etnologów, nikogo nie straszy, a nawet nie potrafił wywalczyć sobie należnego mu miejsca w polskiej popkulturze, z której został z łatwością wygryziony przez swego o wiele bardziej charyzmatycznego i uwodzicielskiego potomka, zrodzonego w literaturze zachodniej i rozpropagowanego przez kino, telewizję, komiks oraz gry wampira. Jedynym przedstawicielem naszego rodzimego gatunku nieumarłych, który wciąż funkcjonuje w przestrzeni publicznej, pozostaje Upiór z „Dziadów" Mickiewicza. Tyle że nawet on z klasycznym wiejskim siermiężnym strzygoniem niewiele ma wspólnego, stanowiąc raczej owoc wyobraźni poety niźli modelowego przedstawiciela demonologii ludowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



KOMUCHOŻERCA

Akcja „Zamość”

LESZEK ŻEBROWSKI

Przeglądając różne dokumenty konspiracyjne, natrafiłem na bardzo ciekawe rzeczy. Chodzi o walki w obronie polskiej ludności na Zamojszczyźnie. Oddziałów partyzanckich było wówczas niewiele, więc olbrzymią rolę odgrywały lokalne samoobrony. Wśród nich były również grupy Armii Narodowej – była to przejściowa nazwa tej części NOW, która nie weszła do AK i wkrótce współtworzyła NSZ. Ale w historiografii nie zaistniały, wiadomo dlaczego. Dokumentów z tego zakresu zachowało się bardzo niewiele, ale jest to świadectwo, którego nie wolno pominąć. Już pod koniec 1942 r. powstał memoriał „Wnioski i uzasadnienie w sprawie akcji wysiedleńczej w Lubelszczyźnie”.

Pamiętajmy o tym, że polska konspiracja była wówczas jeszcze bardzo słaba. Zwracano uwagę, że przedwczesne powstanie przeciwko Niemcom, którzy wówczas stali u szczytu potęgi, mogłoby bardzo osłabić siły polskie i wywołać masowe, przedwczesne represje. Ale już 15 stycznia 1943 r. Dowództwo NSZ wydało szczególną „Instrukcję do Akcji Specjalnej Zamość”, która miała doprowadzić do koordynacji działań i zmuszać okupanta do zaniechania masowych akcji wysiedleńczych. Powinna być podjęta akcja pomocy dla wysiedlonych i wypędzonych Polaków. Ale ponadto musi być podjęta akcja zmuszająca do ucieczki zasiedlonych w polskich wsiach Niemców z Besarabii i Ukraińców, masowo sprowadzanych głównie z Galicji Wschodniej. W dokumencie tym jest w miarę dokładny opis represji niemieckich, w tym porywania dzieci. Instrukcja nakazywała uderzanie w małe oddziały niemieckie, w celu ich całkowitej likwidacji. Akcja ma być prowadzona tak, „aby w żadnym wypadku okupant nie otrzymał wiadomości, kto jest prawdziwym sprawcą akcji”. Dlatego podejmowane były działania pozorowane, że są to oddziały sowieckie i komunistyczne.

W lipcu 1943 r. Komenda Powiatowa NSZ Zamość powołała w celu kontynuowania działań Grupę Operacyjną „Wieprz”. Niestety, baza źródłowa jest bardzo niewielka i prawie nic o niej nie wiemy…

Przyjęło się, że było to powstanie zamojskie, choć jest to nazwa mocno na wyrost. Powstanie wymaga dowództwa, sztabu, wydzielonych sił i środków, planów operacyjnych, logistyki itd. Tego wówczas jeszcze nie było. Można zrozumieć polityków i nawet uczestników, że na potrzeby doraźnej propagandy taką nazwę wymyślono. Co więcej, ostatnio narasta tendencja, żeby wszelkie odruchy samoobronne w gettach (faktyczne i zamierzone) nazywać powstaniami. W ten sposób mamy już kilkaset tego typu „powstań”, które całkiem zakrywają tych kilka prawdziwych: wileńskie, lwowskie i warszawskie. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ostatni Jagiellon

SŁAWOMIR KOPER

W chwili podpisania unii lubelskiej Zygmunt August miał 49 lat, ale od dłuższego czasu nie cieszył się dobrym zdrowiem. Był chory wenerycznie, co spowodowało bezpłodność, a do tego dochodziły jeszcze: kamica nerkowa, reumatyzm i gruźlica. Wiedział, że nie będzie mu pisane długie życie, i dlatego spieszył się z integracją Polski i Litwy. Nie widział też żadnego następcy i zdawał sobie sprawę z faktu, że o przyszłości Rzeczypospolitej zadecyduje elekcja. A jej wynik był trudny do przewidzenia.

Wcześniej myślał o przekazaniu tronu jednemu ze swoich siostrzeńców, tym bardziej że w dziejach Polski istniał już precedens dotyczący Ludwika Węgierskiego. Ale Jan Zápolya chorował i zmarł jeszcze przed królem w wieku 31 lat. Nie żył już też Zygmunt Hohenzollern, syn przyrodniej siostry króla, Jadwigi, natomiast Zygmunt Waza miał w chwili podpisania unii zaledwie trzy lata i był jedynym sukcesorem tronu szwedzkiego.

Księżna Brunszwiku, Zofia Jagiellonka, była bezdzietna, natomiast Anna, chociaż miała już 46 lat, nie wyszła za mąż. Piastowie mazowieccy wymarli i w grę wchodziła tylko elekcja obcego księcia, ponieważ na krajowego kandydata nie zgodziliby się magnaci. Król zresztą dobrze pamiętał awanturę, która wybuchła po jego ślubie z Barbarą Radziwiłłówną.

Zygmuntowi Augustowi nie pozostało nic innego, jak wypełniać obowiązki monarsze i umilać sobie czas zabawami i romansami. Wziął udział w dwóch sejmach, które odbyły się w Warszawie, ale na ogół przebywał w Knyszynie. Tam oddawał się niezbyt wyszukanym rozrywkom, tak jakby chciał zapomnieć o zbliżającym się końcu życia.

Próbował jednak się jeszcze ratować. Odwiedzały go różnego rodzaju znachorki, zasięgał rady u astrologów. Jak można było podejrzewać, napary i czary nie pomagały, a przepowiednie się nie sprawdzały. Król z dnia na dzień tracił siły.

Otaczali go różnego rodzaju karierowicze, którzy usiłowali wybić się dzięki łasce schorowanego monarchy. Należeli do nich bracia Jan i Jerzy Mniszchowie, których rodzina właśnie wtedy startowała do wielkiej kariery. Ostatnie lata panowania Zygmunta Augusta spowodowały, że niebawem ród ten zaliczono w poczet magnatów.

Wiosną 1572 r. zdrowie władcy uległo pogorszeniu. Obok ataków kamicy nerkowej pojawiały się krwotoki z ust, a bóle reumatyczne spowodowały, że władca został praktycznie unieruchomiony. Pojawiły się gorączka, ataki kaszlu i jeszcze silniejsze bóle. Udręczony monarcha zmarł w Knyszynie 7 lipca 1572 r., w wieku 52 lat. Był ostatnim męskim przedstawicielem dynastii zasiadającej na tronie polskim od blisko 200 lat. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. FIFAVOLUNTEER/INSTAGRAM

POLICJANCI JAKO MASKOTKI

Dwóch peruwiańskich policjantów przebrało się za maskotki mundialu – łosia Maple'a oraz orła bielika Clutcha – żeby przeprowadzić akcję przeciw handlarzowi narkotyków. Do wydarzenia doszło w Limie. Dowódca oddziału policyjnego powiedział agencji AP, że aresztowanie dotyczyło „zagorzałego kibica piłkarskiego, żyjącego i oddychającego gorączką mistrzostw świata". Dodał, że funkcjonariusze przebrali się, „aby podejść do niego bez wzbudzania podejrzeń".

UWIĘZIONA

Złośliwość przedmiotów martwych szczególnie może dać się we znaki, gdy człowiek śpieszy się na swój ślub. W Monachium panna młoda utknęła w windzie zabytkowego Pałacu Nymphenburg. Razem z dwoma gośćmi nie mogła dotrzeć na salę, gdzie czekali już pan młody i inni uczestnicy uroczystości. Trzeba było na pomoc wezwać straż pożarną. Po ok. 15 minutach osoby uwięzione w windzie zostały uwolnione. Ślub odbył się z niewielkim opóźnieniem. Szczęśliwa panna młoda zrobiła sobie pamiątkowe zdjęcie z ratownikami.

SŁOŃ PRZY DRODZE

Dziki słoń zaatakował autobus wiozący personel sił powietrznych w miejscowości Kirinda na Sri Lance. Zwierzę niespodziewanie uderzyło w pojazd i rozbiło przednią szybę. Na szczęście nikt nie odniósł obrażeń, ale autobus został poważnie uszkodzony. Na Sri Lance dzikie słonie często pojawiają się przy drogach w pobliżu lasów i niekiedy atakują przejeżdżające pojazdy.

POMOC FACEBOOKA

Po mundialowym zwycięstwie drużyny Meksyku nad jedenastką Czech 3:0 tysiące kibiców wyległo świętować na ulice Ciudad Victoria. Pojawiła się tam też suczka, którą jeden z uczestników zabawy wziął na ręce. A że wydarzenie było transmitowane na Facebooku, to zwierzę zobaczyli w streamie jego właściciele. Jak się okazało, suczka miesiąc wcześniej zaginęła. Tym samym udało się ją szczęśliwie odnaleźć.

GDZIE SIĘ STARZEĆ

Kerala to najszybciej starzejący się stan Indii. Do roku 2036 jego co czwarty mieszkaniec będzie miał ponad 60 lat. Coraz więcej starszych osób żyje samotnie z powodu masowej migracji dzieci za pracą. Tradycyjny model opieki wielopokoleniowej słabnie. A specjalistów geriatrów brakuje. Rząd stanu powołał więc pierwsze w Indiach ministerstwo do spraw seniorów. Wdraża ono strategię polegającą na tym, żeby umożliwić starzenie się we własnym domu, a nie w ośrodku opieki. ©℗ ***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Niemcy w kryzysie

Coraz trudniej jest być Niemcem. A jeszcze trudniej dumnym Niemcem. W ubiegłym tygodniu boleśnie przekonali się o tym fani piłki nożnej, którzy mogli zobaczyć, jak niemiecka drużyna przegrywa pojedynek z Paragwajem. Tym samym już trzeci raz z rzędu Niemcy opuszczają mistrzostwa świata na długo przed finałem. Niemiecka reprezentacja nie zdołała też bowiem wyjść z fazy grupowej w Katarze w 2022 r. ani w Rosji w roku 2018.

To, że trudno wciąż zaliczać Niemców do elity, przyznał publicznie rozżalony trener piłkarzy Julian Nagelsmann.

Podobny wniosek można wysnuć, obserwując stan niemieckiej gospodarki. „Deutsche Wirtschaft" to już raczej synonim kryzysu. „Do 2030 r. niemieckie firmy będą coraz częściej przenosić działalność do regionów wzrostu – poza Niemcy i Europę" – alarmował w ubiegły poniedziałek niemiecki dziennik gospodarczy „Handelsblatt", powołując się na ekskluzywną ankietę wśród 1000 niemieckich przedsiębiorstw, przeprowadzoną wspólnie z firmą doradczą Horváth. Według dziennika aż 60 proc. firm planuje stopniową redukcję zatrudnienia.

Tylko Volkswagen może zwolnić w ciągu najbliższych lat nawet 100 tys. pracowników i zakończyć produkcję aut w czterech fabrykach na terenie Niemiec. Trudną restrukturyzację planuje również BMW – koncern ten w niedalekiej przyszłości może zwolnić 10 tys. osób. Również Mercedes-Benz poinformował pracowników w Niemczech, że premii letnich nie będzie. I to mimo że w ramach cięcia kosztów ok. 5,5 tys. osób skorzystało z programu dobrowolnych odejść. Co na to Berlin i Bruksela? ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



Z Tamásem Sulyokiem, prezydentem Węgier, byłym prezesem węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego
rozmawia Jacek Przybylski

Rząd Magyara nie dba już nawet o pozory



JACEK PRZYBYLSKI: Nowy premier Péter Magyar nie zamierza czekać do marca 2029 r., kiedy to wygasa pana kadencja. Publicznie ogłosił już, że najpóźniej do 20 sierpnia Węgry będą miały nowego prezydenta. Co więcej, po zmianie konstytucji szef rządu chce w ten sposób odwołać nie tylko pana, lecz także prezesa Trybunału Konstytucyjnego i prezesa Sądu Najwyższego. Pytając bez ogródek: Czy Péter Magyar planuje właśnie przejęcie władzy absolutnej na Węgrzech?

TAMÁS SULYOK: Premier już podczas kampanii, a także wielokrotnie od czasu wyborów, otwarcie deklarował, że usunie mnie z urzędu, jeśli nie zrezygnuję dobrowolnie. Na Węgrzech status prawny, ramy funkcjonowania oraz kompetencje prezydenta określa ustawa zasadnicza. Nie mam powodów do dymisji, a premier jak dotąd nie znalazł publicznoprawnego uzasadnienia dla mojego usunięcia.

Usunięcie to – podobnie jak w przypadku pozostałych wspomnianych urzędników państwowych – tłumaczy powodami politycznymi. Są to jednak – podkreślam – powody polityczne, na podstawie których nie można nas usunąć w ramach państwa prawa. Znana już obecnie propozycja zmiany ustawy zasadniczej „załatwia" kwestię usunięcia z urzędu zaledwie jednym zdaniem w przepisach końcowych: zwykłym stwierdzeniem, że z chwilą wejścia w życie nowelizacji moja kadencja wygasa. Ponieważ tekst odnosi się do „urzędującego prezydenta republiki", a nie do instytucji prezydenta w ogóle, nie mogę tego interpretować inaczej niż jako prawodawstwo skrojone pod konkretną osobę, czego w żadnym wypadku nie można nazwać rozwiązaniem zgodnym z praworządnością. Co więcej, jest to surowo zakazane.

Dyskusyjne może być również to, że mnie – w sposób karygodny i niedopuszczalny – nazywał „marionetką" poprzedniego rządu. Chociaż nigdy nie byłem ani członkiem partii, ani politykiem, korzystałem z prawa weta za rządów Fideszu, podpisywałem też ustawy rządzącej obecnie partii TISZA. Obecny premier jest jednak znacznie bardziej pobłażliwy, jeśli chodzi o przyszłość, i oświadczył, że nie widzi problemu w tym, iż kolejną głową węgierskiego państwa zostanie członek jego partii TISZA czy nawet członek obecnego rządu.

Widzę tu więc podwójne standardy. Koncentracja władzy, która teraz coraz wyraźniej się zarysowuje, przebiega bardzo szybko i ma wręcz przytłaczającą siłę, ale pojawia się pytanie, czy siła ta nie zmiecie również uznawanych i wymaganych na szczeblu międzynarodo-

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. @SÁNDOR PALOTA, ÉRDI ROBERT

wym zasad praworządności oraz prawdziwej demokracji przedstawicielskiej. Partia rządząca rzeczywiście otrzymała ogromne poparcie, co upoważnia ją do wielu rzeczy, ale nie wolno zapominać, że nie można robić wszystkiego tylko dlatego, że istnieje taka techniczna możliwość.

Według premiera Magyara, który już kilka tygodni temu wezwał pana do rezygnacji, zmiany są konieczne, aby położyć kres epoce „politycznej i gospodarczej mafii". Pan z kolei wskazuje, że próby przedwczesnego usunięcia pana ze stanowiska stanowią zagrożenie dla praworządności i porządku konstytucyjnego, obiecując przy tym aktywny opór. Partia TISZA dysponuje jednak 141 mandatami w 199-osobowym Zgromadzeniu Narodowym i może dowolnie zmieniać konstytucję...

Urząd prezydenta ma charakter publicznoprawny, a nie polityczny. Jak już wspomniałem, premier od samego początku opierał zamiar mojego usunięcia na przesłankach politycznych, a nie prawnych czy konstytucyjnych. Oczywiście ich większość dwóch trzecich głosów w parlamencie daje możliwości do wielu działań. Muszę jednak zwrócić uwagę na to, że nie wszystko to, co technicznie wykonalne, jest dozwolone. Ustawę zasadniczą można zmieniać, wielokrotnie jednak podkreślałem, że należy przy tym przestrzegać ram praworządności. Poprzez tworzenie prawa pod konkretną osobę realizuje się konstytucyjne pojęcie tzw. politycznego łupiestwa, co w najmniejszym stopniu nie może być nazwane rozwiązaniem zgodnym z państwem prawa. Niestety, obecnie widać już, że rząd nie dba nawet o pozory.

Na wrzesień rząd planuje rozpoczęcie szerokich konsultacji społecznych w sprawie nowej konstytucji. Czy uważa pan, że ustawę zasadniczą z 2012 r. rzeczywiście trzeba pisać całkowicie od nowa, od samych podstaw?

Widać, że istnieje szerokie i zdecydowane zapotrzebowanie społeczne np. na polityczną redefinicję urzędu prezydenta. Istnieje taka możliwość, podobnie jak możliwość stworzenia nowej konstytucji, ale raz jeszcze podkreślam: nie wolno tracić z oczu podstawowych wartości europejskich oraz filarów praworządności.

Zwrócił się pan nie tylko do węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego, lecz także bezpośrednio do Komisji Weneckiej, ostrzegając przed „kryzysem konstytucyjnym". Nie obawia się pan, że tym razem ani Bruksela, ani Waszyngton nie staną w obronie praworządności, a większościowy rząd Magyara i tak zrobi, co zechce?

Zwrócenie się do Komisji Weneckiej było najbardziej logicznym krokiem, ponieważ jest to niezależny, międzynarodowy organ doradczy do spraw prawa konstytucyjnego działający przy Radzie Europy, który swoimi opiniami eksperckimi i stanowiskami wspiera rządy.

O powadze sytuacji świadczy fakt, że Komisja już po kilku dniach zasygnalizowała gotowość do zbadania naszych pytań w trybie pilnym i przygotowuje się do wizyty na Węgrzech w celu zbadania tej sprawy. Sekretarz generalny Rady Europy powiedział niedawno, że na razie rząd nie przyjmie delegacji, jednak kilka dni później premier Péter Magyar ogłosił, że zaprosił przewodniczącego Komisji Weneckiej i że rząd również oczekuje tej wizyty. Jak widać, sytuacja jest dynamiczna, a nowe informacje szybko wychodzą na światło dzienne. Uważam, że w interesie wszystkich stron, w tym rządu, jest wypracowanie rozwiązania, które będzie akceptowalne i zgodne ze standardami państwa prawa. Ja i moi współpracownicy ze swej strony jesteśmy gotowi do rozmów.

Zwróciliśmy się do węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego o interpretację, jednak mój wniosek został zdjęty z porządku obrad z powołaniem się na moje osobiste zaangażowanie. Uważam to za godne ubolewania, ponieważ stanowisko Trybunału Konstytucyjnego stanowiłoby wskazówkę – niezależnie od tego, w jakim kierunku by poszło – a w ten sposób niestety żadna ze stron nie może na to liczyć.

eprasa.pl 46b98675ff



W ramach oficjalnych uroczystości upamiętniających 70. rocznicę wydarzeń Czerwca 1956 r. prezydent Karol Nawrocki wziął udział w oficjalnych obchodach w Poznaniu, z udziałem głów państw Węgier, Albanii i Łotwy FOT. MIKOŁAJ BUJAK/KPRP

Amnesty International poinformowała Węgierską Agencję Prasową (MTI), że proponowana przez rząd procedura usunięcia pana z urzędu jest „niewłaściwa". Zdaniem organizacji powinien pan zrezygnować ze stanowiska dopiero po „rzetelnym procesie" w ramach „procedury złożenia z urzędu" (impeachmentu). Nie obawia się pan, że jeśli nie zrezygnuje pan dobrowolnie i będzie próbował pozostać na stanowisku, to prędzej czy później stanie się ofiarą procesu politycznego?

Premier dał mi ultimatum na rezygnację do 31 maja. Wywołało to kryzys konstytucyjny, ponieważ jako przedstawiciel władzy wykonawczej wezwał do ustąpienia prezydenta republiki, który jest niezależny od innych gałęzi władzy. W tej sytuacji nie miałem innego wyboru, jak tylko pozostać na stanowisku w celu utrzymania systemu hamulców i równowagi. Sposób, w jaki planuje się usunięcie urzędującego funkcjonariusza publicznego za pomocą jednego zdania w projekcie zmiany konstytucji, nie może ujść uwadze tych, którzy mają na względzie przestrzeganie praworządności.

Ponieważ pojawiły się pewne przypuszczenia, muszę rozwiać jedno nieporozumienie. Ja do niczego się nie przywiązuję – podpisałem np. ustawę obniżającą moje własne wynagrodzenie. Nie potrafię trzymać się kurczowo stanowisk czy dóbr materialnych, ale przy pomocy wszelkich dostępnych mi środków będę bronił państwa prawa i przestrzegania konstytucji.

Premier Péter Magyar argumentuje, że w celu przywrócenia demokratycznego państwa prawa musi zdemontować aparat samozwańczego, „nieliberalnego" rządu Orbána. Nowy węgierski premier zapowiedział w związku z tym utworzenie Narodowego Urzędu Odzyskiwania i Ochrony Majątku. Magyar wprost oskarża pana również o to, że wspierał pan „ugruntowany system kolesiostwa i zawłaszczania państwa" za czasów Viktora Orbána (obecny premier przez lata był blisko związany z obozem władzy Orbána i jego partią, Fideszem). Czy można powiedzieć, że uczeń przerósł mistrza? I że w pierwszym roku urzędowania sięga po taką władzę, o jakiej Orbán przez 16 lat swoich rządów nawet nie marzył?

Ponieważ prezydent republiki stoi poza polityką, nie zająłbym stanowiska w tej sprawie. Pewne jest to, że Fidesz rządził przez 16 lat, w tym czasie czterokrotnie zdobył zaufanie większości wyborców i uzyskał większość dwóch trzecich głosów w parlamencie. 12 kwietnia 2026 r. zatriumfowała demokracja, a wyborcy głosujący za zmianą rządu zdobyli większość, obdarzając zaufaniem partię TISZA i dając jej tym samym większość dwóch trzecich głosów w parlamencie. Takie są fakty: TISZA otrzymała mandat zaufania, który wiąże się z ogromną odpowiedzialnością. Mam nadzieję, że odniosą sukces dla dobra Węgier, ponieważ leży to w interesie każdego Węgra – ale i tym razem przypomniałbym słowa mojego szanownego poprzednika, byłego prezesa Trybunału Konstytucyjnego i prezydenta, László Sólyoma: „Państwa prawa nie można budować wbrew państwu prawa".

Według doniesień Politico jednym z powodów, dla których obecne węgierskie przywództwo podejmuje zdecydowane kroki w celu demontażu pozostałości rządu Orbána, są wnioski wyciągnięte z sytuacji w Polsce, gdzie prezydent Karol Nawrocki zawetował już kilka ustaw liberalnego rządu Donalda Tuska. Czy oznacza to, że kurtyna opadła i nikt już nie udaje, że chodzi o „demokrację", a jedynie o to, by „nasi" wzięli wszystko?

Wdawanie się w polityczne spekulacje nie należy do moich obowiązków.

Według sondaży ok. 60 proc. Węgrów chciałoby, aby zrezygnował pan ze stanowiska. Jak odpowie pan na ostre słowa premiera, według którego „cały naród pragnie pana odejścia"?

Wielokrotnie spotykałem się z zarzutem ze strony premiera, że nie uosabiałem jedności narodu – uzasadnia on to w oparciu o sprawy mocno upolitycznione i/lub niezakończone. Ze swojej strony, z racji tego, że urząd prezydenta ma charakter publicznoprawny, jestem przekonany, że potrafię wyrażać jedność narodu poprzez prawo, reprezentując prawo publiczne, ponieważ tylko prawo jest w stanie połączyć w spójną całość społeczeństwo zróżnicowane pod wieloma względami (religia, przekonania itp.), gdyż dotyczy ono wszystkich bez wyjątku i w równym stopniu.

Instytucja prezydenta republiki to nie konkurs popularności, lecz urząd, na który wybiera demokratycznie wybrany parlament. Premier najwyraźniej ma na myśli wyborców partii TISZA, gdy mówi o „całym narodzie". Partia TISZA zdobyła w wyborach 53 proc. głosów. Ze względu na węgierski system wyborczy w parlamencie przekłada się to na większość dwóch trzecich głosów. W każdym razie ani dwie trzecie, ani 53 proc. nie stanowią „całego narodu".

Fakt, że nie zabierałem głosu w niektórych sprawach, wynika z jednej strony z obowiązkowej bezstronności prezydenta, a z drugiej z tego, że w czasie kampanii wyborczej nieodpowiedzialnością byłoby wypowiadanie się na tematy, które

eprasa.pl 46b98675ff

odgrywały w niej główną rolę i w których do dziś toczą się dochodzenia. Istnieje jednak kilka spraw (np. ochrona dzieci czy ton kampanii), w których mimo to zabrałem głos i wydałem oświadczenia. To, że ewentualnie nie opowiedziałem się jednoznacznie po stronie opinii konkretnej partii, chyba nie wymaga wyjaśnienia.

Wyniki tych sondaży mogą jednak dać Magyarowi zielone światło do brutalnych rozliczeń. Seria działań podjętych przez władze w Budapeszcie pokazuje, że dawnych sojuszników Orbána czekają bardzo trudne dni. Widzi pan jakieś światełko w tunelu?

Wyniki sondaży opinii publicznej nie mają nic wspólnego z przestrzeganiem ram państwa prawa; ramy te są albo przestrzegane, albo nie, bez względu na to, ile osób czego by sobie życzyło. Zależy to od pracy prawodawców, od współpracy lub jej braku ze strony polityków w parlamencie, składającym się z partii rządzącej i opozycji.

Biorąc pod uwagę radykalne wypowiedzi premiera na temat pana prezydentury, jakich wartości będzie pan bronił w nadchodzących miesiącach i jak chciałby pan zapisać się w najnowszej historii Węgier?

Jestem prawnikiem, przez dziesięciolecia pracowałem w dziedzinie prawa jako adwokat, następnie jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego, a później jako prezes Trybunału Konstytucyjnego. To zdeterminowało również moje pełnienie urzędu głowy państwa. To, jak historia oceni wydarzenia, które miały miejsce podczas mojego urzędowania, pozostawiam historii.

Premier Magyar podczas czerwcowego szczytu Grupy Wyszehradzkiej (V4) w Gödöllő pod Budapesztem jednoznacznie stwierdził, że relacje między Budapesztem a Warszawą uległy pogorszeniu z powodu prorosyjskiej polityki Viktora Orbána oraz „ukrywania poszukiwanych polskich polityków". Pan również tak to ocenia?

Jesteśmy świadomi faktu, że między rządami istniały napięcia, jednak ze swojej strony starałem się, aby ta relacja zawsze przetrwała, a naród węgierski i polski zawsze pozostawały „dwoma dobrymi przyjaciółmi" (bratankami). Kilka miesięcy temu wspólnie z prezydentem Karolem Nawrockim obchodziliśmy Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Przemyślu, a tego samego dnia również w Budapeszcie. Z radością przyjąłem zaproszenie pana prezydenta Karola Nawrockiego do Poznania na obchody 70. rocznicy Poznańskiego Czerwca '56.

Czy uważa pan, że w XXI w. nadejdą jeszcze czasy, kiedy Polacy i Węgrzy znów będą „dobrymi przyjaciółmi" bez partyjnych podziałów i podżegania jednych przeciwko drugim?

Wierzę, że historycznej przyjaźni między Polakami a Węgrami nie są w stanie naruszyć ewentualne różnice zdań czy napięcia między partiami i rządami.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tamás Sulyok – prezydent Węgier od marca 2024 r. Dyplom absolwenta studiów prawniczych otrzymał w 1980 r., a w 2013 r. został doktorem prawa. Przez wiele lat pracował jako adwokat. Wykładał również prawo konstytucyjne na Uniwersytecie Segedyńskim. Od września 2014 r. był sędzią Trybunału Konstytucyjnego. Od kwietnia 2015 r. do listopada 2016 r. był wiceprezesem tej instytucji, a następnie do 2024 r. prezesem węgierskiego Trybunału Konstytucyjnego. Ma 70 lat.

REKLAMA

HISTORIA. WOLNOŚĆ. IDEE
Trzy wyjątkowe książki polecane przez Redakcję Do Rzeczy

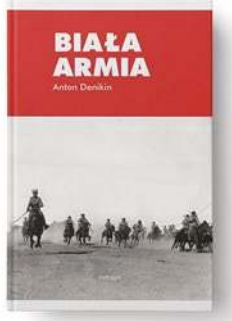

Historia walki o Rosję widzianej oczami jednego z najważniejszych dowódców wojny domowej.

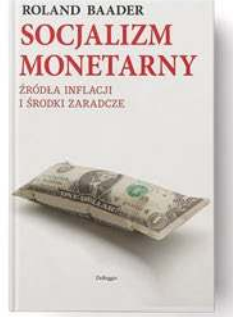

Przenikliwa analiza inflacji, pieniądza i skutków polityki banków centralnych.

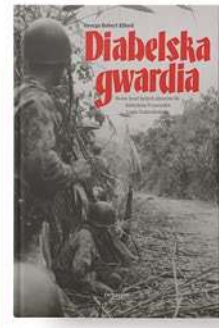

Legendarna opowieść o żołnierzach Legii Cudzoziemskiej i wojnie, która zmieniła historię XX wieku.

ksiegarniadorzeczy.pl, dla Czytelników, którzy chcą rozumieć więcej niż nagłówki

DO RZECZY DEREGGIO Zapraszamy do Księgarni Do Rzeczy, gdzie znajdą Państwo setki wartościowych książek poświęconych historii, polityce, ekonomii i sprawom współczesnego świata.

eprasa.pl 46b98675ff



Maciej Pieczyński



Czciciel Bandery i Szuchewycza

Mer Lwowa nie jest radykalnym nacjonalistą, tylko prounijnym liberałem, który deklaruje wolę współpracy z zachodnimi partnerami, w tym z Polską. Nie obwiesza się czarno-czerwonymi flagami. Tyle że w wypadku ukraińskiej sceny politycznej deklarowany liberalizm nie wyklucza czci oddawanej ludobójcom

Gdańska Konferencja na rzecz Odbudowy Ukrainy odbyła się w cieniu coraz ostrzejszego sporu na linii Kijów – Warszawa. Obok nieobecności prezydenta Wołodymyra Zełenskiego największe kontrowersje wokół tego wydarzenia wywołała obecność mera Andrija Sadowego.

„W przededniu wielkiej konferencji do spraw odbudowy mamy intensywny dzień w Gdańsku. Swoją wizytę w Gdańsku rozpocząłem od oddania hołdu pamięci Pawła Adamowicza, który był prawdziwym przyjacielem Ukrainy i Lwowa" – napisał w swoich mediach społecznościowych Sadowy, ilustrując wpis zdjęciem, na którym składa kwiaty na grobie zabitego prezydenta stolicy Pomorza. Wieść o prawdopodobnym zaproszeniu samorządowca, prześladującego polską firmę, na organizowane w Polsce wydarzenie wywołała zrozumiałe oburzenie. Prawda okazała się jednak jeszcze bardziej skandaliczna. Sadowy nie był uczestnikiem konferencji. Nie został na nią zaproszony. Postanowił się jednak podpiąć pod to wydarzenie i wykorzystać je we własnym interesie. W przededniu Konferencji Odbudowy Ukrainy zorganizował w Gdańsku własną imprezę – Dzień Odporności Lwowa. Na jej potrzeby wynajął komercyjnie centrum AmberExpo. Chodziło o to, by po pierwsze sprawić wrażenie, że jest to wydarzenie towarzyszące wielkiej konferencji, a po drugie – by przyciągnąć uwagę uczestniczących w niej przedsiębiorców. W ramach Dnia Odporności Lwowa mer Sadowy zawarł sześć międzynarodowych porozumień o wartości ok. 2,5 mln euro z firmami z Litwy, Czech, Francji i Niemiec. Choć umowy były podpisywane w Gdańsku, to wśród kontrahentów nie znalazł się żaden przedsiębiorca z Polski. To oczywiście kolejny policzek wymierzony Warszawie przez Ukraińców, tym razem na poziomie lokalnym. Z drugiej strony, coraz powszechne staje się przekonanie, że polski biznes nie tylko nie może liczyć na ukraińskie kontrakty, lecz

eprasa.pl 46b98675ff



Andrij Sadowy pod Pomnikiem Stepana Bandery we Lwowie, 1 stycznia 2019 r.
FOT. OLEG KOCHAN/CITY-ADM.LVIV.UA

także powinien się robienia interesów na Ukrainie wystrzegać z uwagi na własne bezpieczeństwo. I to nie tylko w kontekście działań zbrojnych.

IGNOROWANIE WYROKU SĄDU ARBITRAŻOWEGO

Radosław Sikorski, komentując brak polskich podpisów pod umowami zawartymi w ramach Dnia Odporności Lwowa, stwierdził: „Może to i lepiej, bo polska firma, która zbudowała we Lwowie spalarnię śmieci, długo nie może doczekać się zapłaty". Wicepremier i szef MSZ nawiązał do skandalu wokół przedsiębiorstwa Control Process. Przypomnijmy: ta polska firma podpisała z lwowskimi władzami miejskimi umowę na budowę nowoczesnego zakładu przetwarzania odpadów. Wartą 40 mln euro inwestycję zrealizowała w 95 proc. Gdy do wykonania pozostały jedynie ostatnie prace wykończeniowe, miasto jednostronnie zerwało kontrakt, nie zapłaciło za wykonaną pracę i zablokowało należności. Polska firma z prośbą o rozstrzygnięcie sporu zwróciła się do międzynarodowego arbitrażu. I wygrała. W teorii. Sąd arbitrażowy Dispute Adjudication Board (DAB) siedmiokrotnie przyznał rację właścicielom Control Process. Wydał aż 75 decyzji korzystnych dla polskiej firmy. Orzekł m.in., że główną przyczyną paraliżu inwestycji był fakt, iż władze Lwowa nie doprowadziły do zakładu zasilania elektrycznego, nie wykonały dróg dojazdowych, parkingów ani infrastruktury towarzyszącej. Ponadto lwowskie przedsiębiorstwo komunalne próbowało zmusić polską firmę do wykonania prac zewnętrznych wartych kilkanaście milionów euro. Całkowicie bezprawne również, według arbitrów, było zajęcie polskich gwarancji bankowych oraz samo rozwiązanie umowy. Zgodnie z wyrokiem Lwów powinien natychmiast wypłacić polskiej firmie kwotę 4,3 mln euro. Tę decyzję Sadowy zignorował. Próbował przenieść sprawę przed sąd w Kijowie. Podobnie jak wyrok Międzynarodowej Izby Handlowej (ICC), do której również zwróciła się polska firma. ICC orzekła, że „próby przesunięcia jurysdykcji nad kontraktem na arbitraż kijowski przez miasto Lwów po wypowiedzeniu umowy są bezprawne", a ponadto „samo wypowiedzenie umowy też jest niezgodne z treścią umowy". Nielegalne było również zignorowanie wyroków DAB oraz wymuszenie na wykonawcy opuszczenia placu budowy.

W największym skrócie argumenty obu stron wyglądają następująco. Lwów twierdzi, że polska firma nie dotrzymywała terminów, polska firma – że opóźnienia wynikały z realiów wojennych oraz z faktu, iż władze miasta nie zapewniły dostaw prądu. Control Process nie otrzymało pieniędzy za wykonane prace, a Sadowy twierdzi, że te prace wykonane nie zostały. Władze Lwowa nie dopuszczają polskiego wykonawcy nawet do wartego prawie 10 mln euro sprzętu, pozostawionego na budowie, blokują też dostęp przedstawicielowi polskiej ambasady. Obie strony oskarżają się wzajemnie o stosowanie presji politycznej. Lwowscy radni dwukrotnie już zwracali się do Donalda Tuska z apelem o zdyscyplinowanie polskiej firmy, jakoby niewywiązującej się z zobowiązań. Mer Lwowa kwestionuje nawet… istnienie wyroków sądów arbitrażowych. A to dlatego, że ich treść nie jest jawna, w związku z czym nie są one publikowane. Jednak ich odpisy trafiają do zainteresowanych stron. Co ciekawe, postępowanie w sprawie działań władz Lwowa wobec polskiej firmy prowadzi Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy.

Wspomniany komentarz Sikorskiego w bardziej konkretnych i dyplomatycznych słowach rozwinął jego zastępca. W rozmowie z RMF24 wiceszef dyplomacji Władysław Teofil Bartoszewski w imieniu resortu odradził polskim firmom inwestowanie we Lwowie. Natomiast Sadowy na portalu X chętnie wchodzi w ostre dyskusje z polskimi urzędnikami i politykami. Kiedy rzecznik MSZ Maciej Wewiór napisał: „Potępiamy działania władz Lwowa wobec polskiej firmy, a ignorowanie ustaleń międzynarodowego arbitrażu uznajemy za niedopuszczalne", zaznaczając, że Sadowy nie jest gościem konferencji odbudowy, mer Lwowa w odpowiedzi wypalił: „Jest w języku polskim powiedzenie, które bardzo lubię: »Co ma piernik do wiatraka?«. Zanim zacznie pan komentować sprawę polskiej firmy we Lwowie, radziłbym choć trochę zapoznać się z jej istotą. A na początek proszę uprzejmie udostępnić to »ustalenie międzynarodowego arbitrażu«, o którym pan mówi".

Sytuacja wokół polskiej spółki jest tak napięta, że mera Lwowa ostro skrytykował nawet Paweł Kowal. Przewodniczący Rady do spraw Współpracy z Ukrainą publicznie deklaruje wsparcie rządu dla Control Process. „Mer Lwowa takimi działaniami odcina Lwów od Europy i robi błąd" – ocenił Kowal.

MEDIALNE IMPERIUM

Andrij Sadowy – rocznik 1968 – to rodowity Lwowianin. Z wykształcenia jest inżynierem elektroniki i ekonomistą. W młodości pracował na bazarze. W jednym z wywiadów opowiadał, że jako 16-latek kupował we Lwowie przywożone z Polski zegarki, a potem jeździł do Dniepropietrowska sprzedawać je drożej. Pod koniec lat 80. odbył dwuletnią obowiązkową służbę w armii sowieckiej. W latach 90. zajmował się handlem przygranicznym z Polską. Pracował też jako elektrotechnik. W pewnym momencie się przekwalifikował. Zaczął pracę w administracji państwowej, działał we lwowskich fundacjach i inwestował w media. W 1999 r. ukończył Akademię Administracji Państwowej przy Prezydencie Ukrainy. Własnością jego rodziny są portal internetowy Zaxid oraz spółka radiowo-telewizyjna Lux, które w 2006 r., przed wyborami samorządowymi, przepisał na żonę.

eprasa.pl 46b98675ff

Do tego medialnego imperium, oprócz serwisu Zaxid, należą radiostacje Maksymum, Nostalhija, Lux FM, a także telewizja i portal 24tv.ua czy portal Futbol24. W 1998 r. po raz pierwszy dostał się do rady miasta. W 2004 r. założył organizację pozarządową Samopomoc (Samopomicz), która następnie rozrosła się w partię polityczną. Jej liderem Sadowy był w latach 2012–2019. W 2014 r. wprowadził swoją partię do Rady Najwyższej. Był wówczas wymieniany jako jeden z najpoważniejszych kandydatów na prezydenta kraju. Ostatecznie nie zdecydował się wtedy powalczyć o fotel głowy państwa. W 2019 r. ogłosił swój start w wyborach prezydenckich, ale wycofał swoją kandydaturę i poparł kandydata Anatolija Hrycenkę.

Na mera Lwowa po raz pierwszy wybrany został w 2006 r. Funkcję tę sprawuje do dziś. Mimo szerokiej popularności nie podbił krajowej polityki. W 2019 r. do Rady Najwyższej wszedł tylko jeden deputowany z ramienia Samopomocy. Jako włodarz miasta cieszy się sporą popularnością, o czym świadczą kolejne zwycięskie wybory samorządowe. Bywa również bohaterem głośnych afer. W 2016 r. Lwów mierzył się z ogromnym kryzysem ekologicznym po tym, jak na przepełnionym i przestarzałym wysypisku śmieci (największym w całym kraju) doszło do wielkiego pożaru. Podczas próby jego ugaszenia zginęło czterech strażaków. Lwowscy nacjonaliści domagali się dymisji Sadowego. Szturmowali budynek rady miejskiej. Mera krytykowali też przedstawiciele obozu ówczesnego prezydenta Petra Poroszenki. Lwów pozostał bez wysypiska, musiał więc wywozić odpady do innych miast, które jednak często odmawiały pomocy. Ta „blokada śmieciowa" była prawdopodobnie zaplanowaną przez Poroszenkę akcją, mającą na celu skompromitowanie Sadowego. W 2019 r. mer Lwowa ujawnił dokumenty, z których miało wynikać, że jest szantażowany przez prezydenta Ukrainy. Poroszenko rzekomo proponował zdjęcie „blokady śmieciowej" w zamian za lojalność wobec jego obozu politycznego.

Popularny lwowski samorządowiec i jego partia traktowani byli przez ówczesną głowę państwa jako zagrożenie. Nic dziwnego – obaj walczyli o podobny elektorat: prozachodni, proeuropejski, a zarazem hurrapatriotyczny, życzliwie spoglądający na kult OUN-UPA. I tu wracamy do sprawy polskiej. Andrij Sadowy nie jest co prawda radykalnym nacjonalistą, tylko prounijnym liberałem, który deklaruje wolę współpracy z zachodnimi partnerami, w tym z Polską. Nie obwiesza się czarno-czerwonymi flagami. Tyle że w wypadku ukraińskiej sceny politycznej deklarowany liberalizm nie wyklucza czci oddawanej ludobójcom. Na samym początku pełnoskalowej wojny Sadowy pisał o „pojednaniu i przebaczeniu polsko-ukraińskich krzywd". Natomiast 1 stycznia 2023 r. uczcił pamięć lidera OUN w kolejną rocznicę jego urodzin. „Biografia Stepana Bandery to historia niezłomności. Więzienia, obozy koncentracyjne, prześladowania – to wszystko było w jego życiu. Jednak nosił swoje przekonania z dumnie podniesioną głową. Na przykładzie Bandery wyrosło nowe pokolenie, które poszło walczyć z nową moskiewską hordą" – napisał wówczas w swoich mediach społecznościowych, kwitując wpis słowami: „Pokolenie zwycięzców. Sława Ukrainie!". Co istotne, u Sadowego kult Bandery nie jest potrzebą chwili, wynikającą z wojny z Rosją, tylko – jak sam samorządowiec to określił – „rodzinną tradycją". Mer Lwowa konsekwentnie od lat powtarza, że Bandera i Szuchewycz są bohaterami Ukrainy, których doświadczenie pozwala Ukraińcom jednoczyć się do walki z wrogiem. Dowódcę UPA, odpowiedzialnego za rzeź wołyńską, uważa za świetny przykład dla patriotycznej młodzieży.

Zdaniem Sadowego „na przykładzie Bandery wyrosło nowe pokolenie, które poszło walczyć z nową moskiewską hordą". Lwów swoją miłością do UPA zaraził cały kraj

ODBUDOWA MUZEUM SZUCHEWYCZA

Po tym, jak Rosjanie zbombardowali muzeum Szuchewycza we Lwowie, mer miasta mocno zaangażował się w odbudowę obiektu. I tutaj znowu starł się ze swoim dawnym politycznym przeciwnikiem Poroszenką. Osią sporu nie była jednak ocena działalności dowódcy UPA. Przeciwnie – można powiedzieć, że obaj politycy kłócili się o to, który z nich bardziej szanuje Romana Szuchewycza. Poroszenko zarzucał Sadowemu, że odbudowa idzie zbyt wolno. Samorządowiec w odpowiedzi dał do zrozumienia, że byłemu prezydentowi spieszy się, aby możliwie jak najszybciej zacząć się lansować, demonstracyjnie odwiedzając odnowione muzeum. Tymczasem Sadowy pragnie zbudować wspaniały, nowoczesny obiekt, godny wielkiego narodowego bohatera, którym jest Roman Szuchewycz…

Warto oddać głos samemu Sadowemu: „Rocznica urodzin Szuchewycza znowu pokazała, że dla części […] polityków wszystkie memoriały, muzea, tablice pamiątkowe to jedynie dekoracje. [Ci politycy] chcą mieć dokąd pójść i złożyć kwiaty. Obowiązkowo przed kamerami. W wypadku Szuchewycza – dwa razy w roku. Ale my we Lwowie więcej takich miejsc budować nie będziemy. Ani podczas wojny, ani po jej zakończeniu. Muzeum Szuchewycza powstanie! Ale to nie będzie rytualna przestrzeń, tylko żywe miejsce – dla tych, którzy chcą wiedzieć, po co żył i za co zginął […]. Dziś na miejscu przyszłego muzeum historyk Mykoła Posiwnycz przeprowadził dla lwowskich uczniów nieoficjalną lekcję pt. »Roman Szuchewycz: to, czego nie znajdziecie w podręczniku«. Wspólnie z historykami, muzealnikami i architektami stworzymy przestrzeń, która będzie pielęgnować nie tylko pamięć, lecz także sens i ducha. Marzę o dniu, w którym muzeum będzie otwarte dla wszystkich. Ten dzień nastanie już niedługo. Prawdopodobnie będzie to pierwsze muzeum na Ukrainie, odbudowane po tym, jak zostało zniszczone przez rosję [pisownia oryginalna – przyp. red.] […]. Sława Generałowi Romanowi Szuchewyczowi!" – tak Sadowy pisał niemal dokładnie rok temu.

Otwarcie odnowionego muzeum zbrodniarza planowane jest na 5 marca 2027 r. – czyli na rocznicę śmierci dowódcy UPA. I pewnie Sadowy ma o tyle rację, że obiekt chętnie będą odwiedzać ukraińscy politycy. Lwów swoją miłością do UPA zaraził cały kraj.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Z Marią Filiną, przewodniczącą Związku Kulturalno-Oświatowego Polaków w Gruzji „Polonia”
rozmawia Adam Hlebowicz

Polacy do odkrycia

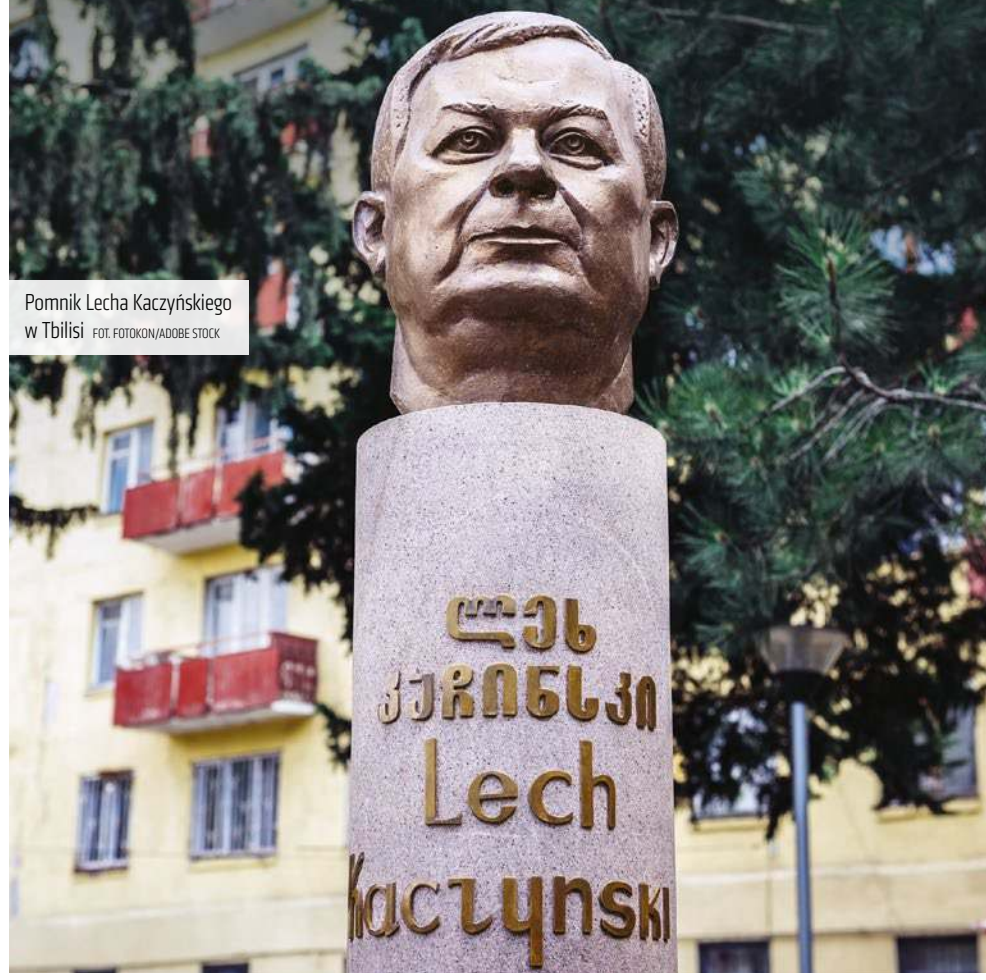

Pomnik Lecha Kaczyńskiego w Tbilisi FOT. FOTOKON/ADOBE STOCK

ADAM HLEBOWICZ: Związek Kulturalno-Oświatowy Polaków w Gruzji „Polonia” powstał przed 30 laty. Kim są Polacy mieszkający we współczesnej Gruzji?

MARIA FILINA: Stowarzyszenie powstało de facto w październiku i listopadzie 1994 r., jednak formalnie zostaliśmy zarejestrowani przez władze gruzińskie 9 lutego 1995 r. Zaczynaliśmy dosłownie od zera. Dlatego że polska mowa i kultura były tutaj już dosłownie w popiołach. Wtedy szukałam ludzi o polskich korzeniach w kościele, na uniwersytecie, a nawet kartkując tbiliską książkę telefoniczną. Dzięki pomocy kolegów z telewizji nakręciliśmy program, gdzie podałam swój numer telefonu z informacją, że organizujemy „Polonię”. Udało się zarejestrować 800 osób. To niemało. Pierwszym naszym zadaniem było stworzenie kursów języka polskiego, ponieważ mało kto z tej grupy posługiwał się mową przodków. Pamiętajmy, że nasze korzenie sięgają XIX i początku XX stulecia, kiedy na Kaukazie w ramach Imperium Rosyjskiego było wielu Polaków, czy to służących w armii carskiej, czy to będących potomkami polskich zesłańców, którzy tworzyli tutejszą inteligencję. Kaukaz nazywano nawet „południową Syberią”, z uwagi na liczbę zsyłanych tu ludzi. Jesteśmy jedną z najstarszych Polonii na świecie z przeszłością liczącą sobie ok. 200 lat. Polscy zesłańcy trafiali do Gruzji po powstaniu kościuszkowskim, w okresie między powstaniami, po spisku Szymona Konarskiego, największa grupa po powstaniu listopadowym. Teraz po 30 latach naszej działalności jest zupełnie inna sytuacja, funkcjonuje Szkółka Języka Polskiego, co prawda, sobotnio-niedzielna, jednak najmłodsi mogą uczyć się mowy polskiej od początku. Oni też regularnie wyjeżdżają na wypoczynek wakacyjny do Polski, co daje im żywy kontakt z językiem i krajem pochodzenia. Wielu absolwentów tej szkoły podjęło studia w Polsce. Naszą specyfiką jest to, że mało kto ma czysto polskie pochodzenie. Zdecydowana większość naszych członków wywodzi się z rodzin mieszanych, w różnych konstelacjach narodowościowych. To jest piąte, szóste pokolenie tych, których przodkowie przybyli na te tereny.

Właśnie te korzenie Polaków gruzińskich są fascynujące. Jesteście w dużej mierze inteligentami, co rzadko się zdarza wśród polskich skupisk rozsianych po świecie.

To prawda, Polacy z Gruzji zawsze stanowili pewnego rodzaju elitę. Ci, którzy tu byli zsyłani, to była głównie szlachta, ludzie o określonych ambicjach patriotycznych, a także intelektualnych. W XIX w. w Tbilisi działała „grupa poetów kaukaskich”, to było prawie 40 osób, choć nie była to grupa literacka w ścisłym

eprasa.pl 46b98675ff

znaczeniu. Wśród nich m.in. Mateusz Gralewski, Tadeusz Łada-Zabłocki, Wojciech Potocki. Grono tych osób stworzyło niejako wizytówkę Polaka w tej części świata. Dlatego, choć nas tu było stosunkowo niewielu, zawsze odgrywaliśmy ważną rolę, w zakresie literatury, architektury, medycyny, nauki itd. Kiedy się odradzaliśmy w latach 90., ok. 80 proc. naszych członków miało wyższe wykształcenie. Najpierw przyszli do Związku ludzie, którzy niczego nie oczekiwali. Oni po prostu chcieli odbudować swoje korzenie, marzyli o powrocie do swojej polskości. Tu nie było środowiska polskiego, je trzeba było dopiero stworzyć. Wtedy, kiedy się porwaliśmy na tworzenie organizacji, w Gruzji była dramatyczna sytuacja ekonomiczna. Początkowo zebrania zarządu odbywały się przy świecach i lampie naftowej. Kryzys gospodarczy dotyczył też naszych członków, więc oprócz odradzania języka polskiego jednym z najważniejszych naszych zadań była zwyczajna, codzienna pomoc materialna dla rodaków.

Czy ważną sprawą było nawiązanie kontaktów z krajem, poszukanie przyjaciół, osób lub instytucji, z którymi można było nawiązać współpracę?

Tak, szybko nawiązaliśmy kontakt ze Stowarzyszeniem Wspólnota Polska, kierowanym wówczas przez prof. Andrzeja Stelmachowskiego. Bardzo ważną sprawą dla nas były wizyty rodaków w Gruzji. Jednym z pierwszych naszych gości był prof. Zbigniew Religa, który w maju 1995 r. przyjechał z grupą lekarzy do Tbilisi, do prof. Wiktora Hetmańskiego, ówcześnie prezesa kardiochirurgów Gruzji. Przywieźli ze sobą mleko, buty, mydło, proszki do prania. U nas wszystkiego tego brakowało. W tamtym czasie pomoc materialna, którą otrzymywaliśmy z kraju, to jednocześnie była pomoc duchowa. Była duża bieda wokół, a jednocześnie taki ogromny głód duchowy. W stosunkowo krótkim czasie udało się zorganizować punkt lekarski, prowadzony przez doktor kardiologii Larysę Metreweli-Zawadę; on początkowo mieścił się u mnie w domu, gdzie za darmo udzielaliśmy pomocy naszym najbardziej potrzebującym rodakom. Mimo że od tamtego czasu minęło tyle lat, a sytuacja medyczna w Gruzji znacznie się poprawiła, pani Larysa nadal jeszcze przyjmuje swoich polskich pacjentów.

W centrum zainteresowania Związku jest jednak głównie nauczanie języka polskiego...

Nasza nauczycielka przysłana przez Ośrodek Rozwoju Polskiej Edukacji za Granicą (ORPEG), pani Beata Karaś, przyjechała do nas na dwa semestry. Teraz jest już z nami 13 lat. Stała się jedną z nas. Zaprosiłam ją na uniwersytet, gdzie także prowadzi zajęcia z języka polskiego. U nas prowadzi sześć grup różnego zaawansowania językowego. Ona stworzyła też chór polonijny, który reprezentuje coraz wyższy poziom. Śpiewają po polsku i po gruzińsku. Przychodzą do nas ludzie w wieku od 17 lat do 70. Każdy ma swoje określone potrzeby. Ktoś się szykuje na studia, na staż, oni chcą Karty Polaka.

Obchodzenie jubileuszy nie powinno być tylko akademią z okazji, ale warto żeby po takim wydarzeniu pozostało coś twórczego, coś, do czego będzie można się w przyszłości odwołać. To zawsze ma być kolejny krok naprzód w opisaniu wzajemnych relacji polsko-gruzińskich

Państwa dorobek to wiele zorganizowanych stojących na wysokim poziomie konferencji naukowych i publikacji będących ich pokłosiem...

W 1998 r. na stulecie urodzin Adama Mickiewicza udało się wspólnym wysiłkiem naszych naukowców, muzyków, malarzy, tłumaczy zorganizować i przeprowadzić dużą konferencję naukową. Wydarzeniom intelektualnym towarzyszyły koncerty muzyczne. Na uniwersytecie zgromadziło się ok. 300 osób, co w życiu naukowym rzadko się zdarza. Oprócz tego udzieliłam prasie – zarówno gruzińskojęzycznej, jak i rosyjskojęzycznej – bardzo wielu wywiadów na temat polskiego wieszcza. O naszej działalności świadczy liczba zorganizowanych konferencji o wielkich Polakach, o polsko-gruzińskich kontaktach – w tym kilku międzynarodowych – oraz sporo tomów pokonferencyjnych, takich jak np. „200 lat Polaków na Kaukazie" (2000), „Etiudy na pograniczu kultur" (2005), „Romantyzm i współczesność. Kontakty polsko-gruzińskie: historia i perspektywy" (2010) oraz sesje: „K.I. Gałczyński wczoraj i dziś" (2005), „Polski Kaukaz. Kontakty polsko-gruzińskie" (2015), „Polska – Gruzja. Dialog przez stulecia" (2022). Bardzo jestem dumna z popularnego opracowania autorstwa prof. Danuty Ossowskiej z Olsztyna i mojego zatytułowanego „Polska spuścizna w Gruzji", które się ukazało przed trzema laty. To kompendium wiedzy o obecności Polaków i ich wkładzie w życie intelektualne, dorobek artystyczny, architektoniczny kraju, gdzie na co dzień mieszkamy. Kiedy mieliśmy święto mniejszości narodowych w Tbilisi, wszyscy wystawiali swoje stoiska, prezentując swoje charakterystyczne produkty; inni pokazywali dywany, wytwory swojej kuchni itd. – my mieliśmy najwięcej albumów i książek spośród wszystkich wystawców. Dla mnie to wielka satysfakcja.

Czy byli i czy są nadal chętni, żeby na stałe wyjechać z Gruzji do Polski? W kraju to ciągle problem nierozwiązany należycie. Ale czy z państwa strony jest oczekiwanie na przyjęcie w kraju?

Z Gruzji przez te 30 lat wyjechało do Polski ok. 30 rodzin. Ta liczba wynika z bardzo skomplikowanej procedury, aby się dostać do ojczyzny na stałe. Wśród tych, którym udało się przesiedlić do kraju, jest np. pochodząca z Achalcyche, na południu kraju, rodzina Poniatowskich. Chętnych jednak jest wielu. Ot, choćby niedawno wspierała mnie w pracy Aldona Jastrzębska, która wyjechała do Polski z synem, ma obecnie polskie obywatelstwo, normalnie pracuje. Ona posiadała dokument o pobycie w łagrze jej dziadka, który zresztą tam zmarł, co znacznie ułatwiło całą procedurę przesiedleńczą. Jednak takich osób posiadających jakąkolwiek dokumentację poświadczającą ich korzenie jest niewiele. Dla ilustracji: pani Kwiatkowska z Gombori chciała wyjechać, już niestety nie żyje, ale tam na prowincji nawet nie miał jej kto przetłumaczyć potrzebnych dokumentów na

eprasa.pl 46b98675ff

wyjazd. Państwo Izrael stosuje w tym względzie inną politykę. Jeśli jesteś Żydem, to oni ci pomogą wyjechać do ojczyzny przodków bez problemu.

A co z innymi skupiskami Polaków w Gruzji? Wiem, że nasi rodacy mieszkają też w Kachetii, Dżawachetii, w innych częściach kraju. Czy współpracujecie ze sobą?

W Kachetii w pewnym momencie były nawet trzy polskie organizacje, przetrwała jedna w Lagodechi. Tam niegdyś Ludwik Młokosiewicz, wybitny polski biolog, stworzył znany do dziś rezerwat przyrody. We wsi Gombori, także w Kachetii, jest trochę polskich rodzin, niegdyś stacjonował tu pułk carskiego wojska, w którym służyło wielu Polaków; ich potomków staramy się wspierać materialnie. Jedna organizacja, bardzo jednak nieliczna, jest w Achalcyche, tuż przy granicy z Armenią. Nowa Polonia, Polacy przybyli do Gruzji w ostatnich latach, stworzyła swoją organizację w Batumi. W Guri są Polacy, którzy powołali także swoją organizację. Staramy się ze wszystkimi współpracować.

We wrześniu 2025 r. zorganizowała pani na Uniwersytecie w Tbilisi imponującą interdyscyplinarną konferencję „Dwa stulecia kontaktów polsko-gruzińskich – w 30-lecie Związku Polaków w Gruzji »Polonia«", gdzie wygłoszono wiele referatów, w tym aż 19 to były głosy badaczy gruzińskich. To przykład znakomitej współpracy pomiędzy naszymi narodami.

Mam taką ideę, że obchodzenie jubileuszy nie powinno być tylko akademią z okazji, ale warto, żeby po takim wydarzeniu pozostało coś twórczego, coś, do czego będzie można się w przyszłości odwołać. To zawsze ma być kolejny krok naprzód w opisaniu wzajemnych relacji polsko-gruzińskich, a także odkrywaniu polskich losów, polskich korzeni na Kaukazie. To już nasza 10. konferencja, gdzie nie tylko podsumowujemy to, co udało się dotąd osiągnąć, lecz także tworzymy nowe obszary badawcze. Konferencje są interdyscyplinarne, historyczne, polonistyczne, językoznawcze, poświęcone sztuce. Temat relacji polsko-gruzińskich jest bardzo rozległy. Po co następna konferencja? – można zapytać. Co tu jeszcze można dodać? A jednak jest bardzo wiele niezbadanych obszarów, które na szczęście się pojawiają na kolejnych naszych sympozjach.

Związek „Polonia" angażuje się również w tworzenie życia artystycznego w Gruzji, gdzie macie spory dorobek.

Nasze koncerty są zawsze wydarzeniami w życiu muzycznym Tbilisi, ponieważ odbywają się w Związku Kompozytorów Gruzji, którego prezesem jest nasz członek, jednocześnie profesor tutejszego konserwatorium, Georgi Szawerzaszwili. Jego babcia o nazwisku Jurkowska była polską hrabiną. Profesor zawsze gra na naszych koncertach, co przyciąga szeroką publiczność. Mieliśmy w przeszłości zespoły kameralne, których koncerty zawsze cieszyły się popularnością. Ostatniej konferencji towarzyszyła wystawa prezentowana na uniwersytecie „Polska architektura w Gruzji", której towarzyszyły wycieczki po Tbilisi śladem polskich architektów i wzniesionych przez nich budowli.

Wśród waszych członków nigdy nie brakowało, oprócz wspomnianych już muzyków, innych artystów?

Tak, np. Eldar Szengełaja, wybitny reżyser filmowy, był naszym członkiem. Matka jego żony, legendarnej aktorki, była Polką. Czasami żartem mówię, że co 20. Gruzin przyznaje się do babci Polki. Malarze, Aleksy Bałabujew-Czepowski, Nadieżda Dąbrowska, Henryetta Justyńska, Helena Rodkiewicz, Helena Tułaszwili-Młokosiewicz, wnuczka Ludwika, to ludzie bardzo z nami związani, większość z nich już odeszła w ostatnich latach. W tym roku pokazywana jest kolejna wystawa polskiego malarstwa w Gruzji. W tutejszej Akademii Sztuk Pięknych pracuje architekt Tomaszewicz, on ma Kartę Polaka, jest naszym wychowankiem. Jest Aleks Berdyszew, który nosi w sobie polską krew. Jego żona, Nino Kierteszawa, miała też babcię Polkę. Wciąż kolejne osoby odkrywają swoje polskie korzenie.

Przez wieki Kościół katolicki na ziemiach wschodnich był utożsamiany z polskością. Podobnie na Kaukazie. Tu ks. Maksymilian Orłowski w latach 1871–1877 wybudował działający do dzisiaj Kościół św. Piotra i Pawła. Jak wygląda obecnie obecność języka i kultury polskiej w tutejszym Kościele katolickim?

Kościół był zawsze dla nas źródłem duchowości. Polacy przez stulecia dominowali w tutejszej wspólnocie rzymskokatolickiej. Dzisiaj się to pozmieniało, bo jesteśmy w miejscowym kościele mniejszością. Proboszcz tbiliski, ks. Maciej Mamaj, jest Polakiem. Raz na miesiąc jest polska Msza św., nie jest jednak masowo uczęszczana. Pracują w Gruzji także zakonnicy, kamilianie i salezjanie z Polski. Dodać trzeba, że dzisiaj misja tutejszego Kościoła bardzo mocno wiąże się z pomocą materialną, nie tylko zresztą dla katolików. Dbamy również o polskie mogiły na starym Cmentarzu Kukia, gdzie regularnie przychodzą dzieci z naszej szkoły porządkować te miejsca. Najliczniej odwiedzany jest grób Dagny Przybyszewskiej, Norweżki, pisarki i pianistki, żony Stanisława Przybyszewskiego, tragicznie zmarłej od kuli swego wielbiciela.

Cieszyć mogą przybysza z ojczyzny takie miejsca jak ulice, aleje, place w stolicy Gruzji nazwane imionami wybitnych Polaków. Jak udaje się przekonać władze gruzińskie do kolejnych takich inicjatyw?

Pierwsza była ulica Mickiewicza, on jeszcze za swego życia był osobą znaną w Gruzji. Jest ulica braci Ilji i Cyryla Zdaniewiczów, wnuków polskiego zesłańca, którzy byli malarzami. To oni odkryli dla świata twórczość Niko Pirosmaniego, oryginalnego malarza prymitywisty. Jest Aleja Józefa Piłsudskiego, który ma wielkie zasługi dla niepodległej Gruzji w postaci uchronienia oficerów Gruzinów, zbiegłych z ojczyzny, w przedwojennej armii polskiej. Są ulica i pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który nie tak dawno upominał się o wolność Gruzji i innych krajów naszego regionu. Teraz, przy okazji naszego 30-lecia, udało się nazwać ulicę imieniem wybitnego polskiego architekta Aleksandra Szymkiewicza, który nad rzeką Kurą wybudował perły architektury, w tym piękny budynek Szkoły Muzycznej, Sąd Najwyższy, imponujący Teatr Akademicki im. Rustawelego. Są w naszej stolicy także oryginalne budowle zaprojektowane przez Aleksandra S. Rogojskiego czy Mikołaja Obołońskiego. Mam głębokie przekonanie, że jeszcze wielu Polaków z Kaukazu czeka na swoje odkrycie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor rozmowy jest pracownikiem IPN.



Maria Filina *– filolog, profesor Uniwersytetu Tbiliskiego, założycielka i przewodnicząca Związku Kulturalno-Oświatowego Polaków w Gruzji „Polonia".*

eprasa.pl 46b98675ff



Filip Memches

Futbol jako opowieść o inkluzywności



Kadr z mundialowego meczu Portugalia – Uzbekistan, Houston, 23 czerwca 2026 r. Ekipa z Europy (czerwone stroje) pokonała Azjatów (białe stroje) 5:0 FOT. PABLO MORANO / IMAGO SPORT / FORUM

Zwiększanie liczby uczestników mundiali jest odzwierciedleniem rozmaitych zjawisk politycznych, ekonomicznych, kulturowych. Do globalnego piłkarstwa wkradła się ideologia bazująca na lewicowej teorii krytycznej

Tegoroczne mistrzostwa świata w piłce nożnej są wyjątkowe. Po raz pierwszy mundial odbywa się w aż trzech państwach (w Meksyku, USA i Kanadzie), ale istotną nowością jest zwiększenie liczby uczestników turnieju z 32 do 48. Ta zmiana w liczbach obrazuje procesy, które dokonują się w globalnym piłkarstwie. Stanowią one odzwierciedlenie rozmaitych zjawisk politycznych, ekonomicznych, kulturowych. Nic dziwnego, mamy tu bowiem do czynienia z czymś dużo więcej niż dyscypliną sportu wyczynowego. Globalne piłkarstwo to segment przemysłu rozrywkowego, który przynosi zyski w dziesiątkach miliardów dolarów rocznie.

Ale z zarabianiem pieniędzy na zawodach sportowych i wszystkim, co im towarzyszy (zwłaszcza chodzi o transmisje telewizyjne, internetowe, radiowe z imprez czy reklamy), idzie w parze określona ideologia. Ona nie jest przez Międzynarodową Federację Piłkarską (FIFA) głoszona expressis verbis, ale w różnych sytuacjach zaznacza swoją obecność. Ideologia ta zakłada, że to, co jest przywilejem jakiejś elity, powinno się stać udziałem całej społeczności – w tym przypadku w skali świata.

NIE TYLKO ILOŚĆ, LECZ TAKŻE JAKOŚĆ

Wzrost liczby uczestników mundialu jest tego wymownym znakiem. To zresztą proces długotrwały. Jeszcze podczas mistrzostw świata w Argentynie w roku 1978 w turnieju brało udział 16 ekip. Potem, od mundialu w Hiszpanii w roku 1982, było ich 24. Wreszcie od mistrzostw świata we Francji w roku 1998 o najwyższe – dla piłkarskich reprezentacji narodowych – trofeum rywalizowały 32 drużyny.

Ale chodzi nie tylko o ilość, lecz także o jakość. I tu trzeba wyjaśnić strukturę organizacyjną globalnego piłkarstwa. Poszczególne federacje narodowe – jak choćby Polski Związek Piłki Nożnej – należą do kontynentalnych konfederacji, których jest sześć. To: Unia Europejskich Związków Piłkarskich (UEFA), Południowoamerykańska Konfederacja Piłkarska (CONMEBOL), Afrykańska Konfederacja Piłkarska (CAF), Azjatycka Konfederacja Piłkarska (AFC), Konfederacja Piłki Nożnej Ameryki Północnej, Środkowej i Karaibów (CONCACAF) oraz Konfederacja Piłkarska Oceanii (OFC). Mamy tu zatem do czynienia z podziałem na strefy wedle kryteriów geograficznych. W każdej z nich odbywają się eliminacje, które wyłaniają uczestników mundiali. I każdej konfederacji przypada na turniejach określona liczba miejsc. Do końca lat 70. najwięcej ich należało do Europy. Mniej posiadała Ameryka Południowa (bo w ogóle CONMEBOL ma mniej członków niż UEFA). Pozostałe konfederacje zaś otrzymywały zaledwie po jednym miejscu. Takie dysproporcje wynikały z tego, że elitę globalnego piłkarstwa stanowiły kraje europejskie i południowoamerykańskie. Jednak od lat 80. zaczęło się to zmieniać. Nastąpiła ewolucja, której skutek jest widoczny w trakcie tegorocznego mundialu: na Europę i Amerykę Południową przypada mniej miejsc niż na całą resztę, uchodzącą niegdyś za piłkarski Trzeci Świat.

Jak wiadomo, ojczyzną piłki nożnej jest Anglia. Początkowo była to dyscyplina sportu uprawiana przez wyżyny społeczne w tym kraju, ale szybko nastąpiło jej upowszechnienie. Futbol nabrał charakteru masowego – piłkę kopali mężczyźni niezależnie od swojego statusu społecznego. Gdy zatem rozpoczęły się rozgrywki międzynarodowe, to nie poziom życia mieszkańców danego kraju był wyznacznikiem siły jego futbolowej reprezentacji. W okresie międzywojennym kraje Ameryki Południowej nie należały do bogatej części świata.

eprasa.pl 46b98675ff

A jednak reprezentacje Urugwaju, Argentyny, Brazylii już wtedy były piłkarskimi potęgami. To właśnie Urugwajczycy zostali w roku 1930 pierwszymi piłkarskimi mistrzami świata. W piłce nożnej zatem zarysował się międzynarodowy podział, ale w oparciu o umiejętności i osiągnięcia: elitę stanowiły Europa oraz Ameryka Południowa, a cała reszta była Trzecim Światem.

WALKA Z RASIZMEM, ALE JUŻ NIE Z KOMUNIZMEM

Wróćmy jednak do ideologii, która wkradła się do globalnego piłkarstwa. Mechanizm jest ten sam, który można dostrzec w innych dziedzinach życia społecznego, przeoranych przez wpływ tzw. teorii krytycznej. Narodziła się ona w hermetycznych kręgach akademickich na Zachodzie w drugiej połowie XX w. Jej założenia można streścić następująco: zachodni paradygmat cywilizacyjny ustanowił władzę białych, heteroseksualnych mężczyzn ciemiężących czarną ludność, mniejszości seksualne, kobiety. Początkowo teoria krytyczna służyła jako narzędzie do rozważań nad rzekomo represyjnymi strukturami ukrytymi za fasadą bogatych społeczeństw konsumpcyjnych. Wprzęgnięta też była w piętnowanie kolonializmu. Tyle że same rozmyślania lewicowych intelektualistów nie zadowalają. Ambicje tych ludzi sformułował Karol Marks w słynnych słowach: „Filozofowie rozmaicie tylko interpretowali świat; idzie jednak o to, aby go zmienić". W krajach zachodnich teoria krytyczna podbijała więc nie tylko uniwersytety, lecz także kulturę i media. Jej adepci rozpoczęli „marsz przez instytucje". Choć w negatywnym świetle przedstawiała ona kapitalizm, to zarazem weszła z nim w symbiozę. Okazało się, że bunt przeciw zastanej rzeczywistości w imię wzniosłych ideałów można skomercjalizować.

W konsekwencji teoria krytyczna przeniknęła do amerykańskiego życia publicznego, czego konsekwencją stało się w USA przyjmowanie przez korporacje strategii DEI, czyli Diversity, Equity, Inclusion (Różnorodność, Równość, Inkluzywność). Szefowie wielkich firm uznali, że mogą odnieść korzyści z tego, iż troskę o zyski ekonomiczne połączą z naprawianiem świata polegającym na walce z rasizmem, „homofobią", „seksizmem". Tym samym korporacje miały zdobyć przychylność lewicowych elit intelektualnych, które coraz bardziej oddziaływały na społeczeństwo amerykańskie.

Ale chodzi przecież o procesy, które nie ograniczają się do USA. Cały Zachód znalazł się pod wpływem teorii krytycznej, a za jego pośrednictwem dotarł do instytucji międzynarodowych. Wśród nich są także te, które zarządzają konkurencjami sportów wyczynowych. Trzeba powiedzieć wprost: ideologia obecna w globalnym piłkarstwie bazuje na teorii krytycznej. Działacze organizacji futbolowych nie stronią bowiem od inicjatyw, którym przyświeca choćby walka z rasizmem czy „homofobią". A że towarzyszy to czemuś całkiem przyziemnemu, bo zarabianiu kroci – tym lepiej. Można więc się tu dopatrzyć strategii DEI.

Jednocześnie ideologia, o której mowa, koliduje z ludowymi emocjami wyrażanymi przez wiele grup kibicowskich – tzw. ultras. Przy czym chodzi o środowiska wyrażające bardziej przywiązanie do barw klubowych niż narodowych, lecz zarazem odwołujące się do historycznych resentymentów będących paliwem dla nacjonalizmów. Ultras odrzucają – nieraz w niewybrednych słowach – ideologię globalnego piłkarstwa, czemu dają upust na stadionach, gdy skandują politycznie niepoprawne treści. Można tu wymienić grupy kibicujące takim klubom, jak Legia Warszawa, Lazio Rzym, Dinamo Zagrzeb czy Glasgow Rangers. Przy czym to znamienne, że UEFA, słusznie walcząc z obecnością na stadionach symboliki rasistowskiej czy nazistowskiej, jednocześnie okazuje wyrozumiałość wobec emblematów komunizmu.

W tym konflikcie zinstytucjonalizowanego globalnego piłkarstwa z masami zwykłych kibiców można zresztą zauważyć zjawisko znane z polityki. Kiedy „kawiorowa" lewica próbuje, poprzez rozmaite akcje afirmatywne, zaszczepić – rzecz jasna, w imię różnorodności, równości, inkluzywności – wśród ludu aprobatę dla rozmaitych dziwactw obyczajowych (jak „małżeństwa" jednopłciowe), napotyka jego opór. Prawdziwki z plebsu wykazują się bowiem konserwatyzmem, więc nie dają się ideologicznie urobić oderwanym od rzeczywistości społecznej intelektualistom.

STRATEGIA DEI NIC NIE DA

Na koniec jednak trzeba sobie odpowiedzieć na stricte piłkarskie pytanie: Czy to, co niegdyś uchodziło za futbolowy Trzeci Świat, jest nadal sportowo słabe i nie zasługuje na to, żeby mieć na mundialach więcej miejsc niż w przeszłości?

Jeśli chodzi o odpowiedź na pierwszą część tego pytania, to oczywiście brzmi ona: nie, czego zresztą dowodzi tegoroczny turniej. To nie pierwsze mistrzostwa świata, gdy reprezentacje krajów afrykańskich i azjatyckich pokazują, że są w stanie mierzyć się z najlepszymi jedenastkami narodowymi świata, jak równy z równym. Poziom piłki nożnej na peryferiach bardzo się podniósł. To skutek globalizacji.

Niemniej – i tu dochodzimy do odpowiedzi na drugą część pytania – nie powinno się przemilczać tego, że zwiększenie liczby uczestników mundialu z 32 do 48, w dodatku, co należy podkreślić, z ukłonem w stronę dawnego piłkarskiego Trzeciego Świata, jest już przesadą. Jaki bowiem sens ma rozbudowa turnieju dla reprezentacji narodowych Iraku, Tunezji czy Uzbekistanu, które swoją grą mocno odstawały od swoich przeciwników? A przecież nie są to drużyny grające lepiej niż reprezentacje narodowe Włoch czy Danii. Tym zespołom zaś nie udało się awansować na mundial, bo w Europie silnych ekip reprezentacyjnych jest aż nadto.

Rzecz jasna, rozbudowie turnieju przyświecają względy merkantylne. Ale jednocześnie mamy tu do czynienia z wdrażaniem różnorodności, równości, inkluzywności. Tyle że w sporcie wyczynowym chodzi o coś innego niż narzucanie mu tej ideologicznej triady.

Do tej pory mundiale odbyły się 22. Spośród drużyn spoza Europy oraz Ameryki Południowej do pierwszej czwórki mistrzostw zdarzyło się awansować tylko trzem, i tylko po jednym razie. Chodzi o USA (trzecie miejsce w roku 1930), Koreę Południową (czwarte miejsce w roku 2002) i Maroko (czwarte miejsce w roku 2022). Statystyka nie kłamie. Futbol to jednak wciąż domena Europy oraz Ameryki Południowej. I wdrażaniem DEI tego zmienić nie sposób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



FOT. ADOBE STOCK

Ludzie kontra maszyny

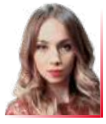

Maria Kądzielska-Koper

Filipiny drżą ze strachu, że sztuczna inteligencja wyśle 2 mln osób na bezrobocie, a tym samym pogrąży piątą największą gospodarkę w Azji Południowo-Wschodniej. Ten sam dreszcz, choć ciszej, zaczyna przechodzić przez polskie wieżowce w Krakowie i Warszawie, gdzie blisko pół miliona ludzi żyje z dokładnie tego samego modelu

Każdej nocy, gdy Ameryka kładzie się spać, Manila zakłada słuchawki. W błyszczących wieżowcach dzielnicy Bonifacio Global City i w dziesiątkach prowincjonalnych miast prawie 2 mln Filipińczyków odbiera telefony, odpowiada na czaty i rozwiązuje problemy klientów z drugiego końca świata. To oni dzwonią, gdy nie działa karta kredytowa wydana w Teksasie albo gdy trzeba zmienić rezerwację lotu z Londynu. Filipiny są dziś największym na świecie ośrodkiem obsługi klienta, a cały sektor outsourcingu usług biznesowych, znany pod skrótem BPO, stał się jednym z filarów krajowej gospodarki.

Skala robi wrażenie. Branża informatyczna i obsługi procesów biznesowych, oficjalnie nazywana IT-BPM, ma w 2026 r. osiągnąć przychody rzędu 42 mld dol. i zatrudniać blisko 1,97 mln ludzi. To kręgosłup filipińskiej klasy średniej: stabilna praca, pensje wyższe od krajowej średniej i drabina awansu dla milionów młodych absolwentów szkół wyższych. Przez ćwierć wieku model wydawał się niezniszczalny. Opierał się na prostej arytmetyce: filipiński konsultant mówi po angielsku z neutralnym, zrozumiałym dla Amerykanina akcentem, a kosztuje ułamek tego, co pracownik w Stanach Zjednoczonych. Ekonomiści nazywają to arbitrażem kosztów pracy. I właśnie ten fundament zaczyna drżeć w posadach.

Dla polskiego pracownika to nie jest egzotyczna historia z drugiego końca świata. To zapowiedź sprawdzianu, przed którym za moment stanie jeden z najważniejszych sektorów nad Wisłą. Bo Polska gra w tej samej lidze, w której Filipiny grają od ćwierć wieku, tylko my dołączyliśmy do niej później i pod nieco inną nazwą.

GDY MASZYNA PRZEJMUJE PIERWSZĄ LINIĘ

W lutym 2026 r. Międzynarodowa Organizacja Pracy (ILO), wyspecjalizowana agenda ONZ, opublikowała brief badawczy, który w Manili odbił się szerokim echem. Wynika z niego, że ponad jedna czwarta filipińskich miejsc pracy, czyli ok. 12,7 mln stanowisk, jest narażona na oddziaływanie generatywnej sztucznej inteligencji. To najwyższy wskaźnik w całym regionie Azji Południowo-Wschodniej, wyraźnie wyższy niż 21–22 proc. notowane w Indonezji, Tajlandii czy Wietnamie.

Nie jest przypadkiem, że to akurat Filipiny są najbardziej wystawione na taki cios. Jak zauważyła ILO w dokumencie, ta różnica wynika z nietypowej struktury filipińskiej gospodarki, opartej na

eprasa.pl 46b98675ff

usługach wiedzy, a zwłaszcza na sektorze IT-BPM. Innymi słowy: kraj jest w tarapatach dokładnie dlatego, że odniósł sukces. Wśród najbardziej zagrożonych grup organizacja wskazała pracowników biurowych i administracyjnych, których w kraju jest ok. 3,5 mln, w dużej części skupionych właśnie w call center i firmach outsourcingowych.

Trzeba jednak czytać te liczby uczciwie, bo sama ILO przestrzega przed nadinterpretacją. Agencja podkreśla, że narażenie nie oznacza automatycznie utraty pracy, lecz raczej przekształcenie zadań w ramach danego zawodu. Tylko 3,6 proc. stanowisk trafiło do kategorii o najwyższym ryzyku faktycznego zastąpienia przez maszynę. Reszta to raczej zmiana charakteru pracy niż jej zniknięcie.

Najnowsza generacja systemów, określanych jako agenci AI, czyli autonomiczni agenci potrafiący samodzielnie przeprowadzić wieloetapową rozmowę z klientem, w najbardziej zaawansowanych operacjach rozwiązuje już większość rutynowych zapytań konsumenckich bez udziału człowieka. To uderza w samo serce filipińskiego modelu, bo właśnie te proste, powtarzalne rozmowy były pierwszym szczeblem kariery dla setek tysięcy młodych ludzi.

Sygnały płyną też z Zachodu, czyli stamtąd, skąd zarówno do Manili, jak i do Krakowa spływają zlecenia. We wrześniu 2025 r. Marc Benioff, szef amerykańskiego giganta oprogramowania Salesforce, ogłosił, że firma zlikwidowała 4 tys. stanowisk w obsłudze klienta, a pozostałym pracownikom kazała dzielić się obowiązkami z agentami AI. Dla branży, która żyje z obsługi takich właśnie korporacji, to nie jest abstrakcja, lecz zapowiedź tego, co może przyjść z opóźnieniem najpierw do Manili, a potem do polskich biurowców.

Najmocniej alarmują związkowcy. Mylene Cabalona, przewodnicząca związku pracowników sektora outsourcingu BIEN (BPO Industry Employees Network), w rozmowie przytoczonej w marcu 2026 r. przez portal Davao Today opisała mechanizm, który napawa ją niepokojem. Jej zdaniem firmy coraz częściej używają AI nie po to, by ulżyć ludziom w pracy, lecz by ich zastąpić. Wskazała przykład pracowników kontroli jakości, których obowiązki przejęło oprogramowanie automatycznie oceniające rozmowy z klientami. Setki osób trafiły wtedy na tzw. floating status albo straciły zatrudnienie. Dodała ona, że narzędzia AI często służą zarządom do podnoszenia norm wydajności, co tylko zwiększa presję na ludzi.

Jeśli AI radykalnie obniży koszt obsługi klienta, to firmy mogą zacząć obsługiwać znacznie więcej spraw, a popyt na ludzi nadzorujących, korygujących i uzupełniających pracę maszyn wcale nie musi zniknąć

Jeszcze ostrzejszą prognozę przytoczył ten sam portal, powołując się na Emmanuela Lallanę, znanego filipińskiego eksperta od polityki cyfrowej i wykładowcę Uniwersytetu Filipińskiego. Ostrzegł on, że jedna z dużych firm prognozuje w skali kraju netto ok. 300 tys. utraconych miejsc pracy w sektorze w ciągu najbliższych pięciu lat, podczas gdy nowych powstać ma jedynie ok. 100 tys. To bilans, który w branży zatrudniającej 2 mln ludzi brzmi jak ostrzeżenie przed cichą falą zwolnień.

TO SAMO DRŻENIE NAD WISŁĄ

Polska nie jest tu widzem zza szyby. Pierwsze rysy widać już w statystykach urzędów pracy. Sam krakowski urząd pracy podał, że do końca września 2025 r. przeprowadzenie zwolnień grupowych zgłosiło tam 10 firm z sektora usług biznesowych, czyli dwa razy więcej niż w całym 2024 r. Natomiast plany na 2026 r. objęły prawie 1,8 tys. osób, podczas gdy rok wcześniej było to 727 pracowników. Paweł Panczyj z ABSL (Związku Liderów Sektora Usług Biznesowych) nie wykluczał, że w kolejnych miesiącach redukcji będzie więcej. To wciąż kropla w morzu prawie półmilionowego zatrudnienia, ale kierunek jest niepokojąco zbieżny z filipińskim.

Co ważniejsze, polskie firmy same przyznają, dokąd zmierzają. Z raportu ABSL wynika, że automatyzację jako główny element transformacji wskazuje ponad 90 proc. centrów, a sztuczna inteligencja jest już wykorzystywana do zadań poznawczych przez 90 proc. firm w sektorze. Ponad 74 proc. ośrodków używa inteligentnej automatyzacji do przyspieszania prostych procesów. Efekt widać w strukturze pracy: udział najprostszych zadań typu back office spadł w Polsce o ponad 10 punktów procentowych w ciągu pięciu lat, co przedstawiciele branży wprost wiążą z automatyzacją. Innymi słowy, te same proste rozmowy i powtarzalne czynności, które na Filipinach były pierwszym szczeblem kariery, w Polsce po cichu znikają już dziś.

Tyle że dane przeczą katastroficznym scenariuszom, a przynajmniej na razie, i to po obu stronach globu. Mimo zalewu doniesień o końcu call center filipiński sektor wciąż rośnie, i to szybciej niż reszta świata. Jack Madrid, prezes i dyrektor generalny branżowej organizacji IBPAP zrzeszającej firmy outsourcingowe, podczas szczytu sektora jesienią 2025 r. mówił, że Filipiny rozwijają się w tempie 5 proc. rocznie, wobec 3 proc. średniej światowej. Jego diagnoza była jednak ostrożna: „Wyprzedzamy globalny wzrost, ale sam wzrost nie zabezpieczy naszej przyszłości. Zrobi to transformacja" – stwierdził. Madrid przekonuje, że AI ma być narzędziem wspomagającym, a nie zastępującym ludzi, a filipińską przewagą pozostaje połączenie technologii z empatią i zaufaniem.

Branża podpiera się też konkretami. Customer Xperience Association of the Philippines (CXAP), organizacja zrzeszająca firmy z sektora obsługi klienta, w doniesieniu z czerwca 2026 r., opartym na materiałach telewizji ABS-CBN, przedstawiła dane mające obalić tezę o zagładzie miejsc pracy. Według nich zatrudnienie w branży rośnie, a nie spada, podobnie jak przychód przypadający na jednego pracownika. Haidee Enriquez, przewodnicząca CXAP, wymieniła wręcz nowe zawody, które tworzy AI: inżynierów promptów, trenerów modeli, kontrolerów jakości AI i specjalistów od etyki sztucznej inteligencji.

Polskie liczby opowiadają niemal tę samą historię. Zapowiadane cięcia na razie nie przebijają się do ogólnych statystyk: sektor w pierwszym kwartale

eprasa.pl 46b98675ff

2025 r. wciąż rósł o 6,2 proc. rok do roku, a Warszawa, Kraków i Wrocław odpowiadały za dwie trzecie przyrostu miejsc pracy. Tyle że – jak podkreśla ABSL – charakter tych miejsc się zmienia. Polska coraz wyraźniej przestaje być tanią lokalizacją do masowej obsługi, a staje się hubem kompetencyjnym, w którym liczą się eksperci od IT, analityki danych, finansów i badań nad rozwojem. Nowe centra otwierane w latach 2024 i 2025 w większości zajmują się właśnie informatyką oraz badaniami i rozwojem, a nie prostą obsługą telefoniczną. To dokładnie ta sama recepta, którą głoszą Filipińczycy: uciekać do góry, ku zadaniom, których maszyna jeszcze nie przejmie.

PARADOKS, KTÓRY TŁUMACZY WSZYSTKO

Jak pogodzić te dwa obrazy, skoro maszyny przejmują rozmowy, a zatrudnienie mimo to rośnie? Odpowiedzi udzielił Torsten Slok, główny ekonomista amerykańskiego funduszu Apollo, jeden z częściej cytowanych analityków rynkowych. We wpisie przytoczonym w maju 2026 r. przez magazyn „Fortune" zwrócił uwagę, że zatrudnienie w filipińskich call center rosło rok w rok od 2016 do 2025 r., niemal się podwajając, a stopa bezrobocia w kraju spadła w tym czasie z 9 do ok. 4 proc. „To paradoks Jevonsa w działaniu" – napisał Slok. Chodzi o nawiązanie do obserwacji XIX-wiecznego brytyjskiego ekonomisty Williama Jevonsa, który zauważył, że gdy maszyny parowe stały się wydajniejsze, zużycie węgla nie spadło, lecz wzrosło, bo tańsza energia otworzyła zupełnie nowe zastosowania. Przełożone na dziś: jeśli AI radykalnie obniży koszt obsługi klienta, to firmy mogą zacząć obsługiwać znacznie więcej spraw, a popyt na ludzi nadzorujących, korygujących i uzupełniających pracę maszyn wcale nie musi zniknąć. Tańsza obsługa to po prostu więcej obsługi.

Ale paradoks Jevonsa to za mało, by spać spokojnie. Coraz częściej pojawia się bowiem inna diagnoza: nie tyle koniec branży, ile jej rozwarstwienie. W analizie opublikowanej w maju 2026 r. przez serwis Inquirer pojawiła się sugestia, że filipiński sektor rozpada się na dwie warstwy. Na górze garstka firm opanowuje zaawansowane systemy AI i sprzedaje drogie, eksperckie usługi, zgarniając premię za to, co bywa nazywane arbitrażem inteligencji. Na dole reszta wciąż konkuruje wyłącznie ceną na coraz bardziej zautomatyzowanym i bezlitosnym rynku. Zagrożeniem nie jest więc zniknięcie całej branży, lecz to, że tysiące najprostszych stanowisk wyparują, a w ich miejsce powstaną nieliczne, ale wymagające zupełnie innych kompetencji.

I tu polska analogia staje się aż niewygodnie dokładna. Bo przesunięcie ku specjalistom, którym chwali się ABSL, ma drugą, mniej eksponowaną stronę. Awans dla jednych oznacza zsunięcie się na margines dla innych. Pracownik, który dziś odbiera proste zgłoszenia w jednym języku za nieco ponad krajową średnią, niekoniecznie z dnia na dzień stanie się inżynierem promptów czy analitykiem danych. Polski sektor, podobnie jak filipiński, dzieli się po cichu na garstkę dobrze opłacanych ekspertów i resztę, której rutynowe zadania najłatwiej powierzyć algorytmowi albo przenieść do jeszcze tańszej lokalizacji, np. do Indii.

TO TAKŻE NASZ PROBLEM. DLACZEGO?

Po pierwsze, te same korporacje z Zachodu, które tną etaty w obsłudze klienta, są klientami zarówno filipińskich, jak i polskich centrów. Decyzja w stylu Salesforce nie zatrzymuje się na granicy jednego kraju. Jeśli amerykański czy niemiecki bank uzna, że agent AI obsłuży rutynowe zgłoszenie taniej niż człowiek, to zlecenie zniknie niezależnie od tego, czy człowiek ten siedział w Manili czy we Wrocławiu. Polska i Filipiny nie są więc rywalami po przeciwnych stronach barykady, lecz dwoma ogniwami tego samego łańcucha, w który uderza ta sama siła.

Po drugie, automatyzacja zmienia samą geografię outsourcingu. Dopóki liczył się koszt ludzkiej pracy, dopóty Europa Zachodnia chętnie wysyłała obsługę do tańszej Polski, a Ameryka na Filipiny. Kiedy najtańszym pracownikiem staje się algorytm, znika część przewagi, na której zbudowano polski sukces. Tańsze lokalizacje, jak Indie, naciskają od dołu, a sztuczna inteligencja podgryza model od środka. Polski sektor usług, owe 5,7 proc. PKB, opiera się na tym samym arbitrażu kosztów pracy, który dla Filipin okazuje się dziś piętą achillesową.

Po trzecie, jest wymiar po prostu ludzki i społeczny. Pół miliona zatrudnionych w polskich centrach to często młodzi ludzie po studiach, dla których ta praca jest pierwszym poważnym etatem, wejściem do klasy średniej, sposobem na kredyt i mieszkanie w dużym mieście. To również ważne źródło miejsc pracy dla absolwentów filologii i kierunków humanistycznych, dla których rynek poza usługami bywa wąski. Jeżeli najniższy szczebel tej drabiny zostanie wycięty przez automaty, to zniknie ścieżka, którą całe pokolenie weszło do gospodarki opartej na wiedzy. To samo pytanie, które dziś zadaje sobie młody Filipińczyk, za chwilę zada sobie absolwent z Krakowa czy Wrocławia.

Filipiny stoją więc przed pytaniem, którego przez ćwierć wieku nie musiały sobie zadawać. Model oparty na arbitrażu kosztów pracy, na tym, że Filipińczyk wykona tę samą rozmowę taniej niż Amerykanin, zbudował klasę średnią i zasilił gospodarkę dziesiątkami miliardów dolarów. Teraz na horyzoncie pojawia się arbitraż automatyzacji, w którym najtańszym pracownikiem nie jest już człowiek z Manili, lecz algorytm, który nie śpi, nie choruje i nie prosi o podwyżkę.

Rząd i branża – zarówno na Filipinach, jak i w Polsce – stawiają na tę samą strategię: przekwalifikowanie, czyli masowe szkolenie konsultantów w obsłudze i nadzorowaniu AI. To rozsądna recepta, ale – jak zauważają eksperci po obu stronach – dla części pracowników będzie ona oznaczać awans, a dla innych zsunięcie się na margines. Filipiny były pierwszym wielkim azjatyckim cudem zbudowanym nie na produkcji, lecz na usługach. Dlatego są też pierwszym poligonem, na którym sprawdzi się, czy sztuczna inteligencja zmiata miejsca pracy czy tylko je przemeblowuje.

Polska może patrzeć na ten poligon nie z ciekawością turysty, lecz z uwagą kogoś, kto za moment stanie w tym samym miejscu. To, co dziś dzieje się w słuchawkach w Manili, jutro zapuka do biurowców w Krakowie, Warszawie i we Wrocławiu. Filipiny dają nam coś bezcennego: kilka lat wyprzedzenia i gotowy podręcznik błędów. Pytanie nie brzmi już, czy fala dotrze także do nas, lecz czy zdążymy się do niej przygotować, zanim rozbije się o polski brzeg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



PROSTO ZYGZAKIEM

Cieśnina Trumpa, dawniej: Ormuz

PIOTR GABRYEL

Jak wiadomo, prezydent USA Donald Trump jest tak bardzo łasy na wszelkie pochwały i wszystkie inne, nawet – a może zwłaszcza, a może przede wszystkim – te żenująco żenujące wrzutki wazeliniarzy, jak chyba żaden z jego dziesiątków poprzedników na tym urzędzie. Jest na nie tak łasy jak dziecko na łakocie i w dodatku w dziecinny sposób nie umie się powstrzymywać przed nieustannym ujawnianiem tej swojej słabości.

Dowodów na Trumpową łasość na peany pod swym adresem mamy już co niemiara, a każdy kolejny dzień przynosi wciąż nowe i nowe. Na czele z nieznośnym i niekończącym się domaganiem się dla siebie Pokojowej Nagrody Nobla, co doprowadziło już do wywołania niejednego skandalu, w tym tego w Polsce.

Wydaje się więc, że w tej sytuacji wypadałoby jakoś zadośćuczynić owemu nieposkromionemu pragnieniu Donalda Trumpa i we właściwy sposób go docenić, honorując to, co naprawdę za swoich rządów na świecie zmienił. A jedną z takich zmian, która z całą – niekwestionowaną przez nikogo – pewnością dokonała się właśnie za jego sprawą (inna sprawa, że oczywiście co najmniej za podszeptem złego ducha, czyli premiera Izraela Beniamina Netanjahu), i to dokonała się – jak się wydaje – już nieodwołalnie, nieodwracalnie, jest zmiana sposobu funkcjonowania cieśniny Ormuz. Cieśniny, przez którą do czasu rozpętania przez Trumpa wojny z Iranem płynęło w świat (m.in. do naszej Europy) aż 20 proc. transportowanej drogą morską ropy naftowej. I to płynęło bez żadnych opłat za korzystanie z tej cieśniny i w sposób stosunkowo bezpieczny.

Płynęło, lecz od ataku Trumpa na Iran już nie płynie. I jak wiele na to wskazuje – choćby nie wiem, jak bardzo Trump by się napinał i jak stanowczo by zaprzeczał – już w ten sposób co dawniej nie popłynie. A jeśli kiedyś popłynie, to jednak za opłatą, którą narzuci albo sam Iran, albo Iran do spółki z Omanem – o czym się mówi i pisze coraz częściej. W każdym razie – jak uznał na portalu Semafor jego komentator Tim McDonnell – „nawet jeśli dzięki porozumieniu USA i Iranu ruch tankowców wróci do poziomu sprzed blokady cieśniny Ormuz, to nigdy już nie będzie ona tak naprawdę »otwarta«".

I to jest właśnie ta historyczna – w tym przypadku w najgorszym z możliwych sensie – zmiana, której dokonał prezydent Trump, i właśnie z tego powodu cieśnina Ormuz powinna od tej pory – a choćby i od dziś – nosić jego imię, czyli stać się cieśniną Trumpa. Na „cześć" Donalda Trumpa, który w ten sposób trwale podniósł nam wszystkim, na całym świecie – o wysokość tej właśnie przyszłej opłaty za przepłynięcie cieśniny Trumpa (dawniej: Ormuz) – cenę benzyny i diesla w naszych autach. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Milczcie!

ŁUKASZ WARZECHA

Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia" – ten pamiętny wpis pojawił się na koncie Kancelarii Prezydenta na X przy okazji 80. rocznicy apogeum wołyńskiego ludobójstwa, w lipcu 2023 r. Ilustrowało go zdjęcie prezydentów Dudy i Zełenskiego, wkraczających do katedry w Łucku. Ten kuriozalny eufemizm – „ofiary Wołynia" – będzie już zawsze definiował haniebną rolę, którą w sprawie pamięci o ukraińskim ludobójstwie na Polakach odegrał Andrzej Duda. Podobnie jak jego upomnienie skierowane rok wcześniej pod adresem ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, aby ten „ważył słowa".

Można powiedzieć, że historia wymierzyła byłemu prezydentowi karę za jego postępowanie: w mniej niż rok od oddania urzędu stoczył się praktycznie w niebyt. Nikogo nie interesuje, co ma do powiedzenia. Nikt nie przewiduje dla niego żadnej poważnej roli. Jeśli pojawia się w wiadomościach, to w kolumnach plotkarskich z informacją o nowym samochodzie. Nie ukrywam, że patrząc na ten upadek, mam poczucie Schadenfreude.

Można sobie jednak zadać pytanie, kto jest bardziej żenujący: były prezydent czy członkowie dwóch największych ugrupowań, którzy dzisiaj prześcigają się w potępianiu banderyzmu, podczas gdy jeszcze trzy lata temu prześcigali się w potępianiu postaw ukrainosceptycznych. Przed kolejnym 11 lipca chciałoby się im wszystkim powiedzieć: milczcie! Siedźcie w mysiej dziurze i nie wychylajcie z niej nosa. Ewentualnie tylko po to, żeby przeprosić za swoje wcześniejsze działania i słowa.

Lecz to oczywiście marzenie ściętej głowy. Ilu znają państwo polityków konsekwentnych i z poczuciem wstydu? W Koalicji Obywatelskiej oraz Prawie i Sprawiedliwości próżno takich szukać. Jedyna nadzieja w tym, że gdy jedni i drudzy będą próbowali zbierać punkty w miejscach pamięci – np. pod pomnikiem projektu Andrzeja Pityńskiego w Domostawie – obecni dadzą im odczuć, co myślą o ich odstręczającej hipokryzji. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



Joanna Bojańczyk

Szpada pana Savoya



Guy Savoy jest jednym z najwybitniejszych szefów kuchni Francji FOT. LUC CASTEL/GETTY IMAGES

Pierwszy raz w 110-letniej historii Académie des Beaux-Arts jej członkiem został kucharz. Przywilej członkostwa organizacji skupiającej 69 artystów, kompozytorów i profesjonalistów zawodów kreatywnych znaczy więcej niż gwiazdka Michelin

Francuska prasa doniosła, że 20 maja br. paryski restaurator Guy Savoy, już wcześniej ogwiazdkowany dwukrotnie Michelinem, został obdarzony zaszczytem ważniejszym oraz – co istotniejsze – trwałym. Bo gwiazdki Michelin są efemeryczne: przychodzą i odchodzą. Natomiast zaszczyt bycia członkiem Akademii Francuskiej mało, że elitarny, to jeszcze jest dożywotni.

Ta prestiżowa instytucja kulturalna liczy tylko 60 członków, zwanych nieśmiertelnymi. Żeby został przyjęty nowy członek, stary musi umrzeć. (Czekam na film kryminalny o intrydze na tym opartej: morduje się akademika w celu zajęcia jego miejsca; kto z podejrzanych kandydatów zabił?).

Wybór zatwierdza prezydent Francji, który formalnie jest także protektorem Akademii. W praktyce to formalność. Kandydatami są pisarze filozofowie, naukowcy, intelektualiści.

Oficjalna ceremonia przyjęcia odbywa się tradycyjnie pod Kopułą Instytutu Francji przy Bulwarze de Conti w Paryżu. Uroczystość pieczętuje wytworny obiad.

DYGNITARZE I CELEBRYCI

Tegoroczny kandydat Guy Savoy jest jednym z najwybitniejszych szefów kuchni Francji. Towarzyszył dwóm prezydentom Francji podczas oficjalnych wizyt w Białym Domu. Napisał cztery książki kucharskie, wydał dwutomowy zbiór twórczości francuskich pisarzy o tematyce kulinarnej – wraz z przepisami kulinarnymi.

Pochodzi ze skromnej rodziny. Jego matka, Léonie, otworzyła buvette, mały bar i nieformalną restaurację przylegającą do domu rodzinnego w Bourgoin-Jallieu, niedaleko Lyonu. Urodzony w Szwajcarii ojciec, Louis, był miejskim ogrodnikiem i uprawiał owoce i warzywa dla restauracji. Szkolni koledzy wyśmiewali Guya, gdy okazywał zainteresowanie gotowaniem, więc w wieku 15 lat porzucił szkołę i został praktykantem u lokalnego producenta czekolady.

Po odbyciu praktyki pracował w różnych restauracjach, ucząc się klasycznej kuchni francuskiej. W 1980 r., w wieku 27 lat, rozpoczął samodzielną działalność w Paryżu, otwierając restaurację, która do dziś nosi jego imię. W 2015 r. restauracja przeniosła się do imponującej, 4300-metrowej przestrzeni na ostatnim piętrze budynku Monnaie de Paris, francuskiej mennicy.

Flagowa paryska Guy Savoy od ponad czterech dekad gości dygnitarzy i celebrytów. Jej siostrzany lokal znajduje się

eprasa.pl 46b98675ff

w Las Vegas. Oba otrzymały bezcenną gwiazdkę.

SZTUKA DOBREGO ŻYCIA

20 maja Guy Savoy dostąpił zaszczytu przewyższającego wszystkie inne. Został pierwszym szefem kuchni w 110-letniej historii jednej z najważniejszych francuskich instytucji kulturalnych, Académie des Beaux-Arts. Organizacji skupiającej artystów, kompozytorów i profesjonalistów zawodów kreatywnych.

„Jestem rzemieślnikiem, a może i artystą dzięki mojemu wyborowi" – powiedział na ceremonii. Dodał, że nagroda należy również do „wszystkich rzemieślników, którzy przyczyniają się do gastronomii, do ziemi francuskiej, do sztuki jedzenia i wina, do uprzejmości, do sztuki goszczenia, krótko mówiąc – do sztuki dobrego życia po francusku".

Na pierwsze strony gazet Guy Savoy trafił w roku 2023, gdy przewodnik Michelin odebrał jego restauracji jedną z trzech gwiazdek, które posiadała przez 21 lat.

„To był prawdziwy skandal, haniebny i nieuzasadniony" – powiedział wtedy w wywiadzie Laurent Petitgirard, stały sekretarz Akademii. I dodał: „Przyjęcie Guya Savoya do Akademii to najpiękniejsza zemsta".

Académie des Beaux-Arts jest jedną z pięciu akademii działających w Instytucie Francji, na czele z królewską Akademią Francuską, założoną za czasów Ludwika XIV. Wśród ponad 60 jej członków – zwanych „nieśmiertelnymi" – znajdują się malarze, rzeźbiarze, architekci, fotografowie, choreografowie, muzycy, reżyserzy filmowi, dyrektorzy muzeów. Włączenie do tego grona szefa kuchni, nawet w kraju, w którym gastronomia historycznie była swego rodzaju religią państwową, stanowi zmianę kulturową.

Głosowanie w sprawie członkostwa w Akademii jest tajne i – jak mówi się nieoficjalnie – nie wszyscy jej członkowie byli zachwyceni powitaniem postaci kulinarnej. Mimo tego Savoy wygrał w pierwszej turze. Warto przypomnieć, że malarz Eugène Delacroix i kompozytor Hector Berlioz byli wielokrotnie odrzucani...

Siedemdziesięciodwuletni laureat jest jednym z ostatnich przedstawicieli pokolenia francuskich szefów kuchni oddanych sztuce przekształcania potraw w wyrafinowane obiekty kulinarne. Jego kuchnia wpisuje się w epokę długich posiłków, wystawnych sal jadalnych, wspaniałej obsługi, luksusowych składników i obfitości czasu.

Obiad w słynnej, trzygwiazdkowej restauracji Guy Savoy w Paryżu kosztuje od ok. 400 do ponad 700 euro za osobę, w zależności od wybranego menu

Jednak jest to kuchnia elity, głównie finansowej, bo te miejsca są drogie. Obiad w słynnej, trzygwiazdkowej restauracji Guy Savoy w Paryżu w Monnaie de Paris kosztuje od ok. 400 do ponad 700 euro za osobę, w zależności od wybranego menu.

Tymczasem nawyki żywieniowe we Francji zmierzają w inną stronę. Jedzenie na wynos, które zyskało popularność podczas pandemii COVID-19, nie straciło jej, gdy życie wróciło do gastronomii. A teraz, wraz z trudną sytuacją gospodarczą Francji, spożycie fast foodów jeszcze wzrosło.

RĘKOJEŚĆ Z KARCZOCHEM

Jeżeli mamy uczyć się rytuałów, to posłuchajmy Francuzów. Oni są w tym dobrzy.

Dostojeństwo i powagę uroczystości dostąpienia progów tzw. Kopuły (przypomnijmy, tam się mieści Instytut Francji) można ocenić dopiero, gdy pozna się opis przygotowań stroju dla kandydata. Nie wystarczy byle garnitur ani nawet smoking. Oficjalnym i obowiązkowym strojem akademika jest czarny lub ciemnogranatowy frak z haftami przedstawiającymi gałązki oliwne w zieleni i złocie (samo wykonanie haftu dla Guya Savoya pochłonęło 700 godzin pracy). Do tego dochodzą biała koszula, biała muszka, dwurożny kapelusz oraz last but not least – ceremonialna szpada. Każdy członek szacownej instytucji otrzymuje bowiem specjalnie dla niego przygotowaną szpadę. Szpada pana Savoya miała rękojeść z brązu w kształcie liści karczocha, symbolizujących jego ulubione warzywo i popisowe danie: zupę z karczochów z czarnymi truflami i parmezanem, podawaną z grzankami oraz grzybami polanymi masłem truflowym. Szpada symbolicznie opowiada życie akademika, które jest na niej wygrawerowane. W wypadku tego laureata to (oczywiście) kuchnia, rugby, wspomnienie nieżyjących już rodziców, ośmioro wnucząt oraz kij pokutny z pielgrzymki do Santiago de Compostela. Przemówienie, które mistrz wygłosił na ceremonii przyjęcia, trwało 32 minuty – tyle, ile powinno gotować się karczochy.

NIE JEDZENIE, ALE EXPERIENCE

Gdy jedna trzecia ludzkości nie zaspokaja podstawowych potrzeb żywnościowych, w krajach rozwiniętych jedzenie stało się nowym rodzajem rozrywki, sposobem spędzania czasu. Oderwało się od swej pierwotnej funkcji – zaspokajania głodu – i poszybowało w rejony fantastyki. Do restauracji idzie się w celach turystycznych – nie tylko, żeby zjeść, lecz żeby przeżyć nowe doświadczenie i opowiedzieć znajomym lub zdobyć lajki w Internecie. To więcej niż posiłek, to „experience". Sprzyjają temu blogi kulinarne i enologiczne, portale kuchenne, recenzje i rankingi restauracji, zainteresowanie slow foodem i żywnością ekologiczną, sklepy z najnowocześniejszym sprzętem kuchennym.

Sądząc po liczbie programów kulinarnych w ostatnich dwóch dekadach, można było odnieść wrażenie, że głównym zajęciem ludzkości jest gotowanie. Dziś to się zmieniło. Wciąż kuchnia na ekranie jest popularna, ale widz bombardowany informacjami nie ma czasu siedzieć godzinę przed telewizorem. Współczesnym odpowiednikiem akademii Cordon Bleu jest Internet, a w nim krótkie filmiki-rolki. O kotkach, pieskach, dzieciach, modzie, makijażach, o szyciu, wygłupach, śmiesznych zdarzeniach. I naturalnie o kuchni. Rolki to współczesna akademia kulinarna w pigułce. Trzy minuty i zrobione. Dzisiejszy konsument Internetu nie ma czasu – godzina patrzenia, jak zrobić zupę, to za dużo.

Co na to powiedzieliby Guy Savoy i jego koledzy akademicy, można się domyślić. Ale gdyby przeciętnemu Francuzowi zaproponować obiad za 600 euro, puknie się w czoło.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 46b98675ff



Jacek Pałkiewicz

Do ludzi lasu nie powinno się docierać z marszu, jak do atrakcji etnograficznej. Trud drogi jest rodzajem przygotowania moralnego. Odbiera pychę



Dajakowie dzisiaj to tylko potomkowie łowców głów

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wśród Dajaków, ostatnich łowców głów

Są wyprawy, które obiecują wygodę, piękne fotografie i dobrze skrojony program. Są też takie, które zaczynają się od niepokoju. Nie od strachu jeszcze, lecz od tego szczególnego napięcia, kiedy człowiek wie, że za chwilę przekroczy granicę świata znanego, przewidywalnego, cywilizacyjnie oswojonego. Borneo, a dokładniej Kalimantan – indonezyjska część wyspy – należy do tej drugiej kategorii. To nie jest miejsce, do którego jedzie się po egzotyczną dekorację. To wyspa, która sprawdza charakter.

Dla tych, którzy chcieliby przeżyć coś więcej niż turystyczną wizytę w tropikach, Borneo może stać się wyprawą kultową. Nie dlatego, że jest łatwe. Właśnie dlatego, że nie jest. Nie dlatego, że zapewnia komfort. Właśnie dlatego, że go odbiera. I nie dlatego, że pozwala bezpiecznie dotknąć legendy. Dlatego że legenda tam wciąż ma zapach dymu, wilgoci, betelu i ludzkich czaszek wiszących pod powałą długiego domu.

NOC ZE SZTUCEREM

Pamiętam, jak w półmroku chaty, zmęczony drogą, wpatrywałem się w półnagie dziewczęta, w krzątających się mężczyzn, w świnie chrząkające pod podłogą i psy wyjadające resztki z garnków. Pod powałą wisiały w rotangowej siatce okrągłe przedmioty. Otarłem się o nie głową i odruchowo pomyślałem: kokosy. Dopiero po sekundzie zrozumiałem, że to nie owoce, lecz ludzkie czaszki – zakurzone, zasnute pajęczyną, poczerniałe od kuchennego dymu.

Nie poczułem wtedy współczucia dla ofiar. Nie zdążyłem. Najpierw pojawił się paraliżujący, pierwotny strach. Człowiek może mieć za sobą pustynie, dżungle, rzeki, lodowe pustkowia i różne próby charakteru, ale są sytuacje, w których całe doświadczenie kurczy się do jednego pytania: Czy dożyję rana? Nie odpowiedziałem nawet na uprzejme „salamat tidur, tuan” – „dobrej nocy, panie”. Przyciskałem do siebie sztucer i przez całą noc nie zmrużyłem oka.

Rano stary wojownik opowiadał o swoich dawnych wyprawach. Nie z okrucieństwem, raczej z melancholią człowieka, który wspomina czas młodości i własną rangę. Pokazywał, jak owijał wokół pięści włosy ofiary, a potem jednym mocnym ciosem mandau – dajackiej maczety – odrąbywał głowę. Na krawędzi ostrza miał nacięcia. Tyle, ile trofeów. Misjonarze zapewniali, że panjamon, pradawny proceder łowienia głów, dawno został zarzucony. Chciałem im wierzyć. Ale w sercu Borneo, z dala od prawa, gazet, posterunków policji i wygodnych pewników cywilizacji, słowo „dawno” traci ostrość.

PRZEZ DŻUNGLĘ

Dajakowie są głównymi bohaterami tej wyprawy. Nie dżungla, choć bez niej nie da się zrozumieć wyspy. Nie rzeki, choć one są tu drogami, granicami i żyłami życia. Nie egzotyka, której współczesny turysta szuka często jak przyprawy do własnej nudy. Bohaterami są ludzie lasu – potomkowie plemion, które przez stulecia budziły lęk, fascynację i wyobrażenia Europejczyków.

Dawne encyklopedie opisywały Dajaków jako skrytych, zdradliwych i okrutnych wojowników, dla których czaszka wroga stanowiła ozdobę domu i dowód męskiej wartości. Kolonialna literatura lubiła dzikość, bo dzięki niej Europejczyk mógł czuć się nosicielem cywilizacji. Ale nie wolno też udawać, że legenda łowców głów była czystym wymysłem. W długich domach Borneo czaszki wisiały naprawdę. Mandau nie było rekwizytem. A rytuały wojenne przez wieki tworzyły porządek świata, którego nie da się oceniać wyłącznie miarą salonu.

Najbardziej fascynujący jest jednak paradoks. Ci sami ludzie, których mit uczynił krwiożerczymi łowcami głów, w codziennym spotkaniu potrafią być łagodni, powściągliwi, pełni godności. To właśnie dlatego wyprawa do Dajaków jest tak silnym doświadczeniem. Nie spoty-

eprasa.pl 46b98675ff

kamy potworów z dawnych powieści. Spotykamy ludzi z własnym systemem wartości, z własną pamięcią, z własnym lękiem przed utratą świata, który ich karmił i chronił.

Wyrusza się z Pontianak, miasta leżącego na równiku, a potem płynie Kapuasem, największą rzeką wyspy. W dżungli rzeka nie jest tylko wodą. Jest drogą, kalendarzem i kapryśnym sędzią. Od jej poziomu zależy wszystko. Gdy wody jest za mało, stępka pirogi zgrzyta o kamieniste dno i grozi rozpruciem kadłuba. Trzeba wysiadać, przenosić bagaże po śliskich od glonów skałach, przeciągać masywną łódź, ładować ją ponownie i za następnym zakolem zaczynać tę samą harówkę od nowa.

W Górach Muller idzie się po śliskim dywanie zwiędłych liści, przez liany, epifity, paprocie, pnącza, grzyby, kolczaste palmy i plątaninę korzeni. Każdy krok może skończyć się upadkiem. Chwytasz się czegokolwiek, a najczęściej trafiasz na palmę najeżoną kolcami. Ręce krwawią. Stopy puchną. Pot zalewa oczy. Owady żądlą przez ubranie. Ciało się przegrzewa, ale pot nie chłodzi, bo powietrze jest tak wilgotne, że parowanie przestaje działać. Jesteś mokry, odwodniony i coraz bardziej świadomy własnej kruchości.

Właśnie taka droga jest potrzebna, by spotkanie z Dajakami miało sens. Do ludzi lasu nie powinno się docierać z marszu, jak do atrakcji etnograficznej. Trud drogi jest rodzajem przygotowania moralnego. Odbiera pychę. Uczy, że w tym świecie my jesteśmy gośćmi, często nieporadnymi, za ciężko spakowanymi, hałaśliwymi i ślepymi na znaki, które dla miejscowych są oczywiste.

Dajakowie budują swoje długie domy – longhouse – na palach. Wspólnota kilkunastu rodzin mieszka pod jednym dachem, wysoko nad ziemią, chroniąc się przed powodzią, dawniej także przed wrogami. Pod spodem kręcą się świnie, gotowe pożreć wszystko, co spadnie z werandy. Kury, koguty, psy, dzieci, dym, zapach gotowanego ryżu i betelu tworzą codzienny porządek miejsca, które dla przybysza jest światem niemal teatralnym, a dla nich po prostu domem.

Wśród ludów żyjących daleko od naszej cywilizacji savoir-vivre nie jest ozdobą, ale warunkiem bezpieczeństwa. Nie wchodzi się z rękami pustymi, nie narzuca się spojrzenia, nie spieszy się z aparatem, nie udaje się nadmiernej poufałości. Podarunki – sól, noże, garnki, tytoń, chinina – są czymś więcej niż prezentami. Są językiem uznania, próbą powiedzenia: przychodzę jako gość, nie jako właściciel świata.

Wódz lustruje przybyszy długo, bez uśmiechu, z twarzą, która nie zdradza emocji. Ma ciało pokryte tatuażem i pali cygaro z liścia dzikiego bananowca. Mężczyźni noszą mandau za pasem. Są dumni, muskularni, z brunatną skórą i czarnymi oczami. Kobiety są szczupłe, z okrągłymi twarzami, drobnymi nosami, wydłużonymi płatkami uszu, w których wiszą ciężkie miedziane pierścienie. Niektóre uśmiechają się karmazynowymi ustami i poczerniałymi zębami od żucia betelu. Widok dla Europejczyka obcy, dla nich zwyczajny, może nawet piękny.

W tej społeczności kobiety mają pozycję silniejszą, niż mogłoby się wydawać komuś karmionemu prymitywnymi wyobrażeniami o „dzikich plemionach". To one podtrzymują dom, dzieci, pola ryżowe, rytm codzienności. Mężczyźni wyruszają na polowania, czasem na kilka dni, z dzidami i psami. Wracają z dzikiem, małpą albo jeleniem. W ich świecie las nie jest zasobem. Jest nauczycielem, spiżarnią, apteką, świątynią i granicą.

Dzieci mają tu dzieciństwo krótkie, ale intensywne. Kręcą się wszędzie, oswojone z rzeczami, które u nas wywołałyby panikę. Ich zabawką może być półmetrowy waran przywiązany do palmy, syczący groźnie i bijący ogonem o ziemię. Patrząc na nie, rozumie się, że szkołą młodego Dajaka będzie dżungla. Nie tablica, nie podręcznik, nie komputer, lecz rzeka, trop, roślina, rana, deszcz, ciemność i śmierć zwierzęcia.

Nie wolno tych ludzi idealizować. Ich życie jest twarde, biedne, wystawione na choroby, wypadki, wezbrane rzeki, głód, konflikty i śmierć. Ale nie wolno ich też poniżać współczuciem człowieka z miasta. Oni posiadają coś, co my tracimy: zakorzenienie. Wiedzą, skąd przychodzi woda, które drzewo leczy, który owoc szkodzi, kiedy rzeka zdradza zmianę pogody, jak zbudować szałas z bambusu i rotangu w pół godziny, jak spać nad ziemią, by ograniczyć wizyty insektów, jak czytać las, który dla nas jest tylko ścianą zieleni.

Dajakowie pozostali animistami tam, gdzie chrześcijańska kolonizacja nie zdążyła ich przeobrazić. Drewniane posążki, rytuały, opowieści i stosunek do lasu świadczą o świecie zamieszkanym przez duchy. Dla Europejczyka to może być przesąd. Dla nich to sposób organizowania rzeczywistości. A może także forma ekologicznej mądrości, bo łatwiej zniszczyć las, jeśli uzna się go za martwy surowiec. Trudniej, jeśli jest przestrzenią obecności.

Wśród ludów żyjących daleko od naszej cywilizacji savoir-vivre nie jest ozdobą, ale warunkiem bezpieczeństwa

ZADZIWIENIE

I tu właśnie zaczyna się najważniejsze pytanie tej wyprawy. Czy jedziemy do Dajaków po sensację? Po opowieść o czaszkach i łowcach głów? Po dreszcz, którym można potem zabłysnąć przy kolacji? Jeśli tak, to lepiej zostać w domu. Borneo nie potrzebuje kolejnych łowców egzotyki. Ale jeśli jedziemy, by zobaczyć ludzi, którzy przez wieki żyli w symbiozie z jednym z najpotężniejszych lasów świata, jeśli chcemy zrozumieć, jak cienka jest granica między mitem a codziennością, między łagodnością a przemocą, między kulturą a jej karykaturą w oczach obcych – to wtedy ta wyprawa ma sens.

Kiedy o świcie budzi kogut, taki sam jak we wszystkich wsiach świata, egzotyka nagle pęka. Mgła otula longhouse, kobiety zaczynają dzień, mężczyźni szykują się do polowania albo pracy, dzieci kręcą się po werandzie, ktoś idzie do rzeki się umyć. Woda jest zimna i bardzo realna. W takim momencie rozumie się, że najdalsze podróże prowadzą czasem do spraw najprostszych: ognia, jedzenia, snu, lęku, wspólnoty, narodzin i śmierci.

Borneo nadal potrafi zdumiewać. Nie przez łatwe piękno, lecz przez prawdę o człowieku. Tam, pod powałą długiego domu, wśród dymu, betelu, śmiechu dzieci i czaszek dawnych wrogów, kończy się turystyka. Zaczyna się spotkanie z legendą, która patrzy nam prosto w oczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródła Amazonki, survivalowym guru, uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 46b98675ff

POCZET POLSKICH WODZÓW

Najemnik marzący o tronie



JACEK KOMUDA

Jan Piotr Sapieha, herbu Lis, zasłynął jako najemnik, a także twórca rosyjskich mitów narodowych. Wszyscy pamiętamy obronę Częstochowy i ks. Kordeckiego zagrzewającego do stawienia oporu Szwedom. Tymczasem nasz bohater, starosta uświacki, oblegał w czasie wielkiej smuty świętą dla Moskwy Ławrę Troicko-Siergiejewską. Jej obrona stała się moralnym wsparciem dla pospolitego ruszenia walczącego z wojskami fałszywego Dymitra i w ogóle z Polakami, podobnie jak Częstochowa dla konfederatów walczących ze Szwedami.

Sapieha urodził się w 1569 r., w litewskiej rodzinie magnackiej. Był krewnym Lwa, kanclerza wielkiego, a później także hetmana, autora projektu unii Rzeczypospolitej z Moskwą.

Po zakończeniu wojny domowej pozostający bez zajęcia Sapieha przyjął służbę u Dymitra II Samozwańca, który wspierany przez część elit moskiewskich walczył o tron carski z carem Wasylem Szujskim. Starosta wkroczył w granice Moskwy w końcu lipca 1608 r., prowadząc 1720 żołnierzy. Już 2 października pod Rachmancewem rozbił podjazd wojsk wiernych carowi Szujskiemu. Dzień później rozpoczął oblężenie wspomnianej Ławry Troicko-Siergiejewskiej, które jednak się przeciągało. Dlatego Sapieha wzywany przez Dymitra wyruszył stąd w lipcu 1609 r. przeciwko wojskom carskim oblegającym Twer i zmusił je do odstąpienia. We wrześniu, kiedy powrócił do oddziałów oblegających monastyr, dowiedział się o tym, że król Zygmunt III Waza wystąpił zbrojnie przeciwko carowi. Sapieha popierał króla, jednak wojska polskie służące Dymitrowi II Samozwańcowi początkowo skonfederowały się



FOT. DOMENA PUBLICZNA

i potępiły tę interwencję, obawiając się, że w wypadku zwycięstwa Rzeczypospolitej zostaną pozbawione zaległego żołdu, który obiecywał samozwańczy pretendent do tronu. Sapieha porzucił zatem 22 stycznia 1610 r. oblężenie Ławry i wycofał się do Dymitrowa, gdzie odniósł porażkę. Działał wówczas zapewne na polecenie swego krewnego Lwa, realizującego politykę oderwania Polaków od Dymitra i przeciągnięcia ich na stronę króla. 15 czerwca 1610 r. koło generalne ogłosiło go hetmanem.

Po nadejściu wieści o zwycięskiej bitwie pod Kłuszynem starosta ruszył z Dymitrem II na Moskwę i 26 lipca założył obóz pod stolicą. W tym samym czasie miała miejsce detronizacja cara Wasyla Szujskiego, a w obozie Dymitra, jak i wśród niektórych bojarów pojawiła się myśl, aby nowym carem uczynić właśnie Sapiehę. Nie doszło jednak do tego, gdyż Duma Bojarska zawarła układ ze zwycięskim hetmanem Stanisławem Żółkiewskim, a carem zostać miał królewicz Władysław. Sapieha, który uczestniczył w tych rokowaniach jako strona, zobowiązał się, że skłoni wojska Dymitra Samozwańca do przejścia do obozu królewskiego. Bohater miał jednak kłopot z przeciągnięciem na swoją stronę dowódców. Dopiero zbrojna demonstracja Żółkiewskiego skłoniła koło generalne do podporządkowania się rozkazom hetmana. Sapieha stracił zatem wątpliwy tytuł hetmana wojsk carskich, a zyskał godność pułkownika Jego Królewskiej Mości.

Sapieha usiłował później zdobyć Kaługę, co się nie udało, podbił jednak Peremyszl. Kiedy w Moskwie wybuchło powstanie przeciwko Polakom, walczył z własnym wojskiem, które buntowało się z powodu nieotrzymania zaległego żołdu. Próbował dokonać nawet zwrotu politycznego, zaproponował bowiem przywódcom powstania współpracę. Doszło do rokowań, ale Moskwa postawiła warunki, które okazały się nie do zaakceptowania przez Sapiehę i jego ludzi. Ostatecznie przybyło poselstwo od króla, który zaproponował dalsze ustępstwa i zrównanie żołdu wojsk sapieżyńskich z innymi chorągwiami koronnymi. Wówczas wojsko przyjęło znowu służbę u Zygmunta i wyruszyło na Moskwę, której załoga pod dowództwem Aleksandra Gosiewskiego oblężona była przez wojska pospolitego ruszenia pod dowództwem Lapunowa. Sapieha znów zwodził, rozpoczął negocjacje z Moskwą, usiłując uzyskać wypłatę żołdu z czasów służby u Dymitra, ostatecznie jednak połączył się z Gosiewskim. Rozpoczął rajd kawaleryjski, zdobywając Bratoszyn, Słobodę Aleksandrową, obległ także Perejasław Zalewski. Później zdobył Biełyj Gorod i dostarczył zaopatrzenie Gosiewskiemu. Niestety, wobec nieotrzymania żołdu jego oddziały ostatecznie porzuciły służbę. Sapieha zachorował i został przewieziony na moskiewski Kreml, gdzie zmarł w nocy z 14 na 15 października 1611 r. w pałacu Szujskich. Jego ciało zabrali do Rzeczypospolitej powracający żołnierze. Pochowano go w cerkwi w Lejpunach. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

MITSUBISHI ASX BLACK EDITION



FOT. JAP

Najpopularniejszy w Polsce SUV tej japońskiej marki zyskał w tym roku nową, atrakcyjniejszą wersję. ASX w wersji Black Edition ma bardziej drapieżny wygląd niż tradycyjna odmiana, dwukolorowe malowanie nadwozia (np. czarny ze srebrnym dachem i srebrnymi lusterkami, biały z czarnym dachem i czarnymi lusterkami), 18-calowe aluminiowe, błyszczące felgi w kolorze czarnym, przyciemniane szyby, czarne detale wykończeniowe na progach i zderzakach, bogatsze wyposażenie standardowe oraz dwa warianty napędowe. Mroczne akcenty pozwalają wyróżnić się z tłumu podobnych modeli różnych marek.

Limitowana edycja występuje z silnikiem 1.2T o mocy 115 KM, który współpracuje z manualną sześciobiegową skrzynią biegów oraz z jednostką 1.3T MHEV o mocy 140 KM z dwusprzęgłową, siedmiostopniową automatyczną przekładnią. My do testów wzięliśmy ten drugi wariant. To bowiem wersja, która łączy umiarkowane zużycie paliwa układu miękkiej hybrydy z niezłym maksymalnym momentem obrotowym (245 Nm) i możliwością dynamicznej jazdy. Tak skonfigurowany ASX nie tylko zapewnia więc oszczędną jazdę po ulicach polskich miast, lecz także pozwala na sprawne poruszanie się trasami szybkiego ruchu. Podróżuje się nim komfortowo, fotele oferują solidne podparcie, a auto prowadzi się stabilnie i przewidywalnie. Bez stresu włączymy się do ruchu i wyprzedzimy ciężarówkę na drodze krajowej. Nie jest to jednak wyścigówka. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 9,3 s. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h, ale już przy wyższych prędkościach autostradowych w kabinie robi się nieco zbyt głośno. Za to spalanie zaskakuje pozytywnie (średnio 6,5 l/100 km w cyklu mieszanym). Maksymalny prześwit wynoszący 16,9 cm ułatwia z kolei pokonywanie wysokich krawężników i umożliwia zjazd z asfaltu na polne i leśne drogi.

Mitsubishi ASX Black Edition w standardzie ma już m.in. kamerę cofania i tylne czujniki parkowania, automatyczną klimatyzację, przednie reflektory w technologii LED, podgrzewane przednie fotele, bezprzewodową ładowarkę do smartfonów oraz pakiet zaawansowanych elektronicznych asystentów zwiększających bezpieczeństwo.

Na desce rozdzielczej główne skrzypce gra system multimedialny z ekranem o przekątnej 10,4 cala. Na pochwałę zasługuje stabilna łączność bezprzewodowa z systemami Android Auto i Apple CarPlay. Dzięki usłudze Google Built-In mapy i aplikacje są dostępne nawet bez konieczności parowania smartfona.

Jak na SUV-a mierzącego 422,7 cm długości miejsca w środku jest całkiem dużo. Siedzący na tylnej kanapie wysocy pasażerowie mogą jednak nieco narzekać na ograniczone miejsce na nogi. Bagażnik jest wystarczający na cotygodniowe zakupy, ale to wciąż jest miejskie autko, więc trudno by się było do niego wygodnie zapakować na dwutygodniowy urlop.

Mitsubishi ASX Black Edition w wariancie z silnikiem 1.2T i manualną skrzynią kosztuje w promocji 106 290 zł. Wersja 1.3T MHEV o mocy 140 KM ze skrzynią automatyczną została wyceniona na 116 290 zł.

SAMSUNG THE PREMIERE 5



Kompaktowe wymiary, minimalistyczny design, system smart TV, możliwość zasilania z powerbanka oraz rewelacyjna opcja przekształcenia np. podłogi lub stołu w ekran dotykowy – to najważniejsze zalety inteligentnego projektora krótkiego rzutu marki Samsung.

Z daleka wygląda dość niepozornie. Kompaktowa biała bryła, przypominająca mobilny głośnik, powinna pasować do wystroju większości pomieszczeń. To jednak jedno z nielicznych urządzeń w ciągu ostatnich tygodni, które dało mi poczucie teleportacji w technologiczną przyszłość.

Dzięki wbudowanemu systemowi operacyjnemu Tizen projektora można używać tak jak telewizora z funkcją smart: oglądać filmy i seriale na popularnych serwisach streamingowych, podłączyć konsolę etc. Przewagą testowanego projektora nad telewizorem jest możliwość rzutu obrazu na podłogę/biurko/blat. To zaskakująco przydatna funkcja, np. podczas gotowania (filmik z odpowiednim przepisem można wyświetlić na blacie w kuchni) lub treningów z aplikacjami fitness (wreszcie nie musiałem zadzierać głowy do telewizora, aby upewnić się, czy poprawnie wykonuję pozycję psa z głową w dół). Dzieci mogą z kolei po wyświetlanym obrazie palcem przesuwać np. puzzle.

Projektor może też oczywiście wyświetlać filmy czy seriale na ścianie lub ekranie projekcyjnym. Automatyczna korekcja obrazu działa szybko i skutecznie. Maksymalna przekątna obrazu wynosi 100 cali. Zaletą technologii krótkiego rzutu jest to, że nie trzeba wieszać projektora pod sufitem. Wystarczy odsunąć go o 22, 33 lub 43 cm, aby wyświetlany obraz miał wielkość odpowiednio 60, 80 lub 100 cali. Kolory są żywe i naturalne, ale obraz wyświetlany jest w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080). Dźwięk z wbudowanego głośnika jest czysty i potężny jak na projektor, ale nie jest to niestety stereo.

Ważną zaletą jest możliwość zasilania urządzenia np. za pomocą powerbanka. Projektor nie waży też zbyt wiele (wraz z podstawą łącznie 2,3 kg). Można go więc łatwo przenosić między salami konferencyjnymi (lub pokojami) albo wrzucić do wakacyjnego plecaka.

Minusy? Bardzo brakuje 4K. Wyższa powinna być też jasność maksymalna. Przydałyby się również tradycyjne gniazda HDMI (są microHDMI) oraz wodoodporność, aby bez strachu móc używać projektora na dworze. Tuż po premierze na targach w Berlinie dużym minusem tego modelu była też wysoka cena (ponad 8 tys. zł), ale obecnie można go kupić za 5999 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 46b98675ff



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Sałatka jak obiad

4 lipca przypada rocznica wynalezienia jednego z najbardziej znanych i wyrazistych smaków, który doskonale pasuje do rozgrzanego słońcem lata. Otóż w 1924 r. pochodzący z Baveno w północnych Włoszech Caesar Cardini w swojej restauracji Tijuana w Meksyku zaskoczony został ogromną liczbą gości. Aby sprostać ich oczekiwaniom, postanowił przyrządzić sałatkę z tego, co miał pod ręką. W kuchni były lodowa sałata, grzanki nasączone oliwą z czosnkiem – typowe dla kuchni sycylijskiej – i oczywiście jajko. Podał te składniki, natomiast jego geniusz kulinarny kazał mu przyrządzić ów wybitny sos, który do dziś sprawia, że tej sałatce nie można się oprzeć. W 1956 r. została ona nawet ogłoszona przez Towarzystwo Epikurejskie w Paryżu „przepisem 50-lecia pochodzącym z Ameryki". Córka Caesara, Rosa, twierdziła, że w pierwotnym przepisie nie było anchois, które teraz dodaje się do sosu bardzo często. Dlatego też podajemy tu wersję oryginalną, pochodzącą sprzed ponad 100 lat. Latem, kiedy gotowanie nie jest sensowne, sałatka Cezar jest idealna. Ponadto jest niekłopotliwa w jedzeniu, duże liście sałaty można jeść rękami i przegryzać grzankami. Jednak najważniejszy jest sos i jego wyjątkowa, kremowa konsystencja – to kwintesencja smaku, od którego zależy cała atrakcyjność Caesar salad. Grzanki robimy zawsze z lekko czerstwej bagietki, kroimy na dość spore kawałki, aby podczas smażenia na patelni wchłonęły jak najwięcej dobrej jakości (!!!) oliwy z oliwek. Taka grzanka to dopełnienie całości.

FOT. ADOBE STOCK



Ta sałatka jest jak obiad, często gości na naszym stole. Jeśli chcemy, by sałatka była bardziej sycąca i konkretna, dodajemy do niej pierś z kurczaka, zazwyczaj bez panierki. I najważniejsze: do sałatki koniecznie trzeba dodać ser parmezan – jego cienkie delikatne płatki nadają jej charakterystyczny, wyrazisty smak. To tyle, aby przygotować naprawdę lekki i smaczny posiłek.

Sałata Cezar

• sałatka lodowa, najlepiej w wersji baby • grzanki nasączone oliwą czosnkową • opcjonalnie pierś z kurczaka • starty parmezan lub jego płatki • jajko ugotowane na twardo

Sos:

• 1–1,5 łyżki sosu Worcestershire • 1 łyżka soku z 1 cytryny lub limonki • 1 łyżka octu winnego • 1 łyżka musztardy • 1 ząbek czosnku • przyprawy, świeżo mielony pieprz i sól do smaku • 2 łyżki majonezu lub 1 żółtko

Wszystkie składniki przełożyć do miseczki i bardzo dokładnie energicznie wymieszać trzepaczką, aż powstanie gęsty sos. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Dla prestiżu

Do tego, aby kogoś do czegoś przekonać, skłonić, namówić, a nawet zmusić, od niepamiętnych czasów służyła korzyść materialna, zwana pospolicie łapówką. Opis tego procederu i jego rys historyczny można znaleźć w dziele wydanym przez CBA pt. „Korupcja na przestrzeni wieków".

Na przestrzeni dziejów zasięg procederu był zróżnicowany. Gdy rzecz odbywała się na szczytach władzy, w grę wchodziły setki tysięcy mocnych walut. W urzędzie powiatowym wystarczało pudełko czekoladek. Uderzam się w piersi, gdyż sama zaniosłam osobie kierowniczej dorodny bukiet kwiatów, gdy chciałam dziecko zapisać do przedszkola. Czy była to łapówka czy miły gest, niech wyroki boskie rozsądzą, o ile zechcą zająć się takim głupstwem.

Styl łapówkarstwa się zmieniał wraz z epoką i można zaryzykować twierdzenie, że odzwierciedla jej obyczaje, braki i ambicje. Komu 20 lat temu przyszłoby do głowy, że wziątką będzie damska torebka?

Oto rzecz dzieje się w podkarpackim kurorcie. Portal Nowiny24.pl donosi: „Z ustaleń śledztwa CBA wynika, że główna oskarżona, działając jako prezes zarządu państwowej spółki, uczyniła z pełnionej funkcji źródło nienależnych korzyści. Materiał dowodowy wskazuje na przyjmowanie korzyści majątkowych w zamian za przychylność biznesową oraz organizowanie nieewidencjonowanych pobytów w uzdrowisku. Korzyści majątkowe przyjmowane były zarówno w gotówce, jak i w formie luksusowych dóbr, takich jak markowe torebki czy ubrania".

Sprowadzając rzecz do konkretów: oskarżona życzyła sobie otrzymać prezent będący (w niektórych sferach) dowodem wysokiego statusu. A konkretnie: „[...] przyjęła od Marka S. korzyść majątkową w postaci torebki marki Louis Vuitton o wartości 9300 zł". Mało tego: „[...] przyjęła, korzyści majątkowe w postaci elementów odzieży marki Burberry, w tym poncho o wartości 3330 zł".

Na zdjęciu osoba podejrzana ma zasłonięte opaską oczy, ale możemy przypuszczać, że była to pani elegancka i dbająca o prestiż. W ponczu Burberry i z torebką z monogramem musiała robić wrażenie na ulicach miasta R. na Podkarpaciu.

Dom mody Louis Vuitton, obecny w Polsce od kilku lat, nie wyobrażałby sobie lepszej reklamy. O czym marzą polskie kobiety w roku 2026? Nie o futrze z norek, nie o pierścionku z brylantem, tylko o torebce z dwoma literkami. Futro niemodne. Kto się pozna na pierścionku? Ale Louis Vuitton? Budzi prestiż, to jasne. Taki, jaki należy się urzędowi. Każdy wie, ile taki drobiazg kosztuje. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O seansie nienawiści

To, co opisał Orwell w wydanej 77 lat temu legendarnej dystopii „1984" – codzienny, obowiązkowy rytuał zbiorowej, histerycznej nienawiści – znów zdarzyło się naprawdę. Tym razem w Italii.

Na jeziorze Vico doszło do tragedii. Luigi Cavallari, 84-letni wybitny profesor architektury, płynął z żoną małą motorówką. Kilkadziesiąt metrów od brzegu postanowił się ochłodzić. Wskoczył do wody, wynurzył się, mówiąc, że czuje się nie najlepiej, i utonął. O tragedii informowały wszystkie włoskie media. Pewnie dlatego, że małżonka Eugenia Roccella jest ministrem do spraw rodziny, dzietności i równych szans w rządzie Giorgii Meloni.

Za sprawą plujących jadem sfrustrowanych utratą władzy postępowców w tej chwili atmosfera polityczna w Italii jest tak pełna agresji, tak naładowana złymi emocjami, że wystarczy nie wyznawać postępowej wiary, by stać się obiektem seansów nienawiści w mediach i w sieci. Pani Roccella jest nim ex definitione jako minister znienawidzonego rządu, a na dodatek nie chce uznać prawa do aborcji na żądanie. Co więcej, piętnuje antysemityzm tych, którzy atakują żydowską diasporę za to, co robi izraelskie wojsko w Strefie Gazy i w Libanie, mimo że ogromna większość Żydów poza Izraelem jest temu zdecydowanie przeciwna. Na Międzynarodowym Salonie Książki w Turynie, gdzie prezentowała swoje dzieło, została zmuszona przez agresywne postępowe damy do opuszczenia sali.

Nic więc dziwnego, że gdy ogłoszono o śmierci jej męża, Internet wypluł z siebie cuchnące i obrzydliwe produkty „intelektu" wielu swoich użytkowników: „Karma się odwraca", „Kobieta, matka, chrześcijanka – to ona wrzuciła męża do wody", „Chciał od niej uciec", „Szkoda, że to nie ona się utopiła", „Mógł zostać w domu, jak my, których nie stać na motorówkę", „Trzeba pamiętać o uchodźcach, którzy utonęli, a nie o tym starcu".

Te obrzydliwe komentarze ostro potępiła premier Meloni. Na platformie X napisała o dehumanizacji życia społecznego i nędzy moralnej. Trzeba też odnotować, że solidarność z panią Roccellą deklarowali również niektórzy politycy opozycji, z Elly Schlein na czele, i lewicowi dziennikarze.

Jeszcze niedawno temu nienawistnicy w Internecie ukrywali swoją tożsamość. Teraz już się nie kryją. Ba, obok haniebnych komentarzy zamieszczają swoje wzruszające fotki z kotkiem albo pieskiem. „Zapomnieli, czego ich uczono w szkole. Przecież Achilles, poruszony prośbą zrozpaczonego Priama, zwrócił mu ciało syna Hektora. Nie potrafią uszanować nawet czyjejś śmierci. Biada nam!" – napisała komentatorka „Libero" Annalisa Terranova. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

PR kontra księgowość

Słynny już lekarz, koordynator milioner ze Szpitala Południowego, dokonał korekty swoich 33 faktur o łącznej wartości przekraczającej 558 tys. zł. W ślad za tymi korektami przelał na konto szpitala tę kwotę, jednak szpital zwrócił mu te pieniądze. Tak oto PR spotkał się z księgowością i przegrał.

Po pierwsze, zwrot pieniędzy miał być sposobem na uratowanie resztek wizerunku, i tu już nie tylko lekarza, lecz także całej rządzącej formacji. Poszło w lud, że jak zwrócił, to się przyznał, że wziął z naddatkiem. Po drugie – czemuż to akurat 558 tys. zł, a nie np. 900 tys. zł albo 9,30? Jak to było wyliczone? Zwrot tych pieniędzy wkopał jeszcze po drodze sporą grupę ludzi. Ktoś zapewne sprawdzał rozliczenia tych faktur, jak widać – zawyżonych, ktoś na podstawie czegoś akceptował kwoty do przelewu. Robi się z tego cały łańcuszek zapewne sporej liczby osób. Próba zwrotu, gdyby była przyjęta przez szpital, też by kogoś wkopała. W księgowości nie można ot, tak sobie przeksięgować z pozycji „winien" na „ma". Tym razem już ludzie ze szpitala się nie chcieli podłożyć.

Afera jednocześnie ujawniła ciekawą postać – mecenasa Dubois, wymawianego i przezywanego Di Buła. Okazał się on prawnikiem władzy wyleasingowanym przez nią do obrony doktora koordynatora. To dowód, że sprawa jest kluczowo ważna dla rządzących i będą bronili lekarza jak (no właśnie – czyjej?) niepodległości. Mecenas zaludnił sobą różne studia mediów wspierających władzę, które też okazały się emitującą częścią przyjętej i wdrażanej kampanii przerzucania winy z medyka na sygnalistę, co jest spektaklem żenującym.

Mecenas popisał się co najmniej dwoma rewelacjami. Po pierwsze, stwierdził, że 11 godzin codziennej pracy jego klienta to pikuś, bo on sam – mecenas – z 16 godzin badał papiery w tej sprawie. Na końcu stwierdził zaś, że zwrot pieniędzy jego klienta to normalna sprawa – przecież jak się ma np. do czynienia ze skarbówką, to człowiek najpierw płaci, a potem się odwołuje. Ale księgowość szpitala nie jest instytucją wydającą decyzje administracyjne o zwrocie środków, zwrot pieniędzy zaś, gdyby został przyjęty, byłby jednak przedmiotem odwołania ze strony lekarza, a więc cały PR-owski pogrzeb na nic.

Taka dezynwoltura mecenasa opiera się głównie na przeświadczeniu o immunizujących cechach władzy, która go popiera. Widać, że i adwokaci mają po swojej stronie lustrzane odbicie sędziowskiej pychy „kasty wybranej". Może walenie głupa wychodzi na sali sądowej, bo to wewnętrzny poziom prawniczego środowiska, ale wobec publiczności jest wyłącznie pokazem pogardy. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



SPODE ŁBA

Trzecia Japonia w Gdańsku

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawy dokument podpisali podczas gdańskiej Konferencji na rzecz Odbudowy Ukrainy prezesi polskich spółek energetycznych. Był to list intencyjny, w którym zgodzili się oni skoordynować działania dotyczące odbudowy Ukrainy na wypadek, gdyby ktoś ich o takie działania poprosił. Pod dokumentem nie podpisali się bowiem żadni przedstawiciele władz ukraińskich. Uważać go więc trzeba za przejaw optymizmu, wiary i wyobraźni. Ten właśnie aspekt sprawy podkreślił minister aktywów państwowych Wojciech Balczun. „Nie wyobrażam sobie, żeby polskie spółki nie brały udziału w odbudowie Ukrainy" – oświadczył minister.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

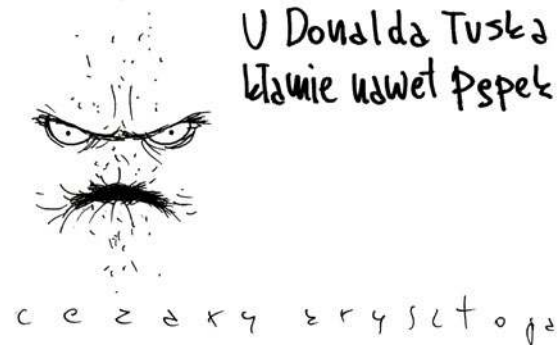

Nie mniejszą wyobraźnią wykazał się w Gdańsku szef Banku Światowego, Hindus Ajay Banga. Jak ogłosił prezes Banga, na swoją odbudowę Ukraina potrzebować będzie, w ciągu dekady, 580 mld dol. Lwia część tych środków przyjść musi z sektora prywatnego. „Sektor prywatny nie pojawi się na Ukrainie bez rządów prawa i odpowiednich reform" – podkreślił roztropnie bankowiec. Biorąc pod uwagę trwającą wojnę, nieoczywistą legitymizację władz ukraińskich, wątłą kulturę prawną oraz endemiczną na Ukrainie korupcję, „rządy prawa" w tym kraju są mało prawdopodobne. Ukraińcy mogą jednak o nich marzyć. „Przy zachęcie ze strony nas wszystkich, przy wsparciu z naszej strony, ale nie poprzez coś więcej. Pomagać, zachęcać i wspierać, a potem jest to ich przyszłość i ich wybór, którego muszą dokonać" – stwierdził enigmatycznie bankowiec. Dodał, że „Bank Światowy jest w trakcie pozyskiwania 2 mld dol. na rzecz instrumentu dotyczącego odbudowy tego kraju". Pieniądze mają trafić do Specjalnego Programu na rzecz Odbudowy Ukrainy. Suma, „w trakcie pozyskiwania której" jest Bank Światowy, stanowi, według zaokrąglonych obliczeń, mniej niż jedną trzysetną niezbędnych funduszy. Z resztą też łatwo nie będzie. USA, jeden z fundamentów światowego systemu finansowego, zobowiązały się niedawno do przekazania, wraz z partnerami, 300 mld dol. na odbudowę zniszczonego przez siebie Iranu. Nawet jeśli prawdziwe jest chińskie przysłowie: „Podróż tysiąca mil zaczyna się od jednego małego kroku", to obiecywane dziś Ukraińcom sumy wydają się nawet nie krokiem, a próbą oderwania pięty od ziemi.

Dramatyczne przestrogi polskich polityków i ekspertów, że w razie konfliktu z Ukrainą polskie firmy stracą możliwość zarobku piętrzących się nad Dnieprem gór złota, uznać można za bajki i oszukiwanie naiwnych. Setki miliardów dolarów, przeznaczone na odbudowę naszego sąsiada, są dziś tak samo realne jak ukryty w Karkonoszach „złoty pociąg". Opieranie dziś na nich jakichkolwiek realistycznych kalkulacji ma nie więcej sensu niż planowanie remontu domu, kiedy z potrzebnej sumy dysponujemy zaledwie 1 proc., a i to w obiecanym „na gębę" kredycie. Tak skromne fundusze wystarczyć mogą Ukraińcom, w najlepszym razie, na skorumpowanie naszych elit, o ile te, jak dotychczas, nie będą cenić się drogo.

Lecz nawet brak pieniędzy nie jest dla Ukraińców największym problemem. Po „zwycięskim" zakończeniu konfliktu w granicach Ukrainy mieszkać będzie ok. 25 mln mieszkańców. W chwili odzyskania niepodległości (1991) Ukraina liczyła ich sobie ok. 52 mln. Jak przyznał szef Kancelarii Prezydenta Zełenskiego, Kyryło Budanow: „Jest nas teraz znacznie mniej. Nie chcę nikogo straszyć, ale jest nas wyraźnie mniej". Zdaniem Budanowa Ukrainę odbudować pomogą „wykwalifikowani specjaliści z zagranicy". „Jeśli stworzymy tu odpowiedni klimat gospodarczy i poczucie bezpieczeństwa, to wtedy będziemy mogli nad tym pracować" – ogłosił były szef ukraińskiego wywiadu. Ogłoszenia rekrutacyjne powinien on skierować do znanych z pracowitości i uczciwości mieszkańców Dalekiego Wschodu. Czy jednak na Ukrainie poczują się oni jak w domu? Doświadczeniami z budowy „drugiej Japonii" podzielić się z Budanowem może, za niewielką gratyfikacją, agent „Bolek". ©℗

eprasa.pl 46b98675ff



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Trudna walka z polskim nacjonalizmem

Tradycja walki z polskim nacjonalizmem jest bardzo długa. O „polskich nacjonalistach podburzających dzieci do buntu przeciw nauczycielom" pisała prasa niemiecka w 1901 r., komentując strajk szkolny we Wrześni 1901 r. i kolejne wspólne akcje protestacyjne polskich uczniów i ich rodziców w Wielkopolsce przeciw oświatowej działalności pruskiego Kulturstaat. A gdy po kilkunastu latach od tych wydarzeń odrodziło się państwo polskie, stałą troską polityków niemieckich w demokratycznych Niemczech (Republika Weimarska) było informowanie niemieckiej i światowej opinii publicznej o „polskim imperializmie i szowinizmie".

Swój wkład w zwalczanie polskiego nacjonalizmu miał również Związek Sowiecki

5 marca 1919 r. z mównicy obradującego w Weimarze niemieckiego Zgromadzenia Narodowego (konstytuanty) dr Käthe Schirmacher z konserwatywnej DNVP w następujący sposób informowała o dramatycznej sytuacji ludności niemieckiej w Wielkopolsce, na obszarach kontrolowanych przez polskich powstańców: „Dziesiątki tysięcy [Niemców] uciekło z całego obszaru, bojąc się przemocy z polskiej strony. Mężczyźni obawiali się internowania, uprowadzenia i wcielenia – gdzie to możliwe – do polskiej armii. Uciekali więc, zmuszeni do pozostawienia całego swojego ruchomego i nieruchomego dobytku – gospodarstwa, sprzętów domowych i zapasów żywności […]. Noce pełne udręki przeżywają nasi rodacy ze wszystkich partii, ze wszystkich kierunków [politycznych] wzdłuż całej linii demarkacyjnej".

Straszliwe skutki polskiego nacjonalizmu odmalowywano na kartach licznych powieści, które w Republice Weimarskiej poruszały temat zbrodniczej działalności „band Korfantego", jak powszechnie w tych utworach wyczulonych na nacjonalistyczne zagrożenie nazywano powstańców śląskich. W 1931 r. autor jednej z takich powieści w następujący sposób przedstawiał swoim czytelnikom sposób działania polskich powstańców, czyli uzbrojonych nacjonalistów: „Ci po tamtej [polskiej] stronie są bestiami! To po tamtej stronie mordują rannych […]. To po tamtej stronie biały orzeł nie uznaje prawa międzynarodowego, nie uznaje świętości danego słowa, nie uznaje ludzkości, prawa ludzkiego. To po tamtej stronie jest zjadliwym zwierzęciem dziczy" (K. Bark, „Deutsche Wacht an der Weichsel", Leipzig 1931).

Polaków stać było na każde, nawet najbardziej odrażające okrucieństwo. Jak pisał w 1932 r. jeden z pisarzy stale zajmujących się sprawą „krwawiącej granicy" między Polską a Niemcami, Polacy na Górnym Śląsku tak bardzo są ogarnięci nacjonalizmem, że nienawidzą wszystkiego, co niemieckie, że chcą „udusić małe dzieci w kołysce, gdy wypowiedzą pierwsze słowa po niemiecku" (W. Wirbitzky, „Die blutende Grenze", Naumburg 1932).

Swój wkład w zwalczanie polskiego nacjonalizmu miał również Związek Sowiecki. Kraj Rad nieprzerwanie informował o prześladowaniu Ukraińców i Białorusinów przez polskich nacjonalistów, a 17 września 1939 r. Armia Czerwona podjęła konkretne działania na rzecz poskromienia prześladowania tych mniejszości. Z „polską manią wielkości" (Grosswahnsinn – wedle oficjalnej propagandy III Rzeszy) od 1 września 1939 r. twardo rozprawiał się rycerski Wehrmacht, a władze niemieckie wysyłały na cały świat zdjęcia dokumentujące masowe mordy na mniejszości niemieckiej (nie tylko w Bydgoszczy), popełnione w pierwszych dniach wojny przez polskich nacjonalistów i polską soldateskę.

Po 1989 r. w warunkach transformacji ustrojowej walka z polskim nacjonalizmem weszła w nową fazę. Z jednej strony dokładano starań, by nie „odmrażać" polskiego „katonacjonalizmu", z drugiej – wskazywano wszystkie zbrodnie polskich nacjonalistów – antysemitów – czy to w Jedwabnem, czy w czasie powstania warszawskiego. Nic dziwnego, że teraz redaktor naczelny tej samej gazety, która już w 1994 r. wiedziała, czym tak naprawdę zajmowali się powstańcy warszawscy, z całą powagą przypomina o zbrodniach polskich nacjonalistów na Wołyniu. Nic dziwnego, że symetryści z tytułami naukowymi na równi piętnują dwóch nacjonalistycznych prezydentów – Ukrainy i Polski. Nauka o trudnej walce z polskim nacjonalizmem nie poszła w las. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

UPAŁ



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdziekolwiek mieszkam, dbam o to, by w każdym pokoju na suficie był wiatrak na wypadek upału. Gdy instalowałem te wiatraki w Polsce (20 lat temu), uchodziłem za dziwaka z fantazją wykraczającą poza normę. No, ale „Pan WC mieszka w Meksyku i Ekwadorze, i na Karaibach, i ma rancho w Arizonie, więc jeśli chce mieć wiatrak na suficie także w Polsce, to mu zainstalujemy, bo to jego fanaberia i przyzwyczajenie z tropików". Wtedy pukali się w czoło, dziś już nie.

A 10 lat temu zadbałem o to, by poza wiatrakiem był też klimatyzator. Zainstalowałem, gdzie się tylko dało. Przecież „planeta płonie", czyli robi się gorąco, czyli co robimy? Klimatyzator w Polsce powinien być rozwiązaniem tak samo oczywistym jak kaloryfer.

Mogę swobodnie rozmawiać na ten temat z lewicą, która twierdzi, że planeta płonie, oraz z prawicą, oraz z każdym pośrodku. Skoro „planeta płonie" (czyli robi się coraz bardziej gorąco), to co w tej sytuacji powinniśmy zrobić w naszym małym domku lub w mieszkaniu?

PLANETA PŁONIE. Robi się coraz bardziej gorąco… CO ROBIMY LOGICZNEGO? – pytam ludzi z Partii Zielonych. Chłodzimy? Zieloni z UE wybierają opcję „nie chłodzimy", czyli siedzimy w coraz bardziej gorącym pokoju, jak ta żaba podgrzewana powolusku aż do śmierci.

Zieloni niech się ugotują, skoro tego chcą, ale ja wybieram chłodzenie za pomocą urządzeń wynalezionych przez cywilizację białego człowieka. Zieloni wybierają umieranie z powodu upału i „zakaz stosowania klimatyzacji, bo klimatyzacja powoduje, że planeta płonie".

W USA 90 proc. gospodarstw domowych ma klimatyzację. W UE tylko 20 proc. gospodarstw domowych ma klimatyzację. I Unia Europejska ogranicza oraz LIKWIDUJE klimatyzację, bo „planeta płonie".

***

Beata Szydło – kiedyś premier RP, a obecnie PiS ją przechowuje w Parlamencie Europejskim – nagle się obudziła. Jako premier RP pakowała Polskę coraz głębiej w Unię, czyli w politykę klimatyczną, a teraz się obudziła i narzeka. Bo „w biurach pracowników Unii wyłączono klimatyzację, ale komisarze mają klimatyzację nadal włączoną". I to ma być skandal? Komisarze zawsze mieli lepsze auta, lepsze biura, lepsze żarcie, lepsze pensje. Pani Beata Szydło też miała lepsze biuro, gdy była premierem, lepsze od ministra, lepsze od sprzątaczki. Nie chciało mi się słuchać, o co konkretnie Szydło ma pretensję – czy o to, że komisarzom nie zgaszono klimy równo ze wszystkimi, czy może o to, że szefostwo zabija planetę za pomocą klimatyzacji.

Komisja Europejska, cała ta horda urzędasów, to są szkodliwi wariaci, a z Unii należy uciekać – tyle Państwu powiem w tej sprawie.

***

Zakaz instalowania klimatyzacji jeszcze do Polski nie doszedł. Ale nadchodzi dużymi krokami, więc instalujcie, ludzie, klimę TERAZ, zanim ten zakaz do nas dojdzie. Kupujcie agregaty domowe, zanim oni zabronią sprzedaży.

Likwidacja ogrzewania już do Polski doszła (zakaz stosowania kominków, pieców kaflowych, „kopciuchów"). Oni chcą, aby „dla ratowania planety" obywatel zamarzał zimą lub się gotował w upale latem. Oni nienawidzą ludzi, bo kochają planetę. Mam ich gdzieś! I uważam, że każdy powinien mieć ich gdzieś. Każdy rozsądny obywatel, ojciec rodziny, szef biura powinien zwalczać tych świrów. Oni chcą „ocalić planetę" za cenę życia ludzi zamieszkujących planetę.

Australia (zwariowana klimatycznie od dawna) ogłosiła z dumą, że osiągnęła cel klimatyczny „zerowy bilans emisji". Zdławili swoją gospodarkę, piece domowe i klimatyzatory… Australia gasi „pożar planety" za cenę komfortu i życia swoich obywateli i za cenę rozwoju gospodarki. Ludzie w Australii CIERPIĄ, a Chiny w 12 dni emitują tyle CO_2, ile Australia „oszczędza" przez rok.

***

Gdy są upały, normalnie myślący człowiek chce się ochłodzić. Zabranianie ludziom chłodzenia jest złośliwe i wredne. Klimatyzacja to był wynalazek wiekopomny, tak samo jak lodówka. Zanim powstały domowe lodówki na prąd, wycinaliśmy zimą lód z zamarzniętego jeziora i składowaliśmy bryły lodu w ziemiankach pod stosami słomianej sieczki – żeby trzymały zimno dłużej.

Potem zaczęliśmy produkować bryły lodu w fabrykach lodu. I to był postęp cywilizacyjny! Na południu USA codziennie rano podjeżdżał pod dom handlarz lodu i oferował znormalizowaną bryłę lodu z fabryki, która pasowała do domowej skrzyni na lód – to były pierwsze lodówki, jeszcze bez prądu. W takich skrzyniach trzymano to samo, co dzisiaj trzymamy w naszych lodówkach – żywność. Skrzynia miała na dole kranik, a gdy lód w skrzyni się powoli topił, miałeś, człowieku, ZIMNĄ wodę do popicia, gdy w domu był upał.

Rozwój cywilizacji i technologii polegał na tym, że w pewnym momencie doprowadziliśmy do naszych domów prąd elektryczny i mogliśmy zwolnić Murzyna z wachlarzem i zastąpić go elektrycznym wiatrakiem na suficie.

***

Ludzkość najpierw wymyślała kolejne sposoby na ogrzewanie. Zaczęliśmy w jaskini, paląc ogniska, potem powstawały kolejne coraz lepsze piece i systemy. Kaloryfery to był wynalazek WIEKOPOMNY. Pierwsze kaloryfery w Polsce instalowali ludzie bogaci – z tego, co wiem, w pałacu w Łańcucie. Czy oni byli głupi? Absolutnie nie – oni szukali komfortu, za cenę dziur na rury wybijanych w zabytkowych stropach. A potem ten komfort doszedł do każdego mieszkania w Polsce. Teraz ten komfort jest niszczony przez Unię Europejską.

Mamy się cofać w rozwoju. Unia to regres zamiast postępu. Co w tej sytuacji? Polexit! Ja nie chcę żyć tak, jak oni proponują.

***

Na koniec drobiazg encyklopedyczny: Takie same upały jak teraz były już w Polsce 100 lat temu. Wtedy planeta jeszcze nie płonęła, to skąd się brały tamte upały? A jeszcze dawniej, 1000 lat temu, na wzgórzu wawelskim rosły winogrona, bo było o wiele cieplej niż teraz. ©℗

eprasa.pl 46b98675ff

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”

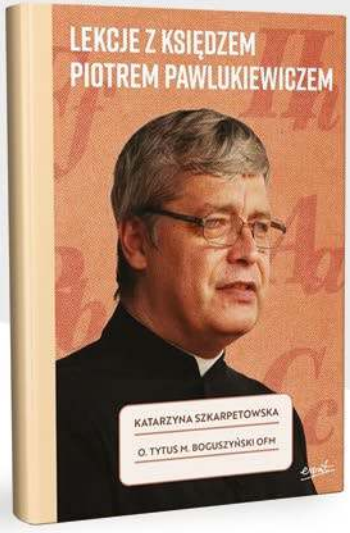

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA, O. TYTUS M. BOGUSZYŃSKI OFM: „LEKCJE Z KSIĘDZEM PIOTREM PAWLUKIEWICZEM”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~586~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 293 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 46b98675ff

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

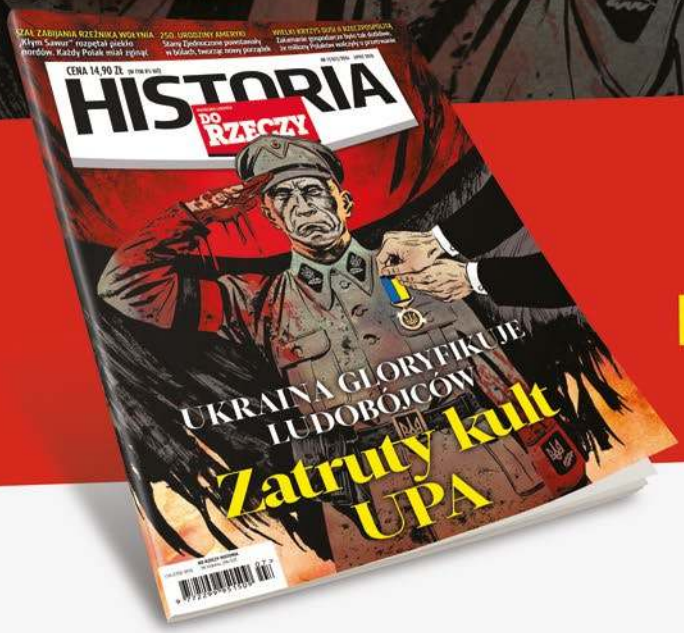

KULT UPA NA KOŚCIACH POLSKICH KOBIET I DZIECI

Banderowskie kłamstwa i mity – „Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później upowcy walczyli z Sowietami – mówi prof. Damian Karol Markowski

Polsko-ukraiński żmut – Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców? – zastanawia się w swoim tekście Piotr Semka

II RP przy pustym stole – „Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano na wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie »pożyczali« ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi dr Kamil Piskała, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu"

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem – Zarówno Rosja biała, jak i czerwona odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa – Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poetę nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Na politycznym spalonym – Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 46b98675ff